



Niebezpieczne piękno #2

NIEBEZPIECZNE

pragnienia

Drugi tom serii o pięknej uciekinierce i gorącym ochroniarzu
bestsellerowej zagranicznej autorki!



J.T. GEISSINGER

J. T. GEISSINGER

NIEBEZPIECZNE PRAGNIENIA

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO #2

**TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2022

Dla Jaya, bo zawsze pamięta, by opuścić deskę.

„Kobiety są jak torebki herbaty. Dopóki nie wrzucisz ich do gorącej wody, nie dowiesz się, jak są mocne”.

- Eleanor Roosevelt



ROZDZIAŁ 1

Eva

Chiński filozof Laozi powiedział kiedyś, że gdy ktoś głęboko cię kocha, daje ci to siłę, z kolei gdy ty głęboko kogoś kochasz, czerpiesz z tego odwagę. Muszę przyznać, że wchodząc na pokład żaglowca *Silver Shadow* mglistym, zimnym przedświtem, nie jestem pewna, czy aby się nie pomylił.

Bo prawdziwa potęga miłości wcale nie polega na sile ani odwadze, lecz na tym, że pozbawia cię egoizmu.

Niemal na pewno płynę na śmierć, a jednak smutno mi tylko z powodu Naza. Gdy odkryje, co zrobiłam, pięknie mu serce.

Ale lepiej, żeby było złamane, niż aby miał zginąć.

Wolę umrzeć, niż go narazić.

– Zakładam, że panna Evalina?

Nie znam mężczyzny, który właśnie zmaterializował się w gęstym cieniu, rzucanym przez wysokie, czarne żagle. Jest drobny, siwowłosy, ma radosne niebiskie oczy i idealnie dopasowany garnitur. Stwarza wrażenie profesjonalnego concierge'a, choć wątpię, by naprawdę specjalizował się w rezerwowaniu ludziom stolików w drogich restauracjach.

– Tak, jestem Eva. A pan? – pytam.

– Raphael.

– Jak ten renesansowy malarz? – zagaduję, starając się podtrzymać rozmowę.

Uśmiecha się przyjemnie.

– Właśnie tak. To ulubiony artysta mojej matki, stąd moje imię. Proszę sobie wyobrazić, że zabiła go gorączka, której nabawił się po zbyt upojnej nocy. Człowiek zachodzi w głowę, jakie trzeba mieć pokłady jurności, żeby umrzeć z powodu przesadnej kopulacji.

Wypowiada się w precyzyjny, niemal pedantyczny sposób, co dowodzi zbyt formalnemu wykształceniu i zamiłowaniu do ras małych psów, powstałych w wyniku niezliczonych krzyżówek. Dodawszy do tego francuski akcent, można odnieść wrażenie, że jest wyrafinowany. Pewnie mogłabym go polubić, ale doskonale wiem, jak zwodnicze bywają pozory.

Powoli wypuszczam wstrzymywane powietrze i pytam:

– Skrzywdzisz mnie, Raphaelu?

Jeżeli moja bezpośredniość nim wstrząsnęła, to nie daje tego po sobie poznać. Po prostu wspiera ręce na biodrach i odpowiada gładko:

– Och, nie, moja droga. Ja nie.

Akcent na *ja* sprawił, że się wzdrygnęłam.

Gdy wychodzi zza niego kolejny mężczyzna, który również ukazuje się w tym samym gęstym cieniu, znaczenie tej odpowiedzi staje się jasne. Ten nie jest uderzająco grzeczny i nie ma eleganckich manier. Stanowi dokładne przeciwieństwo Raphaela. Jest wysoki, wytatuowany, muskularny, ma rozmierzwione ciemne włosy opadające na szerokie barki, wyraźnie zaznaczony łuk brwiowy i dłońie, którymi mógłby miażdżyć czaszki.

Mierzy mnie poważnym spojrzeniem bezlitosnych oczu, jego wargi są bezwzględnie zaciśnięte.

Na obrzeżach mojego wymuszonego, zewnętrznego spokoju, czai się widmo hysterii. Napinam mięśnie, bo przecież przyszłam tu dobrowolnie. Nie mogę już pęknąć. Dmitrij da mi mnóstwo okazji, będę mogła pękać do woli, zanim ostatecznie mnie złamie.

Albo zanim ja złamię jego.

– Gdzie Dmitrij? – zwracam się ponownie do Raphaela, który przez moment duma nad moim pytaniem.

– Tego nie mogę powiedzieć, natomiast mam prawo ujawnić, że powierzono mi obowiązek

zabrania pani do niego. Oraz... proszę mi wybaczyć niefortunne ingerowanie w pani prywatność, ale na pewno pani zrozumie... w toku podróży mam zawiadomić pana Ivanova o pani usposobieniu – wyjaśnia rzeczowo.

Przekład na ludzki język: może i zachowuję się przyjacielsko, ale nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie zapomnij sobie, kto tu rządzi.

– Powinna pani też wiedzieć, że Killian... – tu wskazał na cichego oprycha – ...otrzymał od pana Ivanova polecenie karania każdego... nieakceptowalnego zachowania.

Zacięta gęba Killiana wykrzywia się w cień diabelskiego uśmiešku.

O, Boże. To nowość. Dimitri musi być na mnie niewiarygodnie wściekły, skoro to zatwierdził. Odpowiadam dopiero po chwili potrzebnej mi na uspokojenie oddechu.

– Rozumiem. Dziękuję ci, Raphaelu.

Uśmiecha się do mnie promiennie. Killian wygląda na rozczarowanego moją uległością, a przynajmniej tak mi się wydaje, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo podchodzi do mnie i wyciąga swoje wielkie, mięsiste łapska.

Gdy łapie mnie za ramiona, odruchowo kurczę się w sobie. Jestem bardzo rozczarowana tą reakcją. Rozkłada moje ręce na boki i przeszukuje mnie w poszukiwaniu ukrytej broni.

Jest przy tym dokładny i brutalny. Jego twarde palce wbijają się w najczulsze części mojego ciała – pachy, brzuch, uda – aż krzywię się z bólu. Gdy wsuwa dłoń pod sukienkę i przesuwają ją do góry, w stronę krocza, wykręcam się i bezradnie skamlę.

– Wystarczy, Killian – mówi Raphael z delikatnym zdenerwowaniem.

Killian się prostuje. Wpatruje się we mnie spod nisko wiszących brwi, jak drapieżnik na zdobycz. Odwracam wzrok, ale dostrzegam kątem oka powrót jego diabelskiego uśmiešku.

Raphael odkaszlnął i mówi:

– Skoro już się wszyscy zapoznaliśmy, czas nam w drogę. Witamy na pokładzie, panno Evalino.

Odwraca się i znika w kabinie, zostawiając mnie samą z Killianem i jego wygłodzonym spojrzeniem.

Na tle ciemnego nieba migoczą światła Hell's Kitchen¹. Mętne wody rzeki Hudson chlupoczą w świetle księżycy w trzeciej kwadrze. Co prawda to jeszcze nie Halloween, ale w powietrzu czuć już ten ostry, niepokojący ziąb, coroczny zwiastun rychłej zimy.

To ostatnie chwile mojej wolności. Przechodząc przez drzwi kabiny, wyzbywam się wszystkiego, czym do tej pory byłam. Całej siły, wszystkich praw.

Całej nadziei.

Przygryzam wargę i mrugam, bo w moich oczach wzbiera wilgoć.

Żegnaj, Naz. Może spotkamy się ponownie w innym życiu.

– Proszę przodem – zwracam się uprzejmie do Killiana.

Nawet jeśli jest rozbawiony lub rozdrażniony moją teatralną galanterią, to nic po nim nie widać. Jego uśmiech zniknął. Jego gęba przypomina kłoc nieociosanego drewna. Chyba nie mam co liczyć na odpowiedź z jego ust.

Stawiam krok naprzód, ale on ani drgnie. Gdy przesuwam się w bok, on robi to samo, blokując mi drogę.

Bawi się ze mną, jak kot z myszką.

Rozdrażnienie daje mi kopa, dzięki któremu może wytyczę tu jakieś granice i ukroćę jego grubiaństwo.

– Słuchaj, pierwszy raz cię widzę, czyli jesteś nowy w organizacji Dmitrija. Wynika z tego, że jesteś co najwyżej chłopcem na posyłki. To zadanie to twój sprawdzian. Sprawdzian przydatności, lojalności, ale też inteligencji.

Wydziarany zbir unosi leniwie brew.

Biorę głęboki wdech i rzucam:

– Jeżeli uroiłeś sobie, że możesz mnie tknąć i on cię za to nie zabije, to przeceniasz własną wartość.

– Za to ty nie doceniasz położenia, w jakim się znalazłaś. Nie jestem twoją niańką, suko. Nie

mogę cię zabić ani spenetrować, ale poza tym mogę zajmować się tobą, jak zechcę – warknął w odpowiedzi.

Jego niski głos jest jak papier ścierny, słysząc w nim irlandzki zaśpiew.

Nie dziwi mnie, że Dmitrij przyjął do grona swoich goryli nie-Rosjanina. W przeciwieństwie do włoskiej mafii, do której wstąpić mogą wyłącznie etniczni Włosi, rosyjska Brać jest znacznie bardziej inkluzywna. Nie zmienia to faktu, że pewność w głosie Killiana mnie zaskoczyła.

Ja może i blefowałam, on nie.

Nie mogę uwierzyć, że Dmitrij pozwolił mi używać wobec mnie siły. „Zajmować” się mną, jak zechce.

Na dnie moich trzewi porusza się, śliska niczym rozwijający się wąż, nić terroru.

Killian zauważa zmianę mojej miny i powraca jego parszywy uśmiezek. Jego oczy lśnią złośliwością.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni, nie?

Ta wypowiedź trafia do mnie wyjątkowo mocno, ze względu na wszystko, co przeżyłam. Nie tylko lata spędzone z Dmitrijem, ale też treningi baletu, w czasie których nieraz z moich palców u stóp niejednokrotnie krew lała się tak obficie, że przeciekała przez baletki.

– Co mnie nie zabije, niech lepiej ucieka – odpowiadam, zadzierając podbródek.

– Mocne słowa, jak na taką małą dziewczynkę.

Nie wystraszył się. I trudno się dziwić. Mam na sobie białą bawełnianą sukienkę i espadryle. Nie mam broni, nie znam sztuk walki. Trzęsę się z zimna i nadal jestem w lekkim szoku, bo niedawno uczestniczyłam w wybuchu auta, zastrzeliłam dwóch mężczyzn z bliskiej odległości i zawarłam z diabelskim pomiotem, który maltretował mnie przez siedem lat, pakt, że wrócę do niego w zamian za życie Naza.

Nie oznacza to jednak, że jestem całkowicie bezbronna.

Jeżeli wiara pomogła Mojżeszowi wydostać się z pustkowia po czterdziestu latach, to mnie też może pomóc.

– Może i jestem małego wzrostu – odpowiadam spokojnie, patrząc mu w oczy. – Ale jestem większa, niż ty kiedykolwiek będziesz. Nie możesz zrobić mi nic, czego nie doznałabym wcześniej, a jednak wciąż stoję. Możesz mi złamać wszystkie kości, ale mnie nigdy nie złamiesz.

Następuje chwila ciszy, w której przez jego twarz przemyka kilka różnych emocji. Najpierw zaskoczenie. Za nim podziw. Potem, najbardziej zaskakujące, coś jakby żal.

Żal?

To ostatnia spójna myśl, jaką zdążyłam sformułować, zanim złapał mnie za gardło.

ROZDZIAŁ 2

Naz

Siadam na szpitalnym łóżku jak rażony prądem, a serce wali mi jak młot, bo jestem przekonany do szpiku kości, że coś jest strasznie nie tak.

– Eva?

Moje wołanie niesie się echem w pustej salce. Drzwi do łazienki po drugiej stronie pokoju, są otwarte, ale tam też jej nie ma.

Może wyszła do poczekalni porozmawiać z Connorem i Tabby. Może poszła coś zjeść. Może musiała rozprostować nogi. Przejść się. Tak, to możliwe.

Wszystkie moje teorie idą do diabła, gdy do salki wpada Connor.

– Eva odeszła – oświadcza.

– Jak to odeszła?

– Tak to, że Tabby ściągnęła z kamery bezpieczeństwa nagranie, jak Eva wychodzi drzwiami świetlicy dla pracowników, na odludnym zapleczu szpitala.

Urządzenie monitorujące moje tętno dostaje amoku, wyje, jakby samo dostało zawału. Connor wali w nie pięścią i w pomieszczeniu zapada cisza.

Próbuję się skupić, walcząc z zawrotami głowy i pobudzeniem wypełniającym moje żyły adrenaliną.

– Nie rozumiem. Dlaczego miałyby odchodzić? Jak ominęła naszych chłopaków? I dokąd poszła, do cholery?! – zadaję masę pytań, jestem w zupełnym szoku.

– Same dobre pytania, brachu – odpowiada posępnie Connor. – Obawiam się jednak, że nie znamy ani jednej odpowiedzi.

Odeszła? Eva? Nie, to na pewno nieprawda. Muszę ją znaleźć. Muszę ją chronić...

– Ej, uwaga!

Connor łapie mnie za ręce, bo prawie spadłem z łóżka i wylądowałem na kolanach. Jestem słaby. Zbyt słaby. Pierdolone znieczulenie. Pierdolony zamach na nasz samochód.

Pierdolony Dmitrij Ivanov.

Sama myśl o tym człowieku wpompowuje mi w żyły kolejną porcję adrenaliny. Daje mi to siłę, żeby się uspokoić. Trzępię głową jak pies, próbując ją oczyścić.

– Zaczynj od początku.

Connorowi nie trzeba dwa razy powtarzać. Wie, że muszę poznać wszystkie fakty i to natychmiast.

– Jakoś zaraz po drugiej nad ranem odwiozłem Tabby do firmy, żeby się kilka godzin przespała. Sprawdziłem, co u chłopaków na miejscu, puściłem wszystkim kontaktom w organach ściągnięcia i w wojsku info, że nas zaatakowano, wykręciłem do starego kumpla z Langley, aby zapytać, czy może pociągnąć za kilka sznurków. Federalni przejmą to śledztwo od nowojorskiej policji, a chcę być na bieżąco. Jeżeli zdoła, będzie mnie informował o postępach dochodzenia.

Popędzam go niecierpliwymi ruchami głowy, żeby przechodził do sedna.

– Potem zadzwoniłem do Smitha, to jeden z naszych gości, który czuwał pod twoimi drzwiami. Zameldował, że wszystko gra. Nikt nie próbował wejść do twojej salki. Budynek był szczelnie otoczony. Zero problemów. Wróciłem do szpitala, rozsiadłem się w poczekalni i na moment przymknąłem oczy, bo byłem wyjebany, a jak nie mogę sprawnie myśleć, to żaden ze mnie pożytek. Gdy się obudziłem, znowu skontaktowałem się ze Smithem. Powtórzył, że bez zmian, wszystko gra, ale postanowiłem przyjść i sprawdzić na własne oczy – relacjonuje, a ja słucham go w pełnym skupieniu. – I wtedy odkryłem, że Evy nie ma w twojej salce. Smith mówi, że nigdzie nie wychodziła. Ale wtedy zdałem sobie sprawę, że zaczął zmianę zanim wyjechałem.

– A to oznacza, że już jej wtedy nie było – stwierdzam z łupiącym sercem.

Connor kiwa ponuro głową.

– Przeszukałem stołówkę, kaplicę, kible, wszystko. Potem zadzwoniłem do Tabby, żeby zaczęła szukać po swojemu.

Mrugam, bo oślepia mnie jasne światło, przelewające się przez żaluzje.

– Która godzina?

– Siódma piętnaście.

– Jezus, skoro wyszedłeś koło drugiej, to znaczy, że nie ma jej prawie ponad pięć godzin!

Connor obserwuje bez komentarza, jak człapię niepewnie do małej szafki po drugiej stronie salki, ciągnąc za sobą kroplówkę na metalowym stojaku. Zrywam bandaż z dłoni, wyrywam igłę i odrzucam je na bok. W szafce, w plastikowym worku, są strzępy moich ciuchów. Rozszarpane bojówki. Buty taktyczne. Brudny T-shirt pokryty zaschniętą krwią.

– Naz.

Patrzę na Connora przez ramię. Wskazuje na czarną torbę leżącą na krześle obok mojego łóżka.

– Świeże szmaty i komórka.

Nie zaprzątam sobie głowy podziękowaniami ani pytaniami, kto to tu przyniósł. Nachodzi mnie ciężkie i ciemne jak burzowe chmury poczucie grozy. Niemal rozrywam suwak torby, wyciągam ze środka spodnie, koszulkę, buty i zaczynam się pośpiesznie ubierać. Zszyta, podłużna rana po odłamku w moim udzie wyje z bólu, gdy wciskam nogę w dżinsy. Zaciskam zęby w męczarniach, ale ubieram się dalej.

– Czego dowiedziała się Tabby? Ma cokolwiek?

– Tak. Zaraz po twojej operacji Eva telefonowała z płatnego aparatu w korytarzu, na koszt rozmówcy.

Obracam się gwałtownie i wbijam w niego wzrok. Burzowa chmura grozy obejmuje już cały pokój.

– Do kogo? – pytam, chociaż znam już odpowiedź.

– Najpierw na jakąś międzynarodową centralę. A potem... nie wiemy. Numer był świetnie zamaskowany. Wszystko szło przez anonimowy serwer, potem przez jednorazową komórkę, i tak dalej, i tak dalej. Wiesz, jak to jest. – Przerywa na moment. – Sześćdziesiąt sekund po tym telefonie ktoś do niej oddzwonił.

Patrzymy na siebie, krew szumi mi w skroniach.

– Niech zgadnę. Tego numeru też nie udało się zidentyfikować.

– Bingo.

Widzę po jego wzroku, co sobie myśli. Przymykam oczy, próbuję stłumić ryk frustracji, który chce się wyrwać z mojego gardła.

– Niemożliwe.

– A masz inny pomysł? Bo nie mniemam, żeby dzwoniła przez tajną linię pogawędzić z babcią. Liche więzy, którymi do tej wstrzymywałem panikę, w końcu puszczają.

– Na chuj miałyby dzwonić do Dmitrija?! – wybucham, bo chociaż jest to oczywiste, to pragnę żyć w zaprzeczeniu.

Mój krzyk nie robi na Connorze najmniejszego wrażenia.

– Ty mi powiedz, brachu. Znasz ją lepiej.

Przez chwilę mam pustkę w głowie. A potem doznaję oświecenia: *chciała negocjować*.

Musiałem powiedzieć to na głos, bo Connor ściąga brwi i pyta:

– Ale co negocjować?

– Warunki kapitulacji – szepczę zmrożony przerażeniem.

Gdy stawiam krok, znosi mnie na bok, więc muszę podeprzeć się o ścianę, bo straciłbym równowagę. Ściana nie pomaga jednak opanować drgawek całego ciała.

Naz, nigdy nie zapomnę ani sekundy, przysięgam.

Wiedziałem, że to brzmi jak pożegnanie! *Wiedziałem!* Do jasnej cholery, psiakrew!

– Cóż, niezależnie od tego, co kierowało Evą, Tabby włamała się do miejskich kamer kontroli

ruchu drogowego i do wszystkich kamer bezpieczeństwa, jakie znalazła w okolicy, żeby ustalić jej ostatnią znaną lokalizację. Dowiemy się, dokąd poszła, to tylko kwestia czasu.

– Sprawdźcie lotniska – mówię, zalewając się zimnym potem. – Dworce, taksówki.

– Nie mogła dostać się aż tak daleko. Nie ma pieniędzy. Ani dokumentów.

Zasycha mi w ustach. Nie mogę złapać oddechu. Zrywam szpitalny fartuch, narzucam na siebie T-shirt, zapinam do końca dżinsy i walczę o zachowanie kontroli z szalejącymi we mnie emocjami. Wbijam gołe stopy w buty, nie marnuję czasu na sznurowanie.

– Jeżeli Dmitrij maczał w tym palce, to ich nie potrzebowała. Ruszajmy.

Pół godziny później wkraczamy przez stalowe drzwi do siedziby Metrixa. Z moimi płucami jest coś poważnie nie tak, bo mam wrażenie, że ktoś rozpałił sobie ognisko w mojej piersi, przez co ciągle brakuje mi powietrza. Ogień trawi też moje trzewia, ale to akurat nie jest skutek eksplozji sprzed kilku dni.

To strach, czysty strach.

Doskonale wiem, jakim posranym, bezdusznym bandziorem jest Dmitrij Ivanov. Myśl, że mógłby choć zbliżyć się do Evy, ścina mi krew w żyłach.

Myśl, że gdy się kochaliśmy, Eva już wiedziała, że odejście, jest niemal równie bolesna.

Tabby wita nas zaraz za drzwiami, ma na sobie te same ciuchy, co wczoraj. Jest blada, ciągle ziewa, ma pod oczami cienie niewyspania. Kłuje mnie poczucie winy, że z tego wszystkiego zrobił się taki burdel, ale natychmiast je tłumię. Później będę przepraszał, gdy już odzyskam Evę, a mój mózg zacznie normalnie pracować.

– Księżniczko. – Connor zamyka ją w niedźwiedzim uścisku i zakopuje twarz w jej szyi.

– Hej, słońce – odpowiada cicho i dodaje ze śmiechem: – Nie złam mi kręgosłupa, tępaku. Jest mi potrzebny.

Connor ją puszcza, a Tabby spogląda na mnie. Jej oczy mają barwę świeżo ściętej trawy i, jak zwykle, nic im nie umyka.

– Cholera. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej niż wyglądasz.

– Nie. Opowiadaj, bo zaraz mi odpierdoli.

Przez moment ocenia moją mowę ciała i... od razu przechodzi do sedna:

– Mówiąc najkrócej: nie mam nic – informuje, krzywiąc się.

Płonący żar w mojej klatce piersiowej przybiera na sile, choć myślałem, że to niemożliwe. Pod moimi żebrami szaleje pożoga, rozrywa mi gardło. Zaraz zacznę ziać ogniem.

– Jak to nic? – cedzę przez zęby z najwyższym wysiłkiem.

– Tak to, że pojechała metrem na Penn Station, a tam rozplynęła się w powietrzu.

– Czyli wsiadła do pociągu! – wykrzykuję podekscytowany.

– Możliwe. Analiza nagrań ze wszystkich kamer i potwierdzenie tego założenia sporo nam zajmie, ale...

– Ale co?! – rzucam niecierpliwie, gdy nie kończy zdania.

– To jeden z najruchliwszych dworców w zachodniej hemisferze. Codziennie przewija się przez niego ponad 350 000 ludzi.

– Twierdzisz, że potrzebujesz do pomocy więcej par oczu?

– Twierdzą, że to idealne miejsce, żeby osiągnąć dwa cele: zniknąć w tłumie i żeby zmylić potencjalną pogoń.

Mój mózg działa lepiej niż płuca, bo szybko dodają dwa do dwóch.

– Chciała, żebyśmy pomyśleli, że wsiadła do pociągu?

Tabby wzrusza ramionami.

– Pewności nie mam. Wiem natomiast, że Eva jest mądra, zaradna i szybko myśli. Założyła, że od razu zaczniesz jej szukać.

Tabby nie musi dodawać oczywistego. Jeżeli Eva zadała sobie trud, żeby zmylić pościg, to znaczy, że nie chce zostać odnaleziona.

Chyba jednak musimy się lepiej poznać, bo jeżeli myślisz, że jej nie znajdziesz, to mnie, kurwa, nie zna.

Gniew pozwala mi się wznieść ponad ból w ciele i strach w sercu.

– Okej. Jeżeli pójdziemy tym tropem, to Eva powinna nadal być w Nowym Jorku.

– Musimy zacząć szukać wokół Penn Station – wtrąca Connor, kiwając głową. – Wyjścia z dworca i najbliższa okolica.

– Porusza się pieszo – mówię cicho, moje myśli mkną z prędkością światła. – Chyba że ukradła rower...

– Albo samochód – dodaje Tabby, nieco zbyt spokojnie jak na mój gust. Gdy piorunuję ją groźnym wzrokiem, tłumaczy: – Nasir, po prostu staram się nie przeoczyć żadnej możliwości.

– Eva nie umie prowadzić – stwierdzam. – Nie ukradła auta.

– W tym mieście nikt nie bierze autostopowiczów – dorzuca Connor.

– Porusza się pieszo – powtarzam głośniej. Moje serce bije nierówno, czuję w uszach coraz głośniejszy szum, bo oto wpadam na nowy pomysł. – Jaki jest następny duży węzeł komunikacyjny w pobliżu Penn?

– Najbliżej dworzec autobusowy Port Authority – odpowiada Tabby.

Próbuję sobie wyobrazić, jak Dmitrij zostawia Evie bilet autobusowy w kasie, ale jakoś mi to nie pasuje. Autobus jest zbyt przyziemny. Miliarder nie zniżyłby się do transportu publicznego. Pociągi mają przynajmniej jakieś styl. Jeżeli zależy ci na szybkiej ucieczce, to nie wsiadasz do pieprzonego autokaru.

Coś mi się przypomina. To było wiele miesięcy temu, pierwszy raz czytałem dane Evy, nazajutrz miałem lecieć z Los Angeles do Nowego Jorku, żeby zacząć robotę w Metrix. Siedziałem sam w pokoju w domu kumpla w Hollywood, w ogrodzie szalała moja impreza pożegnalna. Otworzyłem plik, który przysłał mi Connor i pierwszy raz ujrzałem piękną, tajemniczą Evę Ivanową...

Która wyskoczyła w środku nocy z jachtu i zniknęła gdzieś na morzu.

– Doki – mówię i w chwili, gdy to słowo opuszcza moje usta, już wiem, że mam rację.

– Z Penn do doków jest kawałek... – stwierdza Connor sceptycznie.

– Do zrobienia, jeśli jesteś odpowiednio zmotywowany – odpowiadam. Zwracam się do Tabby: – Możesz sprawdzić, jakie statki opuściły port od północy do teraz?

– Czy mogę... – prychna lekceważąco. Odwraca się i wychodzi bez słowa, zadzierając podbródek i bujając kucykami na boki.

– To znaczyło tak czy nie? – pytam Connora zdezorientowany.

– To znaczyło: „Stary, patrz i, kurwa, podziwiał” – wzdycha. – A przy okazji też: „Nie obrażaj mojej inteligencji, przygłupie”.

– No tak, powinienem był się domyślić.

Chcę iść za Tabby, ale Connor kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Moment, chcę z tobą pogadać.

– Nie mamy czasu...

– Brachu, musimy rozważyć alternatywny scenariusz zniknięcia Evy – oznajmia mężczyzna stanowczo.

Wbijam w niego spojrzenie, wiem, dokąd zmierza.

– Nie wróciłaby do niego, gdyby nie uznała, że dzięki temu zapewni mi bezpieczeństwo. Sam czytałeś te raporty szpitalne. Wiesz, co jej robił. Ona go, kurwa, nienawidzi – cedzę.

– W to nie wątpię – odpowiada łagodnie. – Ale co jeśli wcale do niego nie wróciła?

– Że co? – dopytuję, mrugając szybko, bo nie nadążam.

– Mogła być przygotowana na różne ewentualności. Tajne konta bankowe, fałszywe tożsamości. Mogła przygotować się na setki różnych sposobów, żeby znowu zniknąć, gdyby Dmitrij wpadł na jej trop. Tabby ma rację, Eva jest mądra. Myślę, że skoro zadała sobie tyle trudu, by wyrwać się z dawnego życia, to miała jakiś plan B. A może nawet C, D i E.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że może wcale nie wraca do Dmitrija. Może jest w drodze do Tajlandii, do Australii. Może ucieka na jebaną Islandię, kto wie? Chodzi mi o to, że może powinienes rozważyć możliwość, że może

nie wraca do niego... ale też nie zostaje z tobą...

Mam wrażenie, jakby wbił mi w mostek szpikulec do lodu.

– Kocha mnie – odpowiadam, a warkot w moim gardle narasta.

– Powiedziała ci to?

Gdy zaciskam usta i nie odpowiadam, Connor zabiera dłoń z mojego ramienia i krzyżuje ręce na piersi.

– Okej, chcę jedynie, żebyś był gotowy na możliwość, że Eva może się nie ucieszyć, gdy znowu cię zobaczy. Jeśli ją znajdziemy.

– Kiedy ją znajdziemy – poprawiam go. – Zresztą to ty zasugerowałeś, że dzwoniła ze szpitala do Dmitrija.

– Biorąc pod uwagę całą sytuację, to całkiem możliwe. Ale mogła też dzwonić do jakiegoś pomocnika. Kogoś, kto przelewa jej kasę. Kogoś, kto pomógł jej uciec za pierwszym razem. Nie wiemy. Nie wiemy praktycznie nic o tej kobiecie. Poza tym, że była z Dmitrijem siedem lat...

– Wbrew swojej woli!

– ...i że potem, przez chwilę, była z tobą, a teraz uciekła.

Zanim odzywam się ponownie, potrzebuję chwili na uspokojenie gniewu. Wiem, że Connor chce pomóc i że jego sugestie mają ręce i nogi.

Wiem też, że całkowicie się myli.

– Rozumiem. Szanuję twoje zdanie. Ale odpowiedz mi na to: jakbyś się poczuł na moim miejscu, gdybyś słuchał, jak ja podważam motywy Tabby?

Jego twarz zachodzi mrokiem. Jego oczy, czarne jak oceaniczne dno o północy, stają w ogniu.

– No, tak właśnie myślałem. Więc, chciałbym teraz poszukać mojej kobiety, jeśli nie masz nic przeciwko.

Ruszam korytarzem w stronę, w którą poszła Tabby. Przez całą drogę słyszę za plecami niski rechot Connora.

ROZDZIAŁ 3

Eva

Gdy w końcu jestem w stanie usiąść i otworzyć oczy, czuję się jak człowiek, który powrócił z zaświatów.

Boli mnie dosłownie wszystko – głowa, ciało, nedorzeczna duma.

Już po kilku chwilach ostrożnego rozciągania kończyn i testowania granic tolerancji na ból, dochodzę do wniosku, że kości mam całe. Zwieszam nogi z krawędzi łóżka, na którym leżałam skulona, odkąd rzucił mnie na nie Killian, i oceniam szkody.

Wielki siniak ciemnieje na lewym nadgarstku. Nagie kolana są zaczerwienione i obtarte. Czuję w ustach metaliczny posmak krwi i boli mnie gardło. Jestem pewna, że szyja też jest paskudnie posiniaczona.

Killian wygląda na faceta oddanego swojej robocie.

Idiotka. Powinnam była wiedzieć, że koleś, który ma słowo *kill* w imieniu, uzna moje żałosne *nie możesz mnie złamać* za wyzwanie.

Staję niepewnie, krzywiąc się z bólu, i rozglądam się wokoło. Jestem w przestronnej, eleganckiej kajucie, ozdobionej w kojące kremowe i szare barwy. Przez trzy okrągłe bulaje na przeciwległej ścianie widać niebieski ocean i błękitne niebo, a delikatne kołysanie to niezbity dowód na to, że opuściliśmy już doki. Elektroniczny zegar na szafce nocnej informuje, że jest bardzo wcześnie, tuż po świcie.

Ostrożnie podchodzę do drzwi. *Zamknięte.* Pośpiesznie sprawdzam kajutę, zaglądam do szafy, łazienki, szuflad, szukam jakiegokolwiek broni. Wiedziałam, że niczego nie znajdę, ale zawsze warto spróbować.

Wracam do łazienki, korzystam z toalety, myję ręce, chłopcę wodę z kranu, a potem szykuję się na zderzenie z odbiciem w lustrze.

Gdy w nie spoglądam, mój żołądek skręca się w supeł.

Dolna warga jest rozcięta i opuchnięta. Lewy policzek, też spuchnięty, nabiera ciekawych odcieni fioletu. Miałam rację co do szyi. Znajduję na tchawicy idealne odbicie kciuka Killiana. Dotykam bolesnego guza na potylicy i w czterech różnych językach przeklinam dzień, w którym ten skurwiel przyszedł na świat.

Przynajmniej włosy nadal jakoś wyglądają.

Dawniej, gdy najbardziej tego potrzebowałam, to właśnie stary, dobry wisielczy humor pomógł mi przetrwać horror mojego życia. Matka mawiała, że człowiekowi wszystko można wybaczyć, poza brakiem poczucia humoru. Ale to było zanim poznała Dmitrija i przekonała się na własnej skórze, że człowiek może mieć znacznie gorsze wady.

Kiedy myślę o rodzicielce, nachodzi mnie żal, ale szybko go tłumię. Żal mi teraz nie pomoże. Obecnie przyteczna będzie jedynie ostra, chłodna determinacja.

Zabiłam już dwóch ludzi. Pierwszemu wbiłam lufę w szczękę i bez mrugnięcia okiem rozwalłam łeb. Drugiemu strzeliłam w pierś. Dawniej na pewno mogłabym przysiąc, że nie jestem zdolna do takich czynów, a jednak konieczność jest bezwzględna nauczycielką. Wiem, że odebranie człowiekowi życia to ciężki grzech, który można zmyć z duszy tylko pokutą i modlitwą o przebaczenie...

Ale nie żałuję. A zatem nigdy nie uzyskam przebaczenia.

Jaki z tego wniosek? Jestem potępiona.

Przynajmniej już mi nie zaszkodzi, jeśli jeszcze bardziej unurzam ręce we krwi.

Szykuj się Dmitrij, bo nadchodzi.

Moją uwagę zwraca jakiś blask. Na komodzie naprzeciwko łóżka fasety kryształowej wazy rozszczepiają słoneczne światło. Wiązki złota, czerwieni, niebieskiego i zieleni oświetlają kajutę oślepiającymi falami kolorów, które znikają równie szybko, jak się pojawiają, gdy statek podskakuje

w górę i opada w dół.

Podchodzę do wazy, biorę ją do rąk i z całej siły rzucając ją w ścianę.

Z głośnym trzaskiem rozbija się na miliony kawałeczków. Instynktownie osłaniam oczy ręką, a potem podnoszę z podłogi spory odłamek kryształu i wracam z nim do łazienki.

Łapię garść włosów i z pomocą nierównej krawędzi kryształu odcinam go tuż przy szyi.

Dmitrij zawsze uwielbiał moje włosy. Obsesyjnie je głaskał, na przykład gdy leżałam i płakałam po kolejnym biciu. Wykorzystywał je również jak smycz, za którą szarpał, gdy używał mojego ciała na najpodlejsze sposoby. Killian też z nich skorzystał. Łatwo za nie złapać i szarpnąć, żeby pozbawić mnie równowagi. Żeby nie mogła uciec.

– Już nie będzie im tak łatwo... – mamrocze do odbicia, zabierając się za kolejną garść włosów.

Gdy kończę, umywalka jest pełna długich złoto-brązowych pukli. Gapię się na nie i czuję dziwną euforię. *Powinnam była to zrobić lata temu.*

Rozlega się głośne pukanie do drzwi.

– Wchodzę!

Tętno podskakuje mi na sam dźwięk głosu Killiana. Chowam odłamek kryształu do kieszeni sukienki i wychodzę z łazienki dokładnie w chwili, gdy wkracza do kajuty.

Przyniósł tacę. Gdy staje jak wryty na mój widok, szklanka wody uderza z brzękiem o talerz. Po dłuższej chwili przygląda się krytycznie mojej nowej fryzurze, następnie rzuca ostro:

– Widzę, że byłaś zajęta.

Nie komentuję, zwalczam chęć przesunięcia palcem po ostrej krawędzi odłamka.

Killian podchodzi do małego biurka pod bulajami i rzuca na nie tacę. Następnie odsuwa krzesło, obraca je ku sobie i sadza na nim swoją masywną sylwetkę, zakłada ręce za plecy i patrzy na mnie wyczekująco.

Nie reaguję, więc kiwa głową w stronę tacy i rozkazuje:

– Jedz.

Już przed chwilą zaczęłam się ślinić na zapach bekonu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam, ale nie mam nastroju na posiłek w towarzystwie. Zwłaszcza w takim.

Z drugiej strony nie mam też nastroju na kolejne lanie, więc spełniam polecenie.

Zabieram tacę, siadam na krawędzi łóżka, kładę ją na kolanach i jem. Palcami, bo sztućców mi nie dostarczono.

Killian sapie z aprobatą.

Mogłabym zabić gnoja gołymi rękoma.

Trudno połykać przez opuchnięte gardło. Pomiędzy kęsami muszę je nawilżać łykami wody. Nieruchome spojrzenie Killiana pogłębia dyskomfort. Mam ochotę powiedzieć, żeby spadał – przy okazji, spadaj prosto do piekła żalosna namiastko istoty ludzkiej – ale jestem mistrzynią gryzienia się w język i grania na czas.

– W tej białej tubce obok talerza jest maść z arniki – mówi, gdy odrywam kawałek tosta z roztopionym masłem.

Zamieram. *Z arniki?*

– Na siniaki. – Patrzy na moją szyję. Przelyka ślinę, aż podskakuje mu jabłko Adama. Zaciska zęby, gdy milczę.

Gdy spogląda mi w oczy, rozluźniam ściągnięte ze zdziwieniem brwi i przelykam. Biorę kolejny, ostrożny łyk wody i zastanawiam się, jak odpowiedzieć. Po namyśle stawiam na sztywne „dziękuję”.

– Nie ma za co.

Jestem skrajnie zdezorientowana.

Dojadam posiłek w ciszy. Tost z pszenicznego pieczywa, jajecznica, cztery plastry bekonu – zjadam to wszystko pod ostrzałem sokolego wzroku Killiana. Po posiłku wycieram usta i ręce lnianą serwetką, po czym odkładam talerz.

Spuszczam wzrok i czekam.

Jeżeli jeszcze raz spróbuje mnie uderzyć, rozplątam mu gardło.

Gdy cisza staje się nie do zniesienia, Killian wstaje. Zabiera tacę z moich kolan, a ja przez cały

czas patrzę w podłogę. Odwraca się i odchodzi na kilka kroków. Oddycham łżej, lecz gdy znów obraca się do mnie, krew przestaje krążyć mi w żyłach.

Ujmuje moją brodę pomiędzy palce i unosi ją wyżej. Z nieodgadnioną miną przygląda się siniakom na policzkach. Obraca moją głowę w bok i przygląda się szyi.

Trwam w idealnym bezruchu, nie kulę się ani nie wzdragam, nie śmiem nawet oddychać. Jak złapana w bursztynie mucha.

– Boli cię to?

Wiesz, że tak, gnoju. Kiwam głową ledwie zauważalnie, ale wystarczająco, żeby zrozumiał.

– Czyli rozumiałaś lekcję?

Jego niski, ochryply głos niczego nie zdradza, ale ja potrafię rozpoznać, gdy ktoś składa mi ofertę. Nienawidzę go, ale jeśli to oznacza koniec starć mojego ciała z jego pięściami, przyjmę ją.

– Tak.

Mięśnie jego szczęki znowu się naprężają. Robi wydech. Pewnie to sobie wymyślam, ale zabrzmiał jak wydech ulgi.

– To dobrze. Oddaj ten kawałek wazy, który trzymasz w kieszeni. – Z początku nie reaguję, więc dodaje spokojnie: – Nie zmuszaj mnie, bym musiał powtarzać.

Wyciągam odłamek i kładę go na środku talerza, gdzie jeszcze niedawno leżała jajecznicza. Staram się nie wyglądać jak przyłapany na gorącym uczynku dzieciak.

– Kiedy wrócę, ten bałagan będzie posprzątany. – Zerka na walające się wszędzie kawałki kryształu, a potem znowu na mnie. – I nie będziesz już próbowała niczego przede mną chować. Zrozumiano?

Dlaczego jest taki miły?

– Tak.

Bacznie mi się przygląda. Chyba uznał moją minę za dostatecznie posłuszną, bo puszcza mój podbródek, odwraca się i wychodzi bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi.

Klucz obraca się w zamku i zostaje sama, zachodząc w głowę, co mi umyka.

Poznałam w życiu sporo psychopatów, ale takiego jeszcze nie.

W kajucie nie ma telewizora, telefonu ani komputera. Nie ma też nic do czytania, więc posprzątawszy podłogę i wyrzuciwszy kawałki wazy do kosza na śmieci, pozwoliłam, by zmęczenie ukołysało mnie do snu.

Śnię o Nazie. Trzyma mnie w swoich silnych ramionach i pyta:

– Myślałaś kiedyś o dzieciach?

Budzę się z mokrymi policzkami.

Przepraszam. Przepraszam. Proszę, nie znieńwiedz mnie za to.

Pukanie do drzwi rozlega się dokładnie w chwili, w której wstaję z łóżka. Tym razem Killian nie zaprzęta już sobie głowy zapowiadaniem wejścia do środka. Po prostu wchodzi, trzymając w ręce kupkę złożonych ubrań.

Na widok mojej twarzy, nagle staje. Zaciska usta. Jego brwi łączą się nad oczami w jedną linię.

Zakładam, że oberwie mi się za łzy, więc pośpiesznie wycieram policzki i staję na bacność. Bez włosów moja głowa wydaje się taka lekka, ale też nieprzyjemnie obnażona. Przesuwam nerwowo dłonią po szyi, czekając, aż coś powie. Oczekuję na kolejny ruch rywała w naszej popieprzonej partii szachów.

Powoli i cicho jak pantera zbliża się do nieposłanego łóżka.

Jak tak wielki mężczyzna może być tak cichy?

– Umyj się i załóż to. – Kładzie ubrania na materacu i przenosi na mnie wzrok. – Potem przyjdź na główny pokład.

Powstrzymuję odruchowe „po co?” i tylko kiwam głową. Wychodzi równie cicho, jak przyszedł, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

Wyglądam na pusty korytarz, słyszę jedynie szum wiatru i fal oraz gorączkowe bicie mojego serca. *Czy to jakiś test?* Nie wiem, ale jestem zaniepokojona.

Może o to im chodzi. Bym stale była roztrzęsiona. Żebym ciągle musiała się zastanawiać. Żebym spuściła gardę, a gdy znowu się potknę, on „będzie zmuszony” mnie ukarać.

Zamykam drzwi kajuty, wchodzę do łazienki i również się zamykam, choć wiem, że przed niczym mnie to nie obroni. Killian i jego głupie, wielkie mięśnie mogą roznieść te drzwiczki w drzazgi.

Wchodzę pod natrysk, namydlam ciało, myję głowę cytrynowym szamponem, spłukuję go, a potem wyłączam wodę i wycieram się grubym ręcznikiem z białej bawełny. W szufladach nie ma grzebienia ani szczotki, więc czeszę się palcami. Krótkie włosy mi pasują, choć są potargane i nierówne.

Wyglądam jak ktoś inny. Jak kobieta, która nie ma czasu na błahostki pokroju ładnej fryzurki, bo skupia się na ważniejszych sprawach. Znacznie bardziej *śmiercionośnych*.

– Pan rzekł, że zemsta należy do niego – mówię swojemu odbiciu w lustrze. – Ale nikt nie mówił, że nie można mu w tym pomagać.

Dociera do mnie, że mogę być w tej chwili niespełna rozumu, bo połączenie traumy fizycznej i psychicznej każdego może wytrącić z równowagi, ale ta myśl pozostawia mnie dziwnie spokojną. To pewnie kolejny dowód, że mój mózg wybrał się na urlop i jestem na mentalnej ziemi niczyjej, ale naprawdę mnie to wszystko nie rusza.

Zresztą, tam dokąd zmierzam, zdrowie na umyśle nikomu nie jest potrzebne.

Ubieram się, smaruję maścią z arniki najgorsze zasinienia i ruszam na górę.

W świetle dnia dostrzegam, jak luksusowy jest ten jacht. Polerowane drewno, lśniąca lustra i meble z białej skóry, a to wszystko doprawione gustownymi obrazami olejnymi i dziełami sztuki. Wchodzę krętą, szklanką klatką schodową i trafiam do dużego salonu. Po jednej stronie są miejsca do siedzenia i kącik medialny, po drugiej otwarty taras.

Na zewnątrz, w szezlongu siedzi rozkoszujący się słońcem i kieliszkiem szampana Raphael. Od stóp do głów jest ubrany w nieskazitelny biały len. Unosi twarz ku niebu, ma zamknięte oczy, lecz choć wygląda na całkowicie odprężonego, to ma zmarszczone czoło, jakby rozmyślał o czymś nieprzyjemnym.

Musiał wyczuć moją obecność, bo obraca głowę i otwiera oczy. Gdy mnie zauważa, tężeje i blednie, jakby dostał w twarz.

– Dzień dobry – mówię, stojąc nieruchomo na szczycie klatki schodowej. – Miło mi, że przynajmniej jedno z nas przyjemnie spędza czas.

Wstaje, nie potrafi zamaskować rysującego się na twarzy przerażenia. Kieliszek drży w jego dłoni. Powoli wchodzi do salonu. Jest ewidentnie wstrząśnięty moim wyglądem, więc ciekawe komu przypisał krzyki rozchodzące się zeszłej nocy pod pokładem.

I ciekawe, jak według niego miałyby wyglądać wymierzona mi przez Killiana kara.

Na pewno nie tak, jak w rzeczywistości. Facet chyba zaraz zemdleje.

– Moja droga... – wydusza. Błady i zszokowany, przystaje kilka kroków przede mną i łapie się za własne gardło. – Och, moja droga. Cóż on ci uczynił?

– Zakładam, że wykonał swoją robotę.

Raphael otwiera usta, po chwili je zamyka i przełyka ślinę. Uśmiecha się, ale wymuszenie tego uśmiechu wymagało od niego gargantuicznej siły woli.

– Tak. Oczywiście.

Przygląda rozedrganą dłonią przód koszuli. Rozpromienia się na widok wiaderka z szampanem, które stoi po lewej na szafce z lustrzanego szkła.

– Napijesz się szampana?

Mrużę oczy. *Co tu się dzieje? Dlaczego zachowuje się tak dziwnie?*

– Nie.

Moja odpowiedź nie przeszkadza mu w osuszeniu własnego kieliszka. Robi to jednym haustem, jakby liczył, że alkohol pomoże mu uspokoić nerwy.

A skoro mowa o nerwach, intuicja wykrzykuje mi sygnał ostrzegawczy. Najpierw wyczuwam Killiana, dopiero potem rejestruję go zmysłami. Jego ciemna sylwetka pojawia się z tyłu, z całą swoją przygniatającą intensywnością. Powietrze robi się naelektryzowane, jakby zanosilo się na burzę.

Kiedy przechodzi, ociera się o mnie ręką i wszystkie włoski na karku stają mi dęba.

Patrzy na Raphaela chłodno, zatrzymuje się kilka metrów dalej, krzyżuje ręce na piersi i wbija wzrok we mnie.

Czuję się jak na ukrzyżowaniu.

Spuszczam wzrok, a serce łomocze mi w piersi.

– Dobrze ci w tym kolorze.

Jego głos to gardłowy warkot. Waham się z odpowiedzią, mam wrażenie, że to kolejny test. Założyłam ciuchy, które mi zostawił. Przewiązywaną w pasie sukienkę z dżerseju w kolorze masła. To prosty strój, wrzuciłabym go do torby na krótki wypad nad morze. Co ciekawe, idealnie pasuje rozmiarem.

Dmitrij nie wybrałby dla mnie takiego stroju. Woli też inne kolory. Preferuje barwy klejnotów – szafirowy, szmaragdowy, rubinowy – i ekskluzywną modę. Wyrafinowaną, drogą konfekcję, którą później lubił rozrywać na strzępy.

To, co mam na sobie teraz, uznalby za szmatę. Prawdę mówiąc, chodziłam w takich sukienkach na Cozumel. Lekkich, zwiewnych, bardzo swobodnych, stworzonych do ciepłego klimatu i wciskania do podróżnych toreb oraz waliz.

Ciekawe kto kupił tę sukienkę – bo z pewnością wiem, kto tego nie zrobił.

– Dziękuję – opowiadam, nie podnosząc wzroku, po czym dodaję ostrożnie: – Mnie też się podoba.

Cisza. Gdy podnoszę spojrzenie, w oczach Killiana tli się ogień. Na widok jego miny zasycha mi w ustach.

– Użyłaś arniki? – Kiwam głową, a on oblizuje usta i dodaje: – Grzeczna dziewczynka.

Raphael posyła mu ostre spojrzenie i odchrząkuje.

– Moja droga, może poczekaś na obiad na tarasie?

Mam ochotę odwarknąć, że to nie jest rejs turystyczny, ale rezygnuję, bo zewsząd otacza mnie dziwna, pulsująca energia Killiana. Zachowam się potulnie, tymczasem będę uważnie wypatrywała i nasłuchiwała, żeby dowiedzieć się, o co tu chodzi.

Wczoraj uznałam, że to Raphael tu rządzi. Teraz myślę sobie, że jest tylko fasadą.

Myślę, że prawdziwym szefem jest tu Killian, ale ja mam o tym nie wiedzieć.

A to rodzi pytanie, czego jeszcze miałam nie zauważyć?

Co jeszcze ukrywa przede mną tych dwóch mężczyzn?

ROZDZIAŁ 4

Naz

Odnajduję Tabby w pokoju wojennym, czyli centrum dowodzenia całą firmą. Przestrzeń jest zdominowana przez stojący na środku wielki, czarny stół. Dwie ściany są pokryte wielkimi ekranami, na których widać przekazy satelitarne i inne transmisje z całego świata. Pod ekranami, za mrugającymi światełkami konsolami, siedzą pracownicy w słuchawkach i w standardowych „mundurach” Metrix, czyli czarnych bojówkach, T-shirtach i wojskowych butach.

Wszyscy mają za paskami półautomatyczne glocki.

Tabby, która nijak tu nie pasuje z tymi kucykami, w króciutkiej skórzanej miniówce i żarówiastoróżowej koszulce, siedzi przy konsoli, która jest połączona z kolejnym, ogromnym ekranem, zajmującym niemal całą trzecią ścianę. Kiedy się zbliżam, nie obraca się do mnie, ale rzuca przez ramię:

– Daj mi chwilę. Dopiero zaczęłam.

Staję za krzesłem i obserwuję, jak jej palce przemieszczają się po klawiaturze w błyskawicznym tempie. Na ekranie otwiera się kilka okien, w tle widać wiele folderów i plików jakiegoś zewnętrznego systemu komputerowego, do której chyba się włamała. Jej palce się nie zatrzymują. Po kilku sekundach otwiera się kolejne okno, na którym wyświetla się szerokokątny obraz portu nocą.

– Czy to jest to, co myślę?

– Jeżeli myślisz, że to wideo zgrane nad ranem z kamer bezpieczeństwa władz nowojorskiego portu, to owszem, to to, co myślisz.

Patrzę z fascynacją, jak zdobywa dostęp do nagrań z różnych stron, więc bez wątpliwości z różnych kamer rozmieszczonych w porcie. Na każdym widać dzisiejszą datę i godzinę 00:01. Minuta po północy. Następnie wszystkie nagrania przyśpieszają.

– Czekaj... za szybko, nie zobaczymy identyfikatorów statków na kadłubach.

– O to się nie martw. Wypatruj kobiety w białej sukience. Jeżeli Eva tam była, to, o ile się nie przebrała, będzie rzucała się w oczy jak światło latarni morskiej. Wyłapiemy ją, to wtedy zajmiemy się właściwym statkiem.

– A, no tak. – Głupio mi, że sam na to nie wpadłem.

Mam wrażenie, że gapimy się na przyśpieszone nagrania bardzo długo. W końcu nabieram przekonania, że to na nic i Eva nie skierowała się do doków. Wtedy, w rogu jednego z okienek, zauważam rozbłysk bieli, przez co moje serce wywija salto.

– Tam! – krzyczę i pokazuję palcem.

Tabby naciska guzik, nagranie się zatrzymuje. Powoli cofa je, dopóki nie ukazuje nam się idąca wstecz kobieta. Ma opuszczoną głowę i otula się rękoma, chroniąc się przed chłodem, który na pewno czuła, zważywszy na niedostateczny na zimną, mglistą noc strój.

Bawełniana sukienka bez rękawów nikogo nie ogrzeje.

To Eva.

Uderza mnie obezwładniająca fala emocji. Przez moment mogę tylko stać i ciężko dyszeć, bo wstrząsają mną rozpalające nerwy zastrzyki adrenaliny.

Connor zbliża się do mnie od tyłu i krzyżuje ręce na piersi.

– Szybko poszło.

Tabby rozciąga ręce nad głową, gibka jak kocica.

– Wszystko hula w turbo tempie, jak dziewczyny się za to wezmą.

– Puść – wyduszam ochryple. – Zobaczymy, dokąd poszła.

Tabby stuka w guzik i nagranie ożywa. Przyglądamy się w milczeniu, jak Eva idzie szybkim krokiem głównym chodnikiem wzdłuż nabrzeża, a potem skręca na jedno z mol. Sprawia wrażenie niepewnej kierunku, co jakiś czas przystaje, przygląda się zacumowanym obok jednostkom i rusza dalej.

– Co ona robi? – pyta Connor. – Szuka swojego kontaktu?
– Chyba nie wie, gdzie idzie – ocenia Tabby.
– Sprawdza nazwy statków – mówię, gdy Eva ponownie się zatrzymuje.
– Jeżeli tak, to nie wie, jak ta jednostka ma wyglądać – stwierdza Connor, zerkając na mnie kątem oka. – Czyli nie chodzi o statek Dmitrija.

A ten znowu...

– Czyli kogoś po nią przysłał.
– Do kogokolwiek należy statek, Eva go znalazła – rzuca Tabby.

Obaj z Connorem znowu skupiamy się na ekranie i patrzymy, jak Eva wchodzi po trapie na dużą czarną żaglówkę. A dokładniej rzecz biorąc jacht z żaglami. Obraz jest ziarnisty, ale rozmiar jednostki można ocenić po tym, jak małe wydają się jachty zakotwiczone obok.

Próbuję nie szaleć na widok czarnych, powiewających żagli, które budzą we mnie najgorsze skojarzenia.

– Masz jakiś lepszy kąt? Bliższe ujęcie, żebyśmy odczytali nazwę?
– Moment.

Tabby próbuje przybliżyć, ale jakość nagrania jest za niska. Kadłub przeistacza się w pikselową papkę. Po chwili obraz całkiem się zmienia, bo Tabby szuka jakiejś pobliskiej kamery, płynnie przesuwając palcami po klawiszach i przeskakując z jednej na drugą i tak dalej.

Następna kamera musi być zamontowana na latarni albo innym wysokim obiekcie, bo oto patrzymy z góry na pokład dziobowy czarnego jachtu. Stoi tam troje ludzi. Nagranie nie ma dźwięku, więc nie wiemy, o czym rozmawiają, ale jeden – siwowłosy mężczyzna w ciemnym garniturze – nagle się obraca i znika w głównej kabinie. Pozostałe dwie osoby stoją naprzeciw siebie, to Eva i drugi mężczyzna, znacznie większy od pierwszego. Widok jego sylwetki, postawy i tatuaży wystarczy, żeby wzbudzić we mnie najgorsze przeczucia.

Kolos wyciąga rękę i łapie Evę za gardło, a złe przeczucia przekształcają się w ognisty gniew.

Ryczę z wściekłości tak głośno, że wszyscy przerywają swoje zajęcia i się na mnie patrzą.

– Zajebię go!

Walę pięściami w konsolę obok klawiatury Tabby. Potem, gdy ten człowiek powala Evę na kolana i wciąga ją za włosy do kabiny, podczas gdy ona bezradnie wije się i szarpie, wydaję z siebie tak wściekłe wycie, że wyzwolone ciśnienie musi rozsadzić wszystkie naczynia krwionośne w moim ciele.

W pomieszczeniu panuje idealna cisza, słychać tylko moje dyszenie. Tabby obraca się na krześle i wbija we mnie spojrzenie.

– Dobrze – mówi spokojnie. – Wyrzuciłeś to z siebie. A teraz szykuj się, żołnierzu. Eva potrzebuje cię w szczytowej formie. I my również.

Obracam się wokół własnej osi, szarpiąc za włosy. Potem zaczynam maszerować, żeby tylko coś ze sobą zrobić.

Jeżeli nie będę w ruchu, mogę kogoś zabić.

– Z tych kamer nie odczytam nazwy statku, więc sprawdzę rejestry portowe i satelity śledzące ruch morski. Zobaczymy, co się uda znaleźć. Potrzebuję jeszcze kilku minut.

Ten głośny, wściekły pomruk, który odbija się echem od ścian, wydobywa się ze mnie.

Connor obserwuje spokojnie, jak miotam się po całej sali.

Jak mogła odejść? Nie uwierzyła, że ją ochronię? Albo że poradzę sobie z Dmitrijem? Nie wiedziała, że to mnie zabije?

Cholera... co ten chuj z nią zrobił, gdy już wciągnął ją za włosy do środka?!

Jestem wściekły, spanikowany i zszokowany. Oprócz tego odczuwam spory fizyczny ból, przez rozwaloną nogę i płuca, cokolwiek się w nich dzieje. Jestem prawie pewien, że mam też wstrząs mózgu, bo głowa mi pulsuje, jakby jakiś dupek nawalał w niej młotem pneumatycznym.

Eva. Eva, dlaczego?

– To nie miało sensu – stwierdza Connor z namysłem.

Moją pierś rozrywa kolejny ryk. Jestem tak rozjuszony, że na chwilę zatracam zdolność mowy.

– Gdyby ci kołesie byli od Dmitrija, to by jej tak nie traktowali. On jest szefem, ona jego

własnością... – posyła mi przepraszające spojrzenie – ...a przynajmniej oni powinni tak uważać. Baliby się uszkodzić własność szefa.

– Connor, to są bandyci – cedzę przez zęby. – Kryminaliści. Nie mają kodeksu honorowego, jak my.

– Nie mają, ale każda organizacja przestępcza ma hierarchię, a Dmitrij Ivanov siedzi na szczycie ich drabiny. Przecież jego człowiek miałby świadomość, że szef zabije go za wyrwanie się przed szereg. A to... – wskazuje na ekran – ...z całą pewnością było wyrwaniem się przed szereg.

Zatrzymuję się i patrzę na niego.

– Natomiast jeśli oni nie są od niego... – kontynuuje. – Jeżeli, tak jak mówiłem wcześniej, to jacyś jej kumple, jej plany B czy tam C... to też by jej tak nie traktowali. – Na moment pauzuje i świdruje mnie swoimi czarnymi oczami. – Więc jeżeli nie są od Dmitrija ani od niej, to co to za jedni?

– Daleko posunięte wnioski jak na dziesięciosekundowe wideo.

– Ma niepokojąco dobrą intuicję – rzuca Tabby przez ramię. – Naprawdę niepokojąco. I w stu procentach się z nim zgadzam. Nikt z listy płac Dmitrija nie wywinąłby takiego numeru. Nie bez powodu cieszy się reputacją pojeba.

Serce wali mi tak mocno, że chyba wszyscy je słyszą. To gównu mnie zabije, przysięgam.

– Mówcie, co myślicie.

Connor przesuwa zamyślony wzrok na ekran.

– Ja myślę, że w grę włączył się nowy gracz.

Robi mi się zimno, a potem gorąco.

– Tabby, znajdź ten pierdolony statek – cedzę powoli.

– A to ci zabawne – odpowiada, obracając się na krześle i patrząc najpierw na Connora, a potem na mnie. – Satelita morski ma nieustalony DNS. A w portowym rejestrze wyskakuje błąd 404.

– Tabby. Na rany Chrystusa, mówże po ludzku.

– Chce powiedzieć, że oba systemy zdechły – wyjaśnia Connor.

– I to bynajmniej nie przypadkowo. Oba zostały zdjęte przez tego samego, eleganckiego wirusika.

To gównu robi się coraz bardziej cuchnące.

– Ktoś chciał mieć pewność, że nie będą śledzeni.

– Ktoś łebski – potwierdza Tabby.

– Ale nie dość łebski, żeby wyczyścić portowe kamery. – Wypuszczam powietrze z płuc i próbuję pozbierać rozbiegane myśli. – Dobra, czyli musimy przejrzeć wszystkie nagrania z portu i trzymać kciuki, że wypatrzymy wyraźną nazwę statku, na który wsiadła...

Przerywa mi śmiech Tabby.

– Co cię tak bawi? – pytam zbity z tropu.

– Ty, żołnierzyku. Jeżeli chcesz spędzić długie godziny nad nagraniami, proszę cię uprzejmie. Albo możesz dać mi pięć minut i znajdę ci tę nazwę.

– Co? Jak? Przecież powiedziałaś, że oba systemy leżą!

Tabby wzdycha cicho, to wyraz jej rozczarowania.

– Naprawdę nie mam pojęcia, jakim cudem ludzie z penisami trzymają stery świata.

Obraca się na krześle w stronę konsoli i zaczyna stukać w klawisze.

Gdy po kilku chwilach na ekranie pojawia się satelitarny obraz portu, kręcę głową z niedowierzaniem.

– Nie czaję.

– Witaj w klubie, brachu – rechocze Connor.

– Co, myślicie, że nad nami krąży tylko jeden satelita? – prychna Tabby, stukając w klawisze. – Staruszki, w kosmosie krąży tyle sprzętu, że Ziemię otacza jakby własny pas asteroidów, tyle że metalowych. – *Stuk, stuk, stuk.* – Ale aktualnie działa tylko dwa tysiące satelitów. Zobaczmy, co tam NASA dziś dla nas ma...

– Nie boisz się śmierci, dzieląc życie z tą dziewczyną? – pytam, zerkając na Connora.

– Każdego dnia – odpowiada.

– Proszę, dzieciątka. Wielki, czarny jacht żaglowy opuszcza port o wpół do pierwszej.

– A jak, kurwa, zobaczymy nazwę z tej wysokości?

Tabby ponownie wzdycha i burczy coś pod nosem, po czym wraca do stukania. Po chwili uśmiecha się szeroko i rozpira na krześle.

– Łatwizna, jak zabranie dziecku lizaka.

Obraz zmienia kąt, przechodzi w zbliżenie i wyostrza się, ukazując podświetlone litery, ciągnące się w poprzek pawęży.

– Śliczny ten *Silver Shadow* – stwierdza Tabby.

Tętno łomocze mi w uszach, obracam się na pięcie, mój umysł wystartował już chwilę temu.

– Dowiedz się, do kogo należy, dokąd płynie i prześlij mi to wszystko.

– O, teeraz nabrał we mnie wiary – mamrocze Tabby.

– Naz, gdzie idziesz?! – woła za mną Connor.

– Muszę złapać cień³ – odpowiadam, kierując się do wyjścia.

ROZDZIAŁ 5

Eva

Siedzimy z Raphaelem i Killianem na tylnym pokładzie przy osłanianym markizą stole, a milcząca, jednolicie umundurowana załoga serwuje nam obiad.

Nawet jeżeli moje sińce zaniepokoiły kogoś z personelu, to nie dał tego po sobie poznać. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta nawet nie podnoszą na mnie oczu, sprawnie rozkładając talerze z mięsami, serami i owocami, nalewając wodę gazowaną do kryształowych szklanek, czy rozkładając na naszych kolanach Iniane serwety.

Natomiast Killian obserwuje mnie przez cały ten czas.

A Raphael obserwuje Killiana.

Kątem oka, subtelnie, ale obserwuje. Jego zaciśnięte usta i głęboka bruzda między brwiami dowodzą, że nie podoba mu się to, co widzi.

Kobieta z załogi – szczupła Afroamerykanka tuż po dwudziestce o boskich brązowych oczach i długich rzęsach – pyta cichutko, czy miałabym ochotę na kieliszek wina do obiadu.

– Nie, dziękuję.

– Napije się chardonnay – rozkazuje Killian.

Raphael wbija w niego ostry jak sztylet wzrok. Interesujące. Postanawiam przetestować własne szczęście i zobaczyć, co będzie dalej. Trwa tu jakiś spór o władzę, a napięcia między nimi mogą okazać się dla mnie korzystne.

– Wolałabym czerwone – mruczę moim najpotulniejszym głosikiem. Unoszę powieki i patrzę Killianowi w oczy na tyle długo, że aż zrobiło się niekomfortowo. – Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko.

Jego usta delikatnie się wykrzywiają, ale tym razem nie w diabelskim uśmiechu, który widziałam wcześniej. Ten uśmiech jest intymniejszy, delikatniejszy, mroczniejszy, świadczący o jakichś przewrotnych żądзах.

– Uważaj. Jeśli będziesz tak patrzyła, to jeszcze pomyślę, że poczułaś do mnie miętę.

Raphaela pokrywa czerwona maska, która szybko rozlewa się z szyi na twarz.

– Dość tego – warczy.

– Powiem, gdy będzie dość – mówi Killian, nie odrywając ode mnie wzroku. – Jak myślisz, Eva? Mam już dość?

Nie jestem pewna, co się dzieje, natomiast wiem, że Killian to człowiek przywykły do wydawania, a nie przyjmowania rozkazów. To żaden chłopiec na posyłki, jak początkowo sądziłam.

Mam do czynienia z samcem alfa.

Opieram się na krześle i oceniam go z nowej perspektywy. Ładna Afroamerykanka stoi tuż obok mnie ze spuszczonego wzrokiem, pokornie czekając na polecenia. Dobrze ją wytresowali.

Jak niegdyś mnie.

– Czy mogę mówić szczerze? – Uśmiech Killiana się poszerza, rozbawiłam go. Kiwa głową, z istic królewską łaskawością. – Nie, według mnie jeszcze nie masz dość. Myślę, że nawet nie zaczęłaś. W gruncie rzeczy uważam, że dość będziesz miał dopiero, gdy staniesz samotnie na stercie ciał tak wysokiej, że przesłoni słońce.

Nachylam się i biorę z talerza kawałek sera havarti, a następnie zwracam się do dziewczyny:

– Po namyśle, chciałabym szklankę rumu. Mount Gay, jeśli macie. Z plasterkiem cytryny, bez lodu.

Afroamerykanka zerka na Killiana. Jego uśmiech nadal tkwi na swoim miejscu. Kiwa głową, nie zaszczyciwszy dziewczyny spojrzeniem. Daje jej zgodę na oddalenie się i podanie mi zamówionego drinka.

Raphael wygląda, jakby miał zaraz dostać wylewu. Bierze duży łyk gazowanej wody, żeby jakoś zapanować nad niezadowolaniem z przebiegu tej rozmowy. Czekam, aż obsługa jachtu się oddali, po czym mówię:

– Nie wiem, kim wy dwaj jesteście, ale jak Dmitrij się dowie, że mnie uprowadziliście, to was pozabija.

Raphael nie utrzymuje wody w ustach, wypływa mgiełkę kropelek, które osadzają się na mięsach i serach. Zaczyna się gwałtownie krztusić, podczas gdy my z Killianem mierzymy się wzrokiem.

Strzelałam w ciemno, ale trafiłam w sam środek tarczy, do cholery. To nie Dmitrij ich przysłał. Więc pytanie brzmi: kto... i po co? A także: co planują ze mną zrobić, ale tym będę przejmowała się później.

– To nie był mój pomysł! – krztusi się Raphael. – Musisz mi uwierzyć...

– Jeszcze słowo – mówi Killian flegmatycznie – a utnę ci język.

Raphael zamyka się z komicznym czknięciem.

Wpatruję się w Killiana z sercem w gardle i z nerwami poskręcany jak postronki. On też patrzy na mnie długo i z namysłem, wybijając palcami na białce miarowy, spokojny rytm. Ma tatuaże na wszystkich knykciach. Inicjały. Kwiaty. Przebitą nożem czaszkę.

– Myślisz, że twój ukochany rozpętałby dla ciebie wojnę?

– Ani razu nie powiedziałam, że to mój ukochany – warczę, oburzona myślą, że ktokolwiek mógłby pomyśleć, że zależy mi na człowieku, który przez tyle lat mnie maltretował.

Killian nachyla się bliżej i wspiera ręce na stole. Jego oczy – bogaty orzech w świetle słońca – skupiają się na mnie z intensywnością lasera.

– Twierdzisz, że go nie kochasz?

Gniew sprawia, że formułuję słowa, których normalnie bym nie wypowiedziała.

– A stanowi to dla ciebie różnicę?

– Nie prowokuj mnie – rzuca ostrzej.

– Dlaczego, bo znowu mnie pobijesz? Szczerze? Myślę, że zrobiłeś to tylko po to, żeby ugruntować dominację, wystraszyć mnie i ułożyć, żebym nie sprawiała problemów.

– Tak myślisz? – pyta głosem tak niskim, że prawie niknie pośród trzepotu szarpanych morską bryzą żagli.

Nie przerywam kontaktu wzrokowego, choć jestem niemal pewna, że gałki oczne zaraz uciekną mi w głąb czaszki z przerażenia.

– Myślę, że źle się z tym czujesz.

– Moja droga... – szepcze blade i sztywny Raphael. – Przestań, proszę.

Dociera do mnie, że jest moją najlepszą szansą na dotarcie do prawdy. Killian jest zbyt zrównoważony, zbyt opanowany, zbyt inteligentny. On na pewno niczego nie zdradzi.

Niestety, zanim Raphael pięknie, będzie musiało zrobić się nieprzyjemnie.

Killian wyczuwa moje rachuby.

– Dobierz kolejne słowa bardzo ostrożnie – mówi ze śmiertniczą łagodnością i błyskiem brutalności w oczach. – Bo kłamałem przy pierwszym spotkaniu.

Czuję pod skórą cichy szmer przyspieszonego tętna. Nerwowo oblizuję wargi.

– O czym?

– O twojej śmierci i penetracji – odpowiada, patrząc mi głęboko w oczy. – Tak naprawdę nie mam żadnych ograniczeń.

Moje serce bije szaleńczo i boleśnie.

Koszmarnie się pomyliłam. Nie wiem, co Killian planuje, ale wcale nie jestem mu niezbędna.

Jestem tylko narzędziem.

Wraca dziewczyna z moim rumem. Gdy tylko stawia szklankę obok mojego talerza, Raphael rzuca się na nią, jakby spędził dekadę na pustyni. Osusza ją jednym haustem.

– Bardzo pana przepraszam – duka dziewczyna. – Nie wiedziałam, że pan również sobie życzy.

– Przynies całą butelkę – mówi Killian. – Mam przecucie, że mu się przyda.

Zrywa się nagle na nogi, wbijając we mnie swój morderczy wzrok.

Ja, z walącym sercem, zeskakuję z krzesła tak gwałtownie, że je przewracam. Wali się z hukiem na pokład.

Killian się na mnie rzuca.

Jest szybki, ale ja szybsza. Kilkoma szybkimi krokami przebiegam na boczny pokład. Przeskakuję przez reling z najwyższą łatwością.

Spadam jak kamień, sukienka podrywa się na wietrze i przesłania mi twarz, więc cały świat staje się żółty.

Ocean wita mnie lodowatym, brutalnym ukąszeniem w skórę i wciąga w głąb, wysysając powietrze z moich płuc. Po kilku chwilach wyrwam się na powierzchnię, dusząc się i kaszłając, ale zaczynam ruszać nogami, płynę.

Tyle że nie mam dokąd. Jesteśmy gdzieś na Atlantyku, na widnokregu nie ma żadnego łądu. Choć słońce świeci, woda jest zimna i mroczna, na pewno roi się tu od rekinów.

Ale wolę pójść na dno albo dać się pożreć żywcem niż pozwolić, żeby Killian ponownie położył na mnie łapska, więc brnę dalej, przebijam się przez kolejne spienione fale i mrużę oczy, wpatrując się w odludny horyzont.

Po chwili sapanie mojego umęczonego oddechu miesza się z pomrukiem silnika. Dziesięć metrów dalej pojawia się motorówka, zwalnia.

To motorówka z jachtu, kieruje nią jeden z umundurowanych załogantów.

Stojący na burcie ze skrzyżowanymi na torsie ramionami Killian patrzy na mnie z góry.

Ignoruję go i płynę dalej.

Przez dłuższy czas nic nie robi, tylko mnie obserwuje. Motorówka płynie powolutku obok mnie, ani na chwilę nie wyrwa się naprzód, ani nie zostaje z tyłu. Gdy zatrzymuję się, żeby złapać oddech i młóć wodę kończynami, jej silnik gaśnie, przechodzi w dryf. Gdy ruszam dalej, silnik ożywa.

Killian nadal śledzi mnie wzrokiem. Jak czający się na posiłek drapieżnik.

Niedługo później jestem na skraju wyczerpania. Adrenalina się wyczerpała, wszystkie mięśnie mnie bolą i drżą. Może jest wzburzone, woda lodowata. Wiem, że lada moment dostanę hipotermii i stracę przytomność.

Naz.

Przypadkowo zachłystuję się słonawą wodą, zaczynam kaszleć tak mocno, że nie mogę oddychać. Palą mnie oczy, mam bolesne skurcze w nogach. To chyba równie dobry sposób, by odejść, jak każdy inny.

Bez wątpienia nie raz groziła mi znacznie gorsza śmierć.

Odchyłam głowę, spoglądam w niebo, pozwalam, by oślepiło mnie słońce. Przy kolejnym wdechu nabieram już tylko wody, Boże, jak to pali.

Naz. Dziękuję ci. Dziękuję ci koniec końców było warto.

Z odmętów wyrwa mnie para brutalnie silnych rąk, wciągają mnie na motorówkę i rzucają na podłogę, gdzie spazmatycznie krztuszę się i pluję.

– Uparta – mamrocze górujący nade mną, rzucający na mnie cień Killian.

Nie jestem w stanie przestać kaszleć, nic nie widzę. Woda cieknie mi z nosa i z ust. Całe moje ciało rozpaczliwie walczy o powietrze, instynktownie próbuje pozbyć się z płuc reszty wody.

Killian wali mnie w plecy, robi to bardzo boleśnie, bo on inaczej nie potrafi, to ma być kara.

Cały czas wypluwam wodę z ust. Mężczyzna łapie mnie w plecy jeszcze raz i jeszcze raz, bez końca, aż odzyskuję oddech i zasysam powietrze łapczywymi haustami. Potem rzuca mnie na brzuch i mówi coś w języku tak pięknym, że brzmi jak muzyka. Jego ton jest ostry, to zapewne przekleństwa, ale słowa brzmią tak gładko i uroczco, jak obmywający kamienie strumień.

– *A chonách san ort!*

Wbita w zimną, metalową podłogę, zwijam się w kłębek i zamykam oczy. Nie panuję nad drgawkami. Szczękam zębami. Zapach oleju napędowego pali mnie w nos.

Musiałam przysnąć albo zemdleć, bo nagle ktoś wywleka mnie za nadgarstki z łodzi. Jesteśmy we wnętrzu kadłuba, w której trzymają na jachcie motorówkę. Gdy moje stopy dotykają pokładu, od razu padam na czworaka. Nogi mam jak z galarety, nie potrafią mnie podtrzymać.

Killian bierze mnie na ręce.

Natychmiast cała tężeję, ale on mówi:

– Nie ruszaj się, bo cię uduszę.

Jestem zbyt wycieńczona, by walczyć, zamykam więc oczy i pozwalam głowie opaść na jego bark.

– Chyba że uduszę cię pierwsza.

Odpowiada jakimś odgłosem. Nie wiem, czy to pomruk złości, czy rehot.

Przemieszczamy się korytarzami jachtu szybko i w milczeniu, aż w końcu docieramy do mojej kajuty. Killian staje przy łóżku i stawia mnie na własne nogi, jednocześnie przytrzymuje mnie za ramiona.

– Zdejmij sukienkę.

Kulę się w przerażeniu, znajduję w kończynach na tyle siły, by raz się szarpnąć, ale on natychmiast potrząsa mną tak mocno, że moja głowa lata na boki niczym niesiony wiatrem liść.

Przysuwa twarz do mojej twarzy i cedi:

– Zdejmuj. Nie każ mi powtarzać.

– Jeżeli liczysz, że dobrowolnie ułatwię ci gwałt, to musisz mnie zabić – syczę.

– Gwałt by mi uwłaczał. Ale morderstwo nie – odpowiada, akcentując wyraźnie każdą głoskę, ale nie podnosi przy tym głosu, nie traci ani odrobiny opanowania.

Kajuta się kołysze. Nie mogę myśleć. Jestem za słaba na ucieczkę, cała ta walka kompletnie mnie wyczerpała.

Nagle pragnę tylko końca, żeby to wszystko już się skończyło.

– Zabawne, nie sądziłam, że śmierć będzie mówiła po gaelicku.

Jego oczy robią się lodowate.

– Nie wierzysz mi?

– Och, wierzę, wierzę. Po prostu mam to gdzieś. Jedyne powód, dla którego warto żyć, zostawiłam za sobą.

Killian marszczy brwi i przechyla głowę na bok.

– Za sobą? O czym ty mówisz, przecież Dmitrij...

– To potwór, który ukradł mi siedem lat życia – odpowiadam głosem ociekającym czystą nienawiścią. *Momencik... a dlaczego w kajucie robi się coraz ciemniej?*

Moje nogi nie wytrzymują. Wiotczeję w jego uścisku. Głowa opada mi na bok, powieki się zamykają.

Ostatnie, co pamiętam, to oczy Killiana. Zacięte i badawcze, zwężone, ciemne, przyćmione ewidentną dezorientacją.

ROZDZIAŁ 6

Naz

Idę już do drzwi, ale Connor dogania mnie, zanim docieram do połowy korytarza.

– Czeka! – Łapie mnie za ramię. – Nasir, czekajże chwilę. Musimy wymyślić jakiś plan!

Zrzucam jego dłoń z ramienia, ale przystaję i odpowiadam, patrząc mu w oczy.

– Plan polega na tym, że ruszam po Evę. Bum! Oto jebany plan – oznajmiam, nie mogąc się uspokoić.

Unosi ręce w geście kapitulacji.

– Ej, jesteśmy po tej samej stronie.

Ma rację. Jesteśmy. A ja zachowuję się histerycznie i nierozsądnie, ale nie mogę zapomnieć, jak ten wytatuowany skurwiol położył łapska na wiotkiej szyi Evy.

Wyrwę mu serce i zeżrę je, zanim przestanie bić.

Przeczesałem włosy palcami, zaplatam dłonie za karkiem i stoję, oddychając głęboko przez nos, cały czas próbując ignorować przeszywający ból nogi. Moja pierś jest jak ściśnięta pasem z litej stali. Do tego wszystkiego dręczy mnie koszmarnie przecucie, że może już być za późno.

Moja słodka, delikatna, piękna dziewczyna może być już ciężko ranna, skrzywdzona.

Albo jeszcze gorzej.

– Posłuchaj. Jeżeli ruszymy z całym arsenałem i na pełnej piździe, to ci, którzy ją mają, mogą spanikować. A ich panika się jej nie przysłuży, zresztą sam wiesz, o czym mówię.

Mówi o tym, że panika porywaczy zaszkodzi jej zdrowiu, zaszkodzi jej szansom na dłuższy pobyt w świecie żywych.

– Wiem, rozumiem – burczę. – Kurwa mać! – krzyczę z całych sił.

Podchodzi bliżej i mówi ciszej:

– Wiem, brachu. Wiem, wierz mi. Przechodziłem przez to samo. Gdy Tabby była w tarapatkach, myślałem, że postradam zmysły. Pooddychaj głęboko przez minutę i spokojnie pomyśl. Pośpiech prowadzi do błędów.

Wypuszczam powietrze z płuc, po czym powoli kiwam głową.

– Okej. Więc oto, co wymyśliłem... – zawieszam głos. – Ruszam po Evę.

Connor bierze się pod boki. Widzę, że stara się nie przewracać oczami.

– To już ustaliliśmy. Pytanie brzmi: jak? Co planujesz?

– Ruszę okrętem podwodnym. Na spadochronie. Śmigłowcem. Przez teleport. Zdecyduj, mnie obojętne. – Wzruszam ramionami.

Macha ręką, jakbym bredził od rzeczy.

– Możemy wciągnąć w to federalnych. Tabby ustali dokąd płynie *Silver Shadow* i będą tam czekali.

– Federalnych?! – powtarzam z niedowierzaniem. – Czyli chcesz mieć pewność, że w dwa dni sprawa spierdoli się na tysiąc możliwych sposobów?

– Słusznie – przyznaje po krótkim namyśle.

– Oczywiście, że słusznie! I słuchaj też tego: to my jesteśmy specjalistami od ewakuowania i wyciągania ludzi z różnych miejsc!

– Jesteśmy – mówi spokojnie. – Ale w tej chwili działasz na jakieś pięćdziesiąt procent możliwości, a ja odpowiadam za życie wszystkich ludzi w tym budynku. Zaraz za bramą może na nas czekać drugi zespół uderzeniowy Dmitrija.

– Gdyby chciał, to już by uderzył. Gdyby naprawdę mu na nas zależało, mógł nas dopaść w szpitalu. On nie nas ścigał, tylko Evę. A ona o tym wiedziała, dlatego odeszła. Żeby ocalić nasze dupski – cedzę powoli. – Jeżeli masz rację i na tym statku nie przetrzymują jej jego ludzie ani jej

znajomi, to dla Evy tylko gorzej. Czas działa na jej niekorzyść. Więc... – Macham niecierpliwie ręką. – Więc bierzmy się do roboty, do ciężkiej cholery.

Tabby wysuwa głowę z pokoju wojennego i woła:

– Chłopcy!

Connor się obraca, obaj patrzymy na nią wyczekująco.

– Pewnie zechcecie rzucić na to okiem, zanim ktokolwiek gdziekolwiek pojedzie – mówi, po czym znika, nie dając nam wyboru, musimy wrócić, skąd przed chwilą wyszliśmy.

Zastajemy ją tam, gdzie ją zostawiliśmy, na krześle za konsolą. Tyle że teraz już nie stuka w klawisze, a po prostu patrzy na ekran.

Na całym wielkim monitorze widać tylko ocean. Rozległy, błękitny, niepokojąco pusty.

– Co się stało? Gdzie *Silver Shadow*? – pyta Connor.

– Och, jest na swoim miejscu – odpowiada Tabby. – Tyle że my go nie widzimy.

Jej ton przepelnia mnie bardzo złymi przeczuciami.

– Co to znaczy?

Obraca się na krześle.

– Że satelita CYGNSS-6, przez którego ich podglądaliśmy, wyszedł poza zasięg. Dopóki nie wróci nad zachodnią Afrykę, będziemy sobie patrzyli na północny Atlantyk.

– Cholera!

– W rzeczy samej.

– Możesz się włamać do jakiegoś innego satelity?

– Pewnie, Landsat 8.

Przyglądam się jej minie i wiem, że cokolwiek zaraz powie, będą to niepomysłne wieści.

– No wyduś to z siebie!

– Cóż... niestety Landsat 8 przez... kilka chwil... też będzie jeszcze poza zasięgiem.

W głębi moich ust zbiera się ślina. Zaraz zwymiotuję.

– Kilka chwil...

– Sześć godzin.

Mój mózg wykonuje pośpieszne obliczenia dotyczące przeciętnej mocy silników takich luksusowych jachtów i ich prędkości w węzłach.

– Sześć godzin – powtarzam powoli.

– To naprawdę ma sens – tłumaczy Tabby, jakby przepraszająco. – Północny Atlantyk jest ogromny i prawie nic tam nie ma, więc orbituje nad nim mniej satelitów niż nad kontynentami...

– Jednostka tej wielkości idąca z pełną mocą może w sześć godzin pokonać kawał oceanu... – stwierdza Connor, a Tabby kiwa głową.

– A jeśli zmienią kurs...

– Będziemy szukali igły w stogu siana – kończę cicho.

– Ale to i tak nie najgorsze wieści.

Jęczę i przesuwam dłonią po twarzy.

– Przepraszam, ale sam mówiłeś, że mam to z siebie wydusić.

– No o co chodzi?! – ponagla ją Connor.

– Landsat 8 jest na wyższej orbicie niż CYGNSS-6, więc będziemy mieli gorszą ostrość.

– Czyli zasadniczo będzie bezużyteczny.

Ziemia zapada mi się pod nogami.

– Tak jest. Musimy wiedzieć, gdzie dokładnie patrzeć, w innym wypadku nie dostrzeżemy statku w tak niskiej rozdzielczości.

– A co z radarami satelitarnymi marynarki? – pyta Connor. – Przeczesują całe połacie oceanu i każda złapana fala jednostka pojawia się na wyświetlaczu radaru.

Tabby obraca się na krześle i wraca do stukania.

– Słuszny tok rozumowania, ale jest jedno ale.

Na ekranie pojawia się wielka, dwuwymiarowa mapa wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Na jej niebieskiej części, czyli Atlantyku, widać cały las małych, różnokolorowych

punkcików.

– To nie jest obraz w czasie rzeczywistym. Satelity automatycznej identyfikacji funkcjonujące w ramach międzynarodowych systemów morskich nigdy nie były szczególnie nowoczesne, a cięcia budżetowe poprzedniej administracji jeszcze wszystko pogorszyły. Więc, dajmy na to ten tankowiec – Tabby klika w zieloną kropkę i wyskakuje nowe okienko – wcale nie znajduje się w tym miejscu. To jego pozycja sprzed trzech godzin.

– Do kurwy nędzy, ja pierdolę! – Nie mogę dłużej stać spokojnie, więc wracam do maszerowania. – Znamy ich ostatnie koordynaty. Możemy do nich szybko dotrzeć. Ściągnijmy śmigłowiec i ruszajmy!

Connor patrzy, jak miotam się w tę i we w tę, z każdym krokiem coraz bardziej kulejąc.

– Zauważą nas z kilku kilometrów.

– To był bardzo ciekawy odgłos, Nasir – stwierdza Tabby, gdy jęczę z irytacją. – Jakby niedźwiedź z cierniem w łapie.

– Och, mam cierń, wierzcie mi... – mamroczę, zaciskając i rozluźniając pięści. – Termojądrowy cierń, który wbije temu skurwysynowi prosto w dupę...

– Żołnierzu! – krzyczy Connor. – Skupcie się!

– Czy to fajny moment na przekazanie dobrych wieści? – pyta niewinnie Tabby, przyglądając się własnym paznokciom.

Ja i Connor wbijamy w nią wzrok.

– Jakich dobrych wieści?!

Patrzy na mnie i uśmiecha się.

– Właścicielem jachtu jest zamożny francuski biznesmen Raphael Bergé.

Nawet nie pytam, skąd to wie. Dziewczyna przyćmiłaby nawet wyrocznie delficką.

– No i?

– No i ma naprawdę dobry GPS na swoim LEO.

LEO to jedyny rodzaj telefonów komórkowych, które mają zasięg w każdym punkcie globu. System działa w oparciu o krążące na niskiej orbicie satelity, stąd skrót.

Co jednak ważniejsze system LEO potrafi też wysledzić dokładną lokalizację urządzenia.

Trudno opisać, jak ogromną ulgę poczułem.

– Jest na tym jachcie, prawda?

– Tak.

– Ustaliłaś to wszystko w czasie, gdy my byliśmy na korytarzu? – pyta Connor z nutą zdumienia.

Tabby trzepocze rękami – ucieleśnienie niewinności. A potem wiruje na krześle, uśmiecha się od ucha do ucha i woła:

– Abrakadabra, dziwki!

Mam ochotę ją pocałować, ale sekundę później bym nie żył. Stoję w zasięgu rąk Connora.

– Więc zadzwońmy do skurwiela!

Tabby przestaje się kręcić i patrzy na mnie, jakby mi odbiło.

– Zadzwońmy? – pyta, mrugając.

– Nie dzwoniemy do niego – mówi Connor tonem, którym rodzic tłumaczy rozwrzeszczanemu dziecku, że jeśli zaraz się nie zamknie, to będzie miało prawdziwe powody do płaczu.

– Dobra! – warczę. – To wyślijmy Francuzikowi SMS-a. Napiszmy, że jeżeli Eva nie będzie w idealnym stanie, gdy tam dotrę, to odetnę mu ręce i nogi, a korpus powieszę sobie na ścianie zamiast obrazu. Potem zabiję jego rodzinę, a potem przyjaciół, zwierzęta i wszystkich ludzi, z którymi kiedykolwiek pracował. A potem spalę mu dom i zatopię ten pieprzony jacht z wyrzutni raketowej, ale najpierw przywiążę go do masztu i do jego zakrwawionych resztek zlecą się wszystkie morskie drapieżniki, które wyżrą mu flaki, wyssa szpik i złożą jaja w jego czaszce. A potem wyłowię jego truchło, skremuję je i zrobię sobie z prochów kostki do pisuaru, żebym mógł codziennie na nie szczać.

– Mam to wszystko zawrzeć w jednym SMS-ie, czy może... – wtrąca z pełną powagą Tabby.

Connor wbija wzrok w sufit, kręci głową i ciężko wzdycha.

– Burdel jak w zoo podczas karmienia.

Mam dość tych niedorzeczności.

– Podsumujmy, co wiemy. Po pierwsze, wiemy, że gdy leżałem w szpitalu, Eva wykonała z budki niemożliwy do wyśledzenia telefon międzynarodowy, tak?

Tabby kiwa głową, a Connor rzuca krótkie „tak”.

– Po drugie, wiemy, że gdy *Silver Shadow* wypływał z Nowego Jorku, to Eva była na pokładzie. Connor ponownie przytakuje.

– Po trzecie, wiemy, że na pokładzie było przynajmniej dwóch mężczyzn, z tego jeden położył na niej łapska. Po czwarte, wiemy, że ktoś unieszkodliwił morskiego satelitę i rejestr portu, ale nie wykasował nagrań z portowych kamer.

– Ookeyee... – mówi Tabby, nie rozumiejąc, dokąd zmierzam.

– Po piąte i najważniejsze, zmarnowaliśmy cenne minuty na gadanie, podczas gdy Tabby mogła w tym czasie zhakować konto telefonu satelitarne tego Żabojada, sprawdzić z kim się kontaktował i dzięki temu ustalić, miejmy nadzieję, z kim tak naprawdę mamy do czynienia. I dalej... być może... dowiedzieć się też, dokąd płynie jacht.

Tabby robi niezadowoloną minę, jakbym uraził ją, stwierdzając oczywiste.

– Uruchomiłam już bota, który przegląda jego połączenia. Lada moment będziemy mieli listę. – Gdy w konsoli za jej plecami rozlega się radosne piknięcie, rzuca przez ramię: – No i mamy raport. – Obraca się w stronę klawiatury, ale natychmiast wraca do nas i mówi, unosząc ostrzegawczo palec: – O jednym zapomniałam wspomnieć.

– No?

Patrzy mi prosto w oczy, zadzierając podbródek i mówi niskim głosem:

– Nie lubię, gdy ktoś traktuje mnie protekcjonalnie, podważa moje opinie i mówi, jak mam wykonywać swoją pracę. Ty lubisz?

Wzdycham ciężko, przymykam oczy i kręcę smutno głową.

– Nie. Przepraszam cię.

Kiedy ponownie unoszę powieki, widzę jej uśmiech.

– Przepraszam przyjęte. Wszyscy reagujemy na stres inaczej. Powinieneś zobaczyć Connora, gdy jest naprawdę zestresowany.

Zerkam na niego i na moment ciekawość spycha panikę na drugi plan.

– Nie wyobrażam sobie.

Connor prychnął i patrzy na mnie z góry.

– Jestem zdecydowanie zbyt zajebisty, żeby się stresować.

– Ha! – Gdy spojrzenie Connora robi się kwaśne, Tabby parska jeszcze raz i posyła mu buziaka. – Masz rację, skarbie. W naszym domu nikt nigdy nie zajada stresu. Nikt nie pochłania na cztery razy litrowych kubłów lodów czekoladowo-miętowych, nikt nie wsysa ciastek jak kreski koks, stołu wcale nie przykrywa kołdra ze sreberki po Reese’ach.

Connor wykrzywia usta z niesmakiem.

– Sporadycznie mam ochotę na coś słodkiego, wielkie rzeczy. To niczego nie dowodzi.

– Masz rację, maleńki – mówi Tabby ciepło, z życzliwym wzrokiem. – Przecież ty jesteś teflonowy, mój błąd.

Obserwowanie, jak mierzą się czułym wzrokiem, pozbawia mnie ostatnich resztek cierpliwości.

– No dobra, z góry przepraszam, ale zaraz wyrwę sobie włosy z cebulkami. Więc naprawdę bym docenił, gdybyśmy mogli wziąć się do działania. – Spoglądam na Tabby, przykładam dłoń do serca i nieznacznie się skłaniam. – Mówię to z najgłębszym szacunkiem.

Tabby kieruje na mnie swoje ciepłe spojrzenie zielonych oczu.

– O, to stosownie wyrażona prośba.

Obraca się na krześle i zaczyna naprawdę imponujący pokaz wściekłego walenia palcami w klawisze, dzięki czemu na głównym ekranie w mgnieniu oka wyskakują kolejne okienka. A potem jeszcze więcej przyprawiającego o zawrót głowy stukania. I jeszcze więcej okienek. Następnie wpisuje jakąś komendę, po której wszystkie okienka odnoszą się jedno do drugiego. Pewne numery zostają podświetlone na wszystkich, przesuwają się na jedną stronę i szeregują się w kolejności

odzwierciedlającej częstotliwość występowania.

Tabby otwiera jeszcze jedno okno, kopiuje i przekleja listę często wybieranych numerów, potem wciska „enter” i mruczy:

– Hmmmm.

Nie zdawałem sobie sprawy, że przygryzam kciuk, dopóki nie zauważyłem go w gębie, gdy postanowiłem się odezwać.

– Co to znaczy?

– To że nasz przyjaciel Raphael Bergé z całą pewnością zna Dmitrija Ivanova.

Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega prąd, aż sztywnieję. Przyglądam się ekranowi, ale nie wiem, na jakiej podstawie wyciągnęła ten wniosek.

– Skąd wiesz?

Klika dwa razy w jeden z numerów. Na ekranie pojawia się mapa z koordynatami przypiętej czerwonej kropki. Connor od razu poznaje to miejsce.

– Dom Dmitrija w Rosji.

– Czyli to jednak jego ludzie. – Znowu zaczynam maszerować. Mam taki mętlik w głowie, że nawet nie wiem, czy to dobre, czy złe wieści.

– A przynajmniej ten Bergé – stwierdza Connor.

– Ten wielki też musi pracować dla Dmitrija, inaczej nie byłoby go na jachcie.

– Może jest współnikiem Francuza. Pracownikiem. A może przyjacielem, wcale nie musi znać Dmitrija. Mamy coś jeszcze, Tabby?

Nie śpieszy się z odpowiedzią, przeklikuje listę numer po numerze. W końcu kręci głową.

– Reszta pierwszej dziesiątki to numery słupy, prowadzą na anonimowe serwery, ślepe uliczki. Mogą też prowadzić do Dmitrija. A może Raphael zna więcej bandytów. – Więcej klikania, ale nagle Tabby się zatrzymuje. – O, no i proszę.

Mrużę oczy i wpatuję się w ekran. Widać na nim płataninę liczb, liter i znaków, nie dostrzegam w nich żadnego porządku. Równie dobrze mogłyby to być hieroglify.

– Na co patrzymy?

Tabby obraca się do nas, zarzuca nogę na nogę, składa dłonie na kolanie i patrzy to na mnie, to na Connora.

– Patrzymy na wiadomość SWIFT.

Powiedziała to tak, jakbym miał, kurwa, pojęcie, o co chodzi. Gryzę się w język, biorę głęboki wdech, żeby znowu nie wybuchnąć, po czym pytam uprzejmie:

– Ale co to jest, co to znaczy?

Na jej twarzy zakwita cwaniacki uśmiech.

– To format, w którym komunikują się banki. A to oznacza, że naszemu kumplowi Raphaelowi nikt nie powiedział, by nie wykonywał przelewów przez nieszczelną międzynarodową sieć, gdy jego tłuste dupsko jest na celowniku hakerki-geniuszki.

– Mamy jego konto – domyślam się i aż przechodzi mnie prąd.

– Tak. Czyli mamy dostęp do jego całej historii finansowej i do prywatnych danych, włącznie z adresem domowym i peselem. Czyli trzymamy go za jaja. – Tabby spogląda na mnie, unosząc brew. Robi najbardziej nieszczerą niewinną minkę na świecie. – Zakładam, że potrafiłbyś zrobić użyteczności z jego jaj.

Moje serce zaczyna walić tak mocno, że aż pozbawia mnie tchu.

– Mam pomysł albo dwa. Ruszajmy.

ROZDZIAŁ 7

Eva

– Oszalałeś?! Masz pojęcie, jak zareaguje, gdy zobaczy, co jej zrobiłeś?

– Ano. Da mi, czego chcę.

– Poderżnie nam gardła, tyle dostaniemy! – krzyknął mężczyzna. – Te wszystkie siniaki! I włosy!

Mon dieu, jak mogłeś?!

– Sama się ostrzygła.

– Wargę też sama sobie rozcięła? Sama obija sobie twarz?

– Nie, to ja.

– Dlaczego?! Mówiłeś, że chcesz ją tylko nastraszyć!

– Groźby na nią nie działają. Musiałem jej pokazać, że nie żartuję, żeby się nie stawiała.

– Domyśliła się, że o to chodziło!

– Ano. Jest mądrzejsza, niż myślałem. – Krótka pauza. – I znacznie, znacznie piękniejsza.

Głosy są niewyraźne. Oba męskie, jeden piskliwy, niemal histeryczny, drugi niski i opanowany. Dochodzą gdzieś z niedaleka, ale tłumi je szum silników jachtu. Próbuję unieść głowę, ale nie mogę. Powieki mam tak ciężkie, że z trudem lekko je rozchylam.

Moje ciało jest gorące. Płonę. Piekę się żywcem.

Nie chcę upiec się żywcem.

– Co to za odgłos? – pyta histeryczny głos.

– Nie wiem. Zostań tu. I masz już dość szampana.

Szept kroków na parkiecie. Zgrzyt zawiasów drzwi i podmuch świeżego powietrza na mojej twarzy, potem kroki milkną.

Gdy czuję na czole czyjaś dłoń, wzdycham z ulgą. Jest taka chłodna. Gdybym tylko ja też mogła być taka chłodna. Moją skórę spowijają płomienie. Ktoś obraca mnie nad rozżarzonymi węglami, jak prosiaka na ruszcie.

– Ćśś... – mruczy głos. To ten niski, opanowany. Należący do chłodnej, kojącej dłoni.

Poruszam niespokojnie nogami pod kołdrą... *łóżko, czyli jestem w łóżku...* bo szukam ulgi od płomieni. Próbuję się odezwać, poprosić o wodę, ale mój język jest napuchnięty i nie potrafię znaleźć sensownych słów. Spomiędzy moich ust znów wysącza się więc tylko słaby jęk.

Dłoń się cofa. Za to znowu rozlegają się kroki, tym razem szybsze, gdzieś z prawej. Szum wody jest jak tortura. Znowu kroki, materac po lewej ugina się pod znacznym ciężarem. Pod moją głowę wślizguje się duża dłoń, ujmuje ją. Coś przysuwa się do moich warg.

– Otwórz usta.

Instynktownie wykonuję polecenie, a w nagrodę po moim spieczonym języku spływa rozkosznie zimny płyn. Upijam łyk i przełykam, łyk i przełykam, aż w końcu nie mogę więcej pić i obracam głowę.

Podpierająca moją głowę dłoń składa ją ostrożnie na poduszce.

– Gorąco – szepczę, słysząc, jak słaby jest mój głos. Słaby i rwany.

Przez chwilę nic się nie dzieje. A potem, nagle, cały duszący, przygniatający mnie ciężar znika. Całą moją skórę obmywa chłodne powietrze. Wzdycham z ulgą. Przechodzą mnie dreszcze rozkoszy.

– Chryste – mruczy głos.

Już nie jest taki opanowany.

Potem śnię albo mam halucynacje. Nie wiem, choć to wszystko wydaje się bardzo realne. Biegnę o zmroku przez gęsty las, pod stopami chrzęszczą suche liście, serce wali jak szalone i goni mnie groza. Nie... to jakiś człowiek. Goni mnie ktoś, kto chce mnie skrzywdzić. Wyciąga szponiaste łapy. Prawie mnie ma... prawie...

Naz! Pomóż mi! Gdzie jesteś?

– *Ćśś, Cicho, bhrèagha.* Wszystko dobrze. Masz gorączkę.

Głos jest niemal czuły. Wraca dłoń, chłodna i przyjemna, dotyka lekko mojego czoła.

Łaknę tego chłodu na całym ciele. Chcę poczuć ten kojący chłód wszędzie.

Dłoń ledwie wyczuwalnie drży.

– Przestań się wić, bo przykryję cię kołdrą.

Z głosu znika łagodność, pojawia się napięcie. Słowa są stłamszone, jakby wylatywały spomiędzy zaciśniętych zębów.

Wydaję z siebie bezładny, błagalny jęk. Muszę się wyrwać z pochłaniającego mnie ognia. Jeśli się nie wyrwę, umrę.

Dłoń znowu znika, ale tym razem szybko wraca. I tym razem ma dla mnie dar.

Przykłada do mojego rozpalonego karku coś zimnego i mokrego. Ręcznik? Szmatkę? Nieważne. Coś niebiańskiego.

Zimna tkanina zsuwa się po moim lewym ramieniu. Zmywa żar. Wydaję z siebie ciche jęki, znaczące *tak, proszę o więcej*, a gdy tkanina dociera do żeber, znowu przechodzą mnie dreszcze. Podąża w zagłębienie talii, na wyniosłości kości biodrowej, zjeżdża po udzie.

Leżę nieruchomo, czuję wszędzie gęsią skórę. Tępe dudnienie silników nie potrafi do końca zagłuszyć nierównego oddechu zaraz obok.

A potem wszystko tonie w czerni i zapadam w sen.

Gdy znowu otwieram oczy, oświetlenie jest inne. Zmierzch, wszystko obywają odcienie fioleto i szarości. Przez chwilę leżę nieruchomo, moje powieki i kończyny są takie ciężkie, więc po prostu oddycham w coraz głębszej ciemności. Mam zamglony umysł, leniwie przechodzę od jednej myśli do kolejnej, nie potrafię żadnej utrzymać na tyle długo, by zdążyła mnie zaniepokoić.

Przynajmniej już nie płonę. Czuję ciepło, ale nie jest nieprzyjemne. Musiałam się pocić, bo poduszka pod głową jest wilgotna, podobnie prześcieradło pod moim nagim ciałem.

Moje serce przyśpiesza. Naga. *Dlaczego jestem naga?*

Siadam tak szybko, że cały pokój zaczyna wirować. Muszę zamknąć oczy i głęboko oddychać, żeby się uspokoił. Gdy obraz staje w miejscu, patrzę po sobie. Uda, brzuch, piersi, wszystko obnażone. Na podłodze, niedaleko moich stóp, leży zwinięta w kulkę błękitna szmatka.

Skręca mnie w żołądku. Rozpaczliwie szukam w pamięci śladów wydarzeń, ale ostatnie co pamiętam, to jak Killian szarpał mnie za ramiona i żądał, żebym zdjęła mokrą sukienkę.

Przerażona zasłaniam usta dłońmi.

O, Boże.

Nie.

Wtaczam się do łazienki i włączam światło, wzdrygam się na widok własnego odbicia w lustrze. Wyglądam jak śmierć. Jestem blada, miejscami zaczerwieniona, posiniaczona i opuchnięta, mam ciemne wory pod oczami. Mój puls jest szybki, lecz słaby, mam zawroty głowy. Rozpoznaję oznaki odwodnienia, więc wkładam głowę pod kran i piję do syta.

Następnie biorę wrzący prysznic i szoruję się, aż boli mnie skóra.

Nie będę o tym myślała. Cokolwiek mi zrobił, nie będę o tym myślała... dopóki nie dorwę jakiejś broni.

Gdy wychodzę z łazienki, owinięta ręcznikiem, Killian siedzi przy biurku.

Zamieram, mój żołądek zwija się w pięść. Po prostu siedzi i patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Po długim okresie ciszy w końcu się odzywam:

– Mówiłeś, że gwałt ci uwłacza.

– Owszem.

– A jednak...

– Jednak co? – pyta, unosząc ciemną brew.

– Nie zmuszaj mnie, bym powiedziała to na głos. – Ledwie mam siłę stać prosto, a jednak mój głos aż drży ze złości.

Przechyliła głowę na bok, wodzi wzrokiem w dół i w górę mojej sylwetki bez cienia zażenowania, w końcu patrzy mi w oczy.

– Pamiętałaabyś, gdybym cię wziął – mówi.

Czuję ciepło na policzkach. Nogi mi się trzęsą, więc podchodzę do łóżka i siadam, próbuję panować nad oddechem, gdy przesywa mnie tym ciemnym, enigmatycznym wzrokiem.

– Kto to jest Naz?

Podrywam głowę i patrzę na niego wstrząśnięta.

– Co?

– Naz. Kto to?

Wypiłam przed chwilę masę wody, ale usta i tak wysychają mi na wiór. Przełykam ślinę, dłonie mi wilgotnieją, odwracam wzrok.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Leniwie bębni swoimi długimi palcami w podłokietnik.

– Tak? A to ciekawe. Bo krzyczałaś jego imię. Kilka razy.

Zwalczam palącą chęć, żeby się przeżegnać.

– Nie znam nikogo o tym imieniu.

Bębnienie ustaje.

– Spójrz na mnie.

Zerkam na niego, a on się nachyla, wspiera łokcie na kolanach i przygwaźdża mnie swoim lodowatym spojrzeniem.

– Jeżeli jeszcze raz mnie okłamiesz, spotka cię kara. I tym razem już nie będę się z tobą cackał.

Parskam zduszonym, pełnym zdumienia śmiechem.

– Cackał?

– Ano – odpowiada, patrząc mi w oczy. – Twój wybór. A teraz mów.

Chcę być dzielna. Boże, tak bardzo pragnę być zuchwałą i straszna, żeby odpuścił i dał mi spokój, ale w oczy szczypią mnie gorące łzy i jestem tak bardzo zmęczona i wyczerpana, i szczerze przygnębiona, że naprawdę nie mam w sobie odrobiny odwagi.

Więc mówię prawdę. I nawet nie próbuję kamuflować emocji w głosie.

– Naz to... – biorę rozedrgany wdech – najzyczliwszy i najbardziej honorowy mężczyzna, jakiego poznałam.

– Honorowy.

Killian powtarza to słowo, wykrzywiając usta, jakby budziło w nim niesmak. Ten szyderczy uśmiešek dodaje mi sił. Prostuję plecy, zadzieram brodę. Ten śmieć nie będzie szydził z Naza w mojej obecności, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić.

– Tak, honorowy – rzucam zaciekle. – Pewnie nie znasz tego słowa, ale zasadniczo oznacza twoje przeciwieństwo.

Przez chwilę rozważa moją odpowiedź z miną lekkiej dezaprobaty, jakbym była durną dziewczyną, której strzelił do głowy kolejny głupi pomysł.

– Honor to nic innego jak przystrojony w pozory narcyzm. Przyoblekają się nim mężczyźni, którym zanadto zależy na zdaniu innych ludzi.

Za jego odpowiedzią stoją całe wieki doświadczenia i zmęczenia. Jego słowa są zabarwione oceanami ciemności i cierpień, ale nie zamierzam pozwolić sobie na zainteresowanie niczym, co z nim związane.

– Całkiem elokwentnie jak na bezdusznego damskiego boksera. Choć mylnie.

– Evalino, obrzucanie mnie wyzwiskami nie leży w twoim interesie.

Władczość, z jaką wypowiedział moje imię, przyprawiła mnie o ciarki, ale siedzę prosto i udaję, że nie zrobiło to na mnie wrażenia. Nie mogę się doczekać, kiedy wyjdzie i zostanie sama. *Równie dobrze mogę jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.*

– Naz – wracam do tematu pozbawionym emocji głosem. – Chcesz wiedzieć, kim jest? Mężczyzną, dzięki któremu odzyskałam wiarę w ludzi. Dał mi powód do życia. Dał mi też coś, za co warto umrzeć, najcenniejszą rzecz, jaką człowiek może ofiarować drugiemu.

Killian przeszywa mnie wzrokiem.

– Co jest tak cenne, że warto za to umrzeć?

– Miłość – odpowiadam po prostu, bez cienia zawahania się.

Patrzy na mnie w niepokojącym bezruchu, jego oczy pobłyskują w półmroku, a kontury masywnej sylwetki aż drżą od napięcia.

– A ja myślałem, że jesteś bystra.

– Nie obchodzi mnie, co potwór sądzi o mojej inteligencji.

Śmieje się, jakbym bardzo go rozbawiła.

– Nie masz jeszcze bladego pojęcia, jakim potworem naprawdę jestem. Gdybyś miała, to cała ta twoja duma i upór należałyby do zamierzchłej przeszłości. Zamiast siedzieć z zadartym nosem, płaszczyłaś się przede mną jak pies.

Trudno o odpowiedź na coś takiego, więc po prostu milczę. Każde moje słowo mogłoby go tylko sprowokować.

– Czyli byłaś niewierna mężowi. Kochasz go?

Mężowi. Kompletnie mnie to zaskakuje. Uważa, że Dmitrij to mój mąż. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale od razu je zamykam, bo nie wiem, czy jeśli powiem prawdę, to moje położenie się polepszy, czy jeszcze pogorszy.

– Eva, nie zmuszaj mnie, wiesz, że to zrobię... – mówi Killian z nieskończoną łagodnością.

Obracam głowę, by umknąć jego spojrzeniu. Kiedy na mnie patrzy, czuję się zbyt naga. Wrażliwa i słaba, niczym małe dziecko.

– Czy niewolnik może być niewierny swemu panu? Czy pies może być niewierny człowiekowi, który prowadzi go na smyczy?

Mija chwila. A następnie zasysam powietrze i odchylam się w tył, bo Killian przemierza kajutę. Wbija mnie w materac, siada na mnie okrakiem i łapie mnie za nadgarstki. Unieruchamia je nad moją głową i nachyla się tak nisko, że niemal stykamy się nosami.

– Zadałem ci proste pytanie. Oczekuję prostej odpowiedzi.

Dyszę tek ciężko, że niemal hiperwentyluję. Trzyma mnie zdecydowanie zbyt mocno, bym mogła się wyrwać, poza tym wiem, że nawet gdybym uciekła, to i tak mnie złapie. Jestem zbyt słaba z wycieńczenia, głodu i gorączki, mogę tylko leżeć.

W tym momencie zauważam, że ręcznik, którym owinęłam się po kąpieli, rozwiązał się.

Leżę pod nim naga.

Zaczynam rozpaczliwie krzyczeć, ale on mówi:

– Wiedziałem już w tobie wszystko, co było do zobaczenia. Jak myślisz, kto ci zdjął przemoczone ubrania po tamtej bezmyślnej kąpieli w oceanie?

– Złaż ze mnie!

– Jeżeli wstanę i nie otrzymam odpowiedzi, gorzko pożałujesz.

Cała drzę ze złości. Jest wielki, ciężki, całkowicie mnie kontroluje. Gardzę nim wręcz namacalnie. Mój żołądek zamienił się w kocioł wrzącej lawy.

– Nie jesteśmy z Dmitrijem małżeństwem – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Nigdy nie byliśmy. A odpowiadając na wcześniejsze pytanie, nie. Nie kocham go. Nienawidzę go całym sercem.

Odpowiada natychmiast, bardzo ostro.

– A jednak spędziłaś z nim całe lata. Dlaczego nie odeszłaś, skoro niby tak go nienawidzisz?

Śmieję się niemal histerycznie, sama to słyszę.

– Nie poznałaś go, prawda?

Killian zaciska zęby. Milczy. Patrzy na mnie, czeka, ciemne włosy okalają mu twarz niczym odcinająca go od reszty świata kurtyna.

– Tak myślałam. Gdybyś go poznał, to wiedziałbyś, że od niego nikt nie odchodzi. Podjęłam wiele nieudanych prób. Ucieczkę od Dmitrija umożliwia tylko śmierć.

– Weszłaś na ten jacht z własnej woli, żeby do niego wrócić.

– Tak, to prawda. By ocalić komuś życie. Ale człowiek twojego pokroju nigdy tego nie zrozumie. Oddech Killiana staje się nierówny. Jego dłonie na moich nadgarstkach są jak z żelaza. Patrzymy

na siebie we wrogiej ciszy, nie mrugając. Na ścianie tyka zegar, a ja czekam w napięciu, kiedy przesunie te dłonie z moich nadgarstków na gardło.

Lecz wtedy, w mgnieniu oka, puszcza mnie i schodzi z łóżka.

Siadam i osłaniam się ręcznikiem, gdy tylko znika ze mnie jego ciężar. Dłonie tak mi drżą, że z trudem zasłaniam nimi piersi. Killian zaczyna krążyć po kajucie, przemierza ją z jednego końca na drugi, trzymając się pod boki. Jest jak rozjuszony tygrys w klatce.

Pierwszy raz dostrzegam pęknięcie w jego żelaznej samokontroli.

– Nie jesteś mężatką – stwierdza.

– Nie.

– Nienawidzisz go.

– Tak.

– I wracasz do niego tylko dlatego, żeby uratować tego całego Naza. – Prycha.

– Tak.

Obraca się i rusza w drugą stronę, mamrocząc pod nosem po gaelicku. Nagle zatrzymuje się i posyła mi zabójcze, płonące spojrzenie.

– Jeżeli dowiem się, że kłamiesz...

– Wiem, wiem – rzucam zmęczona już tym wszystkim. – Pobijesz mnie.

Uśmiecha się nieznacznie, jednak do cna okrutnie.

– Nie. Skoro tak bardzo lubisz pływać, to po prostu wyrzucę cię za burtę. – Puszcza mi oczko.

Można by pomyśleć, że dźwięk pękającego umysłu będzie przypominał ryk, jazgotliwy chaos, który narasta, narasta, aż w końcu ogłusza, a jednak to tylko cichy trzask, jakby ktoś nastąpił na suchą gałązkę.

Patrzę mu w oczy również zaciekle.

– Gówno mi zrobisz – rzucam.

Ściąga brwi, wściekłość otula go niczym mgłą, ale ja już nie ustąpię.

– Nie wiem, do czego jestem ci potrzebna, ale jeszcze tego nie dostałeś. A przy okazji, jeśli do tej pory się nie zorientowałeś, zniosę wszystko, co mi zgotujesz. I nie przemawia przede mną głupia brawura, tylko fakt, że barbarzyństwo Dmitrija jest znacznie bardziej pomysłowe i dotkliwe niż twoje. Przetrwiałam siedem lat jego wyjątkowej brutalności, więc nie miej mi za złe, ale twoje groźby robią na mnie umiarkowane wrażenie. – Puszcza mu oczko i rzucam równie szyderczy uśmiezek jak on wcześniej. – Więc po prostu przestań mi grozić i działaj. Bij mnie albo nie bij, nieważne. Mam dość tej zabawy w kotka i myszkę. – Wzruszam ramionami.

Wstaję, uciszając zawroty głowy samą siłą woli.

– Aha, a wracając do inteligencji. Gdybyś miał chociaż pół mózdzku, to powiedziałbyś mi, czego od niego chcesz i pozwolił mi sobie pomóc. Bo jestem jedyną słabością tego człowieka.

Przez chwilę tylko na mnie patrzy, z rozdętymi nozdrzami i zaciśniętymi wargami, jakby rozważał, czy lepiej mnie udusić, czy podpalić.

Mam tego po dziurki w nosie.

– Oto jak będzie: nie odezwę się do ciebie ani słowem, dopóki nie przyniesiesz mi jedzenia, czystych ubrań i antybiotyków. Przyczyna tej gorączki pewnie jeszcze ze mną nie skończyła, więc potrzebuję leków, substancji odżywczych i odpoczynku. W międzyczasie zastanowisz się, jak chcesz rozegrać swoją sytuację. Jeżeli ponownie wyląduję za burtą, uznam to za jednoznaczną odpowiedź.

Patrzy na mnie, jakby wyobrażał sobie, jak wiszę na konarze drzewa, z pętlą wokół szyi.

I dobrze. Niech będzie zły, jak chce. Skakałam już z wyższych mostów i jakoś przeżyłam.

– To wszystko. Spadaj – rzucam i znużonym gestem macham w stronę drzwi.

Następnie toczę się do łazienki, zamykam drzwi na zamek, wchodzę do wanny, zwijam w kłębek i natychmiast zasypiam.

ROZDZIAŁ 8

Eva

Jakiś czas później budzi mnie ogłuszające dudnienie.

– Wychodź – rozkazuje Killian przez drzwi, w które właśnie skończył walić pięścią.

Brzmi spokojnie. Czyli albo przyniósł, o co prosiłam i porozmawiamy, albo trzyma maczetę i odrąbie mi głowę.

– Daj mi chwilę.

Unoszę głowę i krzywię się, bo od razu coś strzeliło mi w karku i poczułam ból wszystkich kończyn. Powoli gramolę się z wanny, stanawszy prosto, kręcę głową na boki, rozciągam ręce w górę i znowu coś strzela w kręgosłupie. Wszystkie mięśnie stękają w proteście. Nie patrzę w lustro, aż taką masochistką nie jestem, ale przez kilka sekund biorę się mentalnie w garść i sprawdzam dwa razy trwałość węzła na piersiach. Nie mam pojęcia, gdzie podziała się żółta sukienka i ta biała, w której weszłam na pokład, więc teraz mam tylko ręcznik i musi mi wystarczyć.

Otwieram drzwi – Killian stoi tak blisko za nimi, że odskakuję zaskoczona.

– Dzień dobry – rzuca.

Jego miła mina i przyjacielski ton natychmiast wzbudzają we mnie podejrzenia.

– Cześć.

Przygląda mi się przez chwilę. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak nikczemnie się prezentuję, ale on jedynie mruży lekko oczy i nie komentuje.

– Spałaś na podłodze?

– W wannie.

– W wannie – powtarza powoli.

– Wydawała się wygodna. – Wzruszam ramionami. – Wyrzucisz mnie za burtę?

Kąciki jego ust unoszą delikatnie się unoszą, ale ten gest bardzo szybko znika.

– Nie masz talentu do *small talku*. To dziwne jak na kobietę.

Słyszając to, nagle ściska mnie w dołku, uderza we mnie tęsknota za Nazem. Powtarzał mi to kilka razy, uwielbiał się ze mną drażnić, jaka to jestem beznadziejna w swobodnych pogaduszkach i jak nagle zmieniam tematy. Uważał te dwie przypadkowe cechy mojego charakteru za urocze.

Naz, Boże, jak ja za tobą tęsknię. Spoglądam na moje stopy i oblizuję wargi.

– W moim życiu *small talk* był zbędny. Wręcz niemiłe widziany.

Po chwili pełnej napięcia, Killian odpowiada:

– W moim również.

Podnoszę na niego wzrok, jego mina się zmieniła, teraz patrzy na mnie z przeszywającą ciekawością i skupieniem, jego orzechowe oczy niemal lśnią. Wytrąca mnie to z równowagi.

– Po co mnie porwałś, czego chcesz od Dmitrija?

Teraz uśmiech pojawia się już na dobre, rozlewa się po jego twarzy, ujawniając dołeczek w policzku i rząd równych, białych zębów. Nie wiem, z którego kręgu piekiel wylazł, ale mają tam niezłych dentystów.

Ten dołeczek natomiast jest niepokojący, bo takiej twarzy, pełnej ostrych kątów i krawędzi, dodaje niepasującej łagodności, sprawia, że jest jeszcze bardziej intrygująca.

– Na łóżku leżą czyste ubrania. Przyjdź na główny pokład, gdy już się ubierzesz i najesz.

– Czyli nie lecę za burtę. Dobrze wiedzieć.

– Na razie.

Gdy patrzę na niego z gniewem, dołeczek się kurczy, jakby puszczał mi oko. To tak irytujące, że moje następne słowa są nasączone jadem.

– A co z antybiotykami?

– Myślisz, że mamy na pokładzie aptekę? – odpowiada cierpko.

– Nie, pomyślałam, że może macie apteczkę albo ktoś z załogi... nieważne.

Robi przebiegłą minę, która niepokoi mnie jeszcze bardziej niż ta spokojna. Och, kogo ja oszukuję? Każdy wyraz jego twarzy jest cholernie podejrzany. Szemrany typ!

Następnie wyciąga z tylnej kieszeni dzinsów białą buteleczkę. Potrząsa nią, w środku coś grzechocze. Na ścianie znajduje się żółta naklejka z receptą, co oznacza, że nie jest to zwykła aspiryna.

Gdy patrzę mu w oczy, w jego spojrzeniu widać samozadowolenie osoby, która lubi zaskakiwać innych.

– Nieźle. Gdybyś był ucieszony sobą jeszcze troszkę bardziej, to moglibyśmy dzwonić po księdza i ożenić cię z własnym ego. Skąd to masz?

– Od kapitana.

– O, będę musiała mu podziękować.

– To miło z twojej strony, ale nic z tego.

– Dlaczego? – pytam ostro, zaalarmowana jego tonem.

– Skręciłem mu kark.

Robi mi się zimno z przerażenia, patrzę na niego szeroko otwartymi oczami. Uśmiecha się dobrotliwie, odwraca i rzuca przez ramię, wychodząc:

– Do zobaczenia na górze.

Na łóżku czeka na mnie kolejna swobodna sukienka, tym razem śliczna różowa, w palmowe liście. Ma półrękawki, okrągły dekolt i pasuje równie idealnie jak ta żółta. Do tego lekki żakiecik z białego lnu o nierównym brzegu, który sięga do biodra, wygląda modnie i ładnie. Zostawił mi też zwykle majtki z białej bawełny i o rozmiar za duże mokasyny z ciemnej skóry. Stanika brak.

Czy ktoś musiał zginąć, bym dostała ten strój?

Drzę na myśl, ile członkiń załogi mógł mieć *Silver Shadow* przed wypłynięciem z Nowego Jorku. Skoro Killian zamordował kapitana dla kilku pigulek, to znaczy, że jest zdolny absolutnie do wszystkiego.

A może kapitan wcale nie zginął dziś? A może Killian po prostu kłamał? Nie wiem, wiem natomiast, że muszę być przy nim nadzwyczaj ostrożna. Facet jest kompletnie nieprzewidywalny.

Na górę wchodzę ślamazarnie, bo zmęczenie obciąża każdą komórkę mojego ciała. Przypuszczam, że złapałam jakąś infekcję, może jeszcze w szpitalu i pogorszyłam swój stan tą kąpielą w oceanie. Wszystko mnie boli, gorączkuję, każde uderzenie serca odbija się pulsującym dudnieniem w głowie.

Wspiąwszy się na szczyt schodów, staję i nasłuchuję. Nikogo nie widzę, ale gdzieś z niedaleka docierają do mnie – może zza zamkniętych drzwi, może z otwartego bulaja – przytłumione odgłosy rozmowy. Wyłapuję fragmenty zdań, sporadycznie jakieś słowo. Wygląda na to, że ktoś mówi o problemach finansowych. Coś o wyczyszczonych kontach i pieniądzach, które w czarodziejski sposób zniknęły bez śladu.

Francuski akcent wskazuje, że tym kimś jest Raphael.

– Tabby... – szepczę zelektryzowana.

To musi być ona. Wywinęła podobny numer Dmitrijowi. Włamała się na jego konta i za sprawą magicznej wiedzy spoczywającej w jej genialnym mózgu, wyzerowała je do sucha.

Wiedzą, gdzie jestem. Ta myśl uderza mnie jak grom z jasnego nieba.

Skoro Tabby kombinuje przy pieniądzach Raphaela, to wie, że jestem na tym statku. *Naz* wie, że jestem na tym statku.

I przyjdzie po mnie.

Mój mózg eksploduje, rozsyłając myśli w dziesiątki różnych kierunków, jak wystrzał ze śrutówki. Tętno przyspiesza do tego stopnia, że brakuje mi tchu. Moim ciałem miotają emocje. Nadzieja i euforia, groza i rozpacz, wszystkie walczą o panowanie, a ja tkwię pośrodku tej burzy, targana to w jedną, to w drugą stronę.

Może się mylę. Może to przecucie jest wynikiem choroby. Może to zwykły zbieg okoliczności i wyciągam pochopne wnioski... ale, do jasnej cholery, instynkt mi podpowiada, że mam rację.

W całym tym chaosie mruga ostrzegawcze światło, które przeoczyłam wcześniej we mgle zmęczenia i dezorientacji. Jeżeli nie dotrę do Dmitrija, jeżeli Naz odbije mnie zanim Killian i Dmitrij dogadają się w sprawie... w sprawie, na której zależy Killianowi... to dojdzie do katastrofy.

Przyczyny nie będą miały znaczenia, moje życie lub śmierć też nie. Jeżeli Dmitrij mnie nie odzyska, zabije Naza.

Może nie w tym tygodniu. Może nie w następnym, może nawet nie za miesiąc. Ale w końcu znajdzie sposób, żeby go zlikwidować, spuścić mu na głowę młot, odebrać mu życie. Zapewne w jakiś makabryczny sposób.

Dmitrij zawsze dotrzymuje danego słowa, bez względu na wszystko. Stąd wynikała moja pewność, że jeśli będę spełniała jego chore zachcianki, to nie skrzywdzi mojej matki. Dzięki temu zapracował na taki szacunek swoich ludzi. Nawet jego wrogowie wiedzą, że Dmitrij Ivanov, choć jest dzikim psychopatą, nie rzuca słów na wiatr.

Zawsze dotrzymuje słowa.

Nie mogę pozwolić, żeby Naz mnie odnalazł, bo wydam na niego wyrok.

Dalej w korytarzu otwierają się drzwi, obracam się w ich stronę dokładnie w chwili, gdy wychodzą z nich Raphael i Killian. Gdy wzrok Killiana mnie napotyka, od razu się wyostriża, jakby potrafił czytać w moich myślach. Odwracam spojrzenie, desperacko chcę wziąć się w garść i obmyślić jakiś plan.

– A oto i ona! Jakże uroczo wyglądasz w tej sukience, moja droga!

Raphael jest dziwnie uradowany moim widokiem. Pewnie myślał, że Killian mnie poćwiartował i wyrzucił szczątki do morza.

– Dzień dobry.

Raphael podchodzi do mnie, wyginając nadgarstki i z najwyższym trudem kamuflując odbijającą się na jego twarzy histerię.

– Jak się czujesz? Nadal gorączkujesz?

Zerkam na Killiana, ale odwracam spojrzenie, gdy tylko napotykam jego oczy. Zawsze było trudno w nie patrzeć, ale teraz pojawiło się w nich coś nowego, coś poza wyrachowaniem i zaciętością. Coś dziwniejszego nawet od ulgi Raphaela, gdy zobaczył, że jestem cała i zdrowa.

Nie wiem, jak to nazwać, ale martwi mnie to do szpiku kości. Jeszcze bardziej od tego niedorzecznego dołeczka w policzku.

– Nieźle, Raphaelu. Dziękuję, że pytasz.

Staje przede mną, przygląda mi się ze zmarszczonym czołem, a w końcu bierze mnie za rękę.

– Włosy wyglądają dobrze, moja droga – tłumaczy, głaszcząc mnie po dłoni. – A ludzie czują się dobrze albo niedobrze.

– Och, w takim razie czuję się nie tyle dobrze, ale świetnie. Wyśmienicie. Znakomicie.

Na dźwięk mojego cierpkiego tonu rzadnie mu mina. Wzdycha cicho.

– Tak, rozumiem, do czego zmierzasz – stwierdza smutno. – I chcę, byś wiedziała, że jest mi bardzo, bardzo, bardzo przykro z powodu...

Dłoń Killiana zaciska się na jego gardle tak szybko, że prawie nie zauważyłam jej ataku. Wręcz rozmyła się w przestrzeni i nagle Raphael łapie się za gardło i obrzydliwie charczy, bo Killian miażdży mu tchawicę.

Instynktownie wkraczam do akcji.

– Przestań! Killian, przestań!

Popycham go z całej siły w pierś, co przynosi jedynie taki skutek, że obraca głowę w moją stronę, podczas gdy Raphael nadal krztusi się i charczy. Jego twarz robi się krwistoczerwona, zaczyna wierzgać nogami.

– Odsuń się.

Killian brzmi, jakby nie działo się nic niezwykłego. Ma opanowany głos, spokojną minę, natomiast wpatrzone we mnie oczy płoną.

Twarz Raphaela robi się fioletowa. Mężczyzna pada na kolana, ale Killian nie puszcza. Na jego bezdźwięcznie walczących o powietrze wargach pojawia się piana, wbija paznokcie obu dłoni w rękę Killiana.

Boję się, że zaraz skona, tutaj, na moich oczach.

Serce bije mi jak opętane, podchodzę bliżej i patrzę Killianowi głęboko w oczy.

– Puść go natychmiast!

W jego spojrzeniu jest coś dzikiego. Coś zwierzęcego, rozszalałego, jakby przestał być człowiekiem. To przerażające, głównie dlatego, że już widywałam coś takiego.

Niestety, gdy masz do czynienia ze zwierzęciem, musisz odwołać się do jego zwierzęcych instynktów.

Kładę otwartą dłoń na środku jego piersi i ściszam głos.

– Proszę. Jeżeli go puścisz, to...

Killian puszcza Raphaela tak nagle, że aż wzdycham zaskoczona. Ten drugi kręci się po posadzce, spazmatycznie kaszle i zwija się w pozycję embrionalną, cały czas trzymając za szyję.

Ale szybko przestaję zwracać na niego uwagę, bo Killian łapie mnie mocno za ramiona, przyciąga do siebie, przybliża twarz do mojej i pyta:

– To co?

Jego głos znowu brzmi, jak szuranie papierem ściernym. Wpatruje się we mnie, nie mrugając, a jego szczęka wydaje się twarda niczym granit.

Ostrożnie, Eva. Ostrożnie.

– Będę grzeczna. Obiecuję, że będę grzeczna – mówię.

Gdy jego wzrok zjeżdża na moje usta, wstrzymuję oddech. Ten moment rozciąga się tak bardzo, że trudno to znieść, ale w końcu jego rozpalony wzrok wraca na wysokość moich oczu.

Wbija palce w moją skórę, pochyla głowę i przysuwa usta do mojego ucha:

– Musisz się bardziej postarać.

Wyłapuję aluzję w jego głosie i wszystko się we mnie buntuje. Muszę się opanować, bo mam ochotę wyrzucić mu w twarz, że jest krwawym siepaczem.

– Przypominam ponownie, że sam mówiłeś, że gwałt ci uwłacza.

Gdy odpowiada, jego ciepły oddech delikatnie opływa skórę na moim karku.

– Jeżeli sama proponujesz, to nie gwałt.

– Niczego nie proponuję!

Próbuję się odsunąć, ale mocno mnie trzyma. Tak mocno, że moje piersi rozplaszczają się na jego torsie i czuję przez ubranie żar jego ciała.

– Przestań, barbarzyńco! – rzezi na podłodze Raphael. – Daj jej spokój!

Utknęliśmy z Killianem w niemym uścisku – on na siłę mnie przyciąga, ja próbuję się wyrwać. Obracam głowę w bok, on przykleja policzek do mojej szyi, czuję na skórze szorstki zarost. Trzymam dłonie na jego twardej piersi. Pachnie mydłem, dymem i skórą, tą nutą męskiej woni.

– Jeżeli jeszcze raz mi się sprzeciwisz albo jakkolwiek zaingerujesz w moje decyzje lub polecenia, albo wywiniesz kolejny debilny numer jak tamten skok do wody, to wbiję Raphaelowi nóż w serce – mówi wyraźnie wprost do mojego ucha. – W gruncie rzeczy zrobię to, jeżeli zrobisz cokolwiek, co mi się nie spodoba.

Odsuwa się nieznacznie, tak że patrzymy sobie w oczy. Chce, bym zobaczyła, że mówi śmiertelnie poważnie. I widzę to. To nie jest kolejna groźba, mająca sprawdzić moje posłuszeństwo. Mówi serio.

– Skoro tak bardzo lubisz zgrywać bohaterkę – dodaje jeszcze z uśmiechem.

Znowu mruga do mnie dołeczek, niczym środkowy palec przyklejony do środka jego policzka.

Ponownie próbuję się wyrwać i tym razem mi pozwala. Puszcza mnie, przyjmuje swoją typową znudzoną minę i patrzy z niesmakiem na wciąż rzęzącego żałośnie na podłodze Raphaela.

– Wstawaj – rozkazuje Killian.

Pomagam mu się podnieść. Przychodzi mi to z trudem, bo jest słaby jak nowonarodzona żyrafa, potyka się o własne nogi i mocno mnie trzyma. Chyba zaraz się rozplacze.

– Nic ci nie jest, Raphael – mówię stanowczo, żeby go podbudować. – Jeżeli możesz oddychać, to tchawica jest cała. Poboli, wyjdą siniaki, ale nic ci nie będzie. Rozumiesz?

Patrzy na mnie wielkimi, niebieskimi załzawionymi oczyma.

– Nie wiem, co gorsze – szepcze ochryple, pociągając nosem. – Moja posiniaczona tchawica, czy fakt, że wiesz, zapewne z doświadczenia, że skoro mogę oddychać, to jest cała.

Parskam posępnie.

– Jeżeli chodzi o uszkodzenia ludzkiego ciała, jestem chodzącą encyklopedią. Zarzuć mi rękę na ramię. Pomogę ci dojść do krzesła.

A potem, po francusku, mówię mu, by się nie martwił, bo nie pozwolę, żeby Killian tknął go choćby małym palcem.

Jest tak wstrząśnięty, słysząc swoją ojczyzną mowę, że prawie znowu się przewraca.

– Znam rosyjski, angielski, francuski i niemiecki – kontynuuję w jego języku. – Trochę rozumiem koreański. Za mało, żeby rozmawiać, ale poznam, gdy ktoś negocjuje w tym języku handel bronią.

– Winszuję talentów lingwistycznych, ale nie ty jedna znasz tu francuski – mówi głośno Killian.

– *Schwanz* – cedzi pod nosem Raphael.

To znaczy „kutas” po niemiecku. Wypowiada to słowo z tak zapiekłą nienawiścią, że nachodzi mnie pewien pomysł.

Cicho i najszybciej jak potrafię, pytam Raphaela po niemiecku, czy może zdobyć dla mnie telefon.

Jednakże zanim jego lojalność lub skala strachu przed Killianem zostały przetestowane, dłoń łapie mnie za kark i brutalnie odciąga. Wciąż zasapany Raphael pada na krzesło, do którego go prowadziłam.

– Co mu powiedziałaś?!

Killian zaciska dłoń na moim karku. Drugą zbliża do gardła. Góruje nade mną, zabija wzrokiem, ponad metr osiemdziesiąt czystego niebezpieczeństwa.

Nie potrafię kłamać. Emocje zawsze mam wyraźnie wypisane na twarzy, a mój głos zawsze zdradzi prawdę wysokim piskiem i drżeniem wyrzutów sumienia. Biorąc pod uwagę, że wierzę w groźby Killiana odnośnie do noża w sercu Raphaela, nie mam wyjścia. Więc po prostu mówię prawdę.

– Zapytałam, czy zdobyłby dla mnie telefon.

Moja szczerość chyba zaskoczyła Killiana. Waha się, niepewny, co zrobić.

– Żebyś mogła zadzwonić do tego swojego Naza?

– Nie, żebym mogła zadzwonić do Dmitrija.

Odpowiedź go rozjusza. Przyciąga mnie bliżej, zaciska dłoń na moim gardle. Nie chce mi się walczyć, bo tylko pogorszyłabym sprawę, ale muszę zacisnąć dłonie na jego nadgarstkach, żeby się nie przewrócić. Są grube jak konary drzew, pokryte pręgami mięśni i twarde jak stal.

– Mówiłaś, że go nienawidzisz.

– Nienawidzę – wyduszam z trudem, bo uciska mi krtań. – Ale jeżeli szybko do niego nie wrócę, zabije Naza. Musi się dowiedzieć, że to nie przez Naza jeszcze do niego nie wróciłam.

Patrzy na mnie z totalnym zdumieniem. Wpatruje się, analizuje moją minę, wodzi wzrokiem po całej mojej twarzy. Uchwyt na moim gardle się rozluźnia, ale jeszcze mnie nie puszcza. Przeciwnie, przyciąga mnie bliżej, nasze oddechy praktycznie zlewają się w jeden. W końcu w jego oczach pojawia się zrozumienie.

– Zrobisz wszystko, żeby go chronić, prawda?

– Tak.

– Włącznie z powrotem do mężczyzny, którego ponoć nienawidzisz i ryzykowaniem mojego gniewu.

– Włącznie ze wszystkim, nawet oddaniem życia.

– Patologia.

– Miłość.

Killian całkowicie zapomniał o istnieniu Raphaela. Skupia się na mnie z niezwykłą

intensywnością, ściąga swoje brązowe brwi, i powoli mruga. Nagle mówi cichym, bezpośrednim tonem, którego jeszcze u niego nie słyszałam:

– Ciągłe powtarzasz to słowo. Miłość. Jakby istniała naprawdę.

Mogę swobodniej oddychać, bo jego uścisk zelżał do tego stopnia, że tylko trzyma mi dłoń na szyi. Jego dotyk zrobił się łagodniejszy, jak pieszczota kochanka.

– To jedyne, co istnieje – odpowiadam żarliwie, patrząc mu prosto w oczy. – Jedyne co się w życiu liczy.

Przez jego ręce przechodzi lekki dreszcz, jakby kopnął go prąd. W głębi orzechowych oczu coś migocze, jakiś pradawny, palący smutek, który pcha się na powierzchnię.

– Pokaż mi.

Mrugam.

– Eee, co?

Jego wzrok pada na moje wargi, a mina się zmienia. Łagodnieje, ale też rozgrzewa ją jakaś emocja i nie jest to pożądanie. Bardziej jakby...

Tęsknota.

– Powiedziałem pokaż. Masz mnie pocałować tak jak jego. – Dostaję arytmii serca. Nie mogę złapać tchu. – Bo inaczej... Raphael ucierpi – dodaje, nie odrywając oczu od moich ust.

Mój żołądek zwija się w węzeł, pocę się pod pachami, puls wystrzeliwuje w kosmos, a kolana zaczynają drżeć.

Nie mogę. Nie pocałuję tego człowieka za żadne skarby tej bożej ziemi. Tego brutala. Wolalabym pocałować rekina. Ale Raphael... on go skrzywdzi. Nie mogę do tego dopuścić, muszę...

– Decyduj – ponagla mnie charkotliwie.

Boże, jeśli mnie słuchasz, wiem, że jestem już potępiona, ale naprawdę przydałby mi się w tej chwili jakiś cud. Proszę cię, poraż śmiertelnie Killiana. Rozległy wylew krwi do mózgu byłby idealny.

– Decyduj – powtarza głośniejszym i spogląda ponuro na Raphaela.

Wspinam się na palce i pośpiesznie cmokam go w wargi.

Gdy się odsuwam, patrzy na mnie bez słowa. A potem wzrusza ramionami, zabiera ręce z mojej szyi, podchodzi do Raphaela, łapie go za gardło i unosi zaciśniętą pięść. Raphael skrzeczy i kurczy się w sobie.

– Nie! – krzyczę.

Wskakuję między nich, udaje mi się odepchnąć Killiana na tyle mocno, że go puszcza, ale chyba nie przejął się moją interwencją. Po prostu mierzy mnie lodowatym wzrokiem. Następnie wyciąga z kieszeni składany nóż. Otwiera go wyćwiczonym manewrem nadgarstka, na co Raphael znowu kwili z przerażeniem, tym razem jeszcze wyżej.

– Zaczekaj! – wołam, wyrzucając ręce w górę.

– To nie są negocjacje. – Wzrok Killiana nie ma wyrazu, jest wręcz znudzony.

Ten człowiek mnie wykończy. Prostuję plecy, pokonuję dzielącą nas przestrzeń, ujmuję w dłonie jego nieogoloną twarz i całuję.

Naprawdę całuję, z językiem, sercem i totalnym zatraceniem. Przywieram do niego całym ciałem, usilnie przypominam sobie wszystkie pocałunki z Nazem. Wyobrażam sobie, że to *jego* silne ramiona zamykają się wokół moich pleców i z miażdżącą siłą przytulają mnie do torsu, że to *jego* serce łomocze przy moich piersiach, że to *jego* usta i zaskakująco miękkie wargi, że to *on* wzdycha z udręką, z głębi gardła.

Oddaję się całkowicie, bo mam głęboką świadomość, że to dla Raphaela, ale również, że to koszmarny, koszmarny błąd.

Bo Killian odwzajemnia pocałunek z desperacją człowieka ratującego się przed utonięciem.

W jego ustach jest niezbadana namiętność, jego objęcia są niczym żarłoczny, nieskończony mrok. W jego pocałunku jest czarny, nienasycony głód, który pochłonie wszystko na swej drodze albo spali to na popiół, jak nieokiełznana pożoga. Spija mnie głęboko, tak głęboko, że wygina mnie w tali do tyłu i muszę trzymać się jego barków i brać krótkie oddechy nosem, bo łapczywie pożera moje usta.

Gdy mam już wrażenie, że upłynęła cała wieczność, odrywa się od moich ust i bierze ostry haust

powietrza, jego tors unosi się i ciężko opada. Stoimy jak zamrożeni przez nieliczone sekundy, jakby szepieni, patrząc sobie w oczy.

Killian mruga powoli, jego powieki wędrują w górę i opadają. Po dłuższej chwili otwiera oczy, a źrenice rozszerzają się, jakby był naćpany.

– Dziękuję – dyszy drżącym głosem.

A następnie odpycha mnie na bok, podnosi z podłogi nóż, podchodzi do krzesła i po samą rękojeść wbija ostrze w pierś Raphaela.

ROZDZIAŁ 9

Naz

Halifax w Nowej Szkocji. Atlantycki port we wschodniej Kanadzie znany z bogatej historii, uroczego nadmorskiego deptaka, ikonicznej latarni morskiej i cytadeli, czyli zbudowanego w 1749 roku fortu w kształcie gwiazdy, który miał chronić miasto przed nadciągającymi od morza napastnikami.

Poza tym pizga tu, aż dupa chce odpaść.

Zwłaszcza w wodzie.

W październiku.

W nocy.

– Więc będzie tak, Catherine – zwracam się do elegancko ubranej kobiety w średnim wieku, którą Connor zakneblował, skuł i której kazał tak klęczeć w głębokiej na pół metra, lodowatej wodzie, przy odludnej kamienistej plaży na południe od miasta. – Ja zadam ci pytanie, ty udzielisz mi odpowiedzi. Jeżeli owa odpowiedź mi się nie spodoba lub uznam, że kłamiesz, ten oto mój kolega wepchnie ci łeb pod wodę i da kilka chwil do ponownego namysłu. Później zaczniemy od nowa. Natomiast powinienem cię ostrzec, że ma kiepskie wyczucie czasu. Trzydzieści sekund, dziewięćdziesiąt sekund... dla niego bez różnicy. – Robię zatroskaną minę. – Jak długo potrafisz wstrzymać oddech?

Patrzy na mnie wzrokiem płonącym nie strachem, lecz nienawiścią.

Interesujące.

Connor ma kwaśną minę. Oczywiście przez to, że nazwałem go „kolegą”, a nie „przełożonym” czy po prostu „szefem”. Nie lubi takich naruszeń zasad. Wojsko lubi wbijać żołnierzom do głowy szacunek do hierarchii i choć obaj zrzuciliśmy mundury wiele lat temu, to pewnych rzeczy z człowieka się nie wypleni.

– Och, sekundkę... – Wyciągam z kieszeni telefon i pstrykam mokrej, skrępowanej kobiecie kilka zdjęć. – Mogą się przydać do nekrologu – stwierdzam wesoło i chowam komórkę.

Ale to też jej nie wystraszyło. Wygląda, jakby w myślach nakładała na mnie klątwę voodoo. Twardy z niej orzech do zgryzienia.

– Dobra, pytanie pierwsze. Gotowa? Jedziemy. Wraz z małżonkiem posiadacie jacht o nazwie *Silver Shadow*, prawda?

Jej furię w ułamku sekundy zastępuje zmieszanie. Widać to jak na dłoni, bo zamiast mordować mnie wzrokiem, mruży oczy zaskoczona.

– Kiwnij głową albo nurkowanko. Jak nawciążasz się słonej wody przez nos, to przejebanie szczypie.

Kiwa głową.

– Okej. Świetna robota! Pytanie drugie. Twój małżonek znajduje się obecnie na pokładzie wspomnianego przed chwilą jachtu, prawda?

Kolejne kiwnięcie.

– Pięknie! Widzisz, jak świetnie ci idzie?!

Connor kręci głową i przewraca oczami, ale go ignoruję. Mamy różne sposoby przesłuchiwania jeńców. Może i mój rzeczywiście jest nieco niestandardowy, ale uważam zastraszanie kobiet za wyjątkowo niesmaczne (mówię tu o zasadzie ogólnej, bo poznałem kilka kobiet *znacznie* gorszych od najpodlejszych facetów i nikogo nie należy dyskryminować ze względu na płeć, no ale dajcież spokój, przecież nie wolno być wrednym dla dziewczyn) dlatego zawsze zaczynam od kilku łatwych pytań, zapewniam im sporo wsparcia i zachęt, żeby ograniczyć traumę oraz liczbę umysłowych i emocjonalnych ran, z którymi później będą musieli borykać się terapeuci i partnerzy.

Z drugiej strony z tym jeńcem chyba nie trzeba się cackać. Podejrzewam, że mógłbym założyć jej pas szahida, a i tak naplułaby mi w twarz.

– Pytanie trzecie. Jest bardzo ważne, więc dobrze się zastanów. – Rezygnuję z przyjacielskiego uśmiechu, łagodnego głosu i patrzę jej prosto w oczy. – Dokąd. Kurwa. Płynię?

Wydaje z siebie zwierzęcy warkot. Pozwalam jej kisić się we własnej żółci przez kilka chwil, cały czas patrząc jej w oczy. Potem pokazuję Connorowi, żeby wyjął knebel.

Gdy tylko szmatka znika z jej ust, kobieta bierze głęboki wdech, a potem oddaje się długiej, namiętnej tyradzie o tym, że dla własnego dobra powinniśmy ją zabić, bo jak odzyska wolność, oderżnie nam jaja i powpycha nam je w gardła. Zapowiada też jakieś formy wypatroszenia oraz odpiłowywania kończyn i tak dalej, i tym podobne. Na koniec planuje rozpuścić nasze truchła w kwasie i wylać do morza.

Cholera, spotykałem mniej zaciętych klawiszy więziennych.

– Nie zabijemy cię. – Gdy podnosi na mnie zaskoczony wzrok, dodaje: – To znaczy, prawdopodobnie nie. No, ja nie chcę cię zabijać, ale ten tu... – Wskazuję na Connora palcem i mówię teatralnym szeptem: – Ten tu to wariat. Uwielbia maltretować dziewczuchy. – Na koniec rozkładam ręce w geście: „No ale co zrobić, takie życie”.

Kobieta patrzy na Connora i powtarza zwierzęcy warkot. Connor tłumii westchnięcie.

Byłoby mi jej szkoda, gdybym nie wiedział, co odwalali z mężem przez kilka ostatnich dekad. Pranie forsy, pośrednictwo w nielegalnych transferach broni od złoczyńców do jeszcze gorszych złoczyńców, handel prochami. Ot kilkaset kilo koki czy fentanylu co jakiś czas, żeby podreperować stan konta i wieść rozrzutne życie.

Och, no i nie zapominajmy o dziewczętach.

Wszystkie porwane nieletnie, które państwo Bergé, pozornie wzorowi obywatele, przewozili między portami na pokładzie swojego luksusowego jachtu żaglowego *Silver Shadow*, czekało nowe, lecz krótkie, brutalne, pełne poniżeń, upokorzeń i niewyobrażalnej przemocy życie z mężczyznami płacącymi grube dolary za dziewice.

Można oszaleć, gdy potrafi się przetrząsać darknet tak sprawnie jak Tabby.

Więc nie, bynajmniej nie jest mi szkoda tej glisty w przemocznym kostiumie Chanel, natomiast dzięki temu, że jest kobietą, na razie nie ujrzy mojego najgorszego oblicza.

Natomiast jej mąż to już zupełnie inna sprawa. Nie mogę się doczekać, kiedy dostanę tego skurwysyna w swoje ręce.

Catherine potrzebuje kilku chwil, żeby uspokoić własne powarkiwania i w końcu wyznaje:

– Płynął tutaj.

Spoglądamy na siebie z Connorem, unosząc brwi.

– Tutaj? – powtarzam, przechylając głowę w bok. Ostatnia pozycja jego komórki LEO wskazywała na coś zgoła innego. Gdy ostatnio sprawdzaliśmy, *Silver Shadow* szedł z Nowego Jorku prosto na wschód, ku otwartemu oceanowi i Europie, a nie na północ.

– Tak. Wyflął z Barbadosu i zawinął do Nowego Jorku, żeby rozładować... – urywa, w jej oczach pojawia się cień poczucia winy.

– Wiemy, co zazwyczaj transportujecie, paniusiu – mówię cierpko. – Dawaj dalej.

– Z Nowego Jorku wracał tu, do Halifax. A przynajmniej taki był plan. – Wzdycha. – Mąż nie kontaktował się ze mną od wczorajszej nocy.

Connor posyła mi pytające spojrzenie, chyba chce wiedzieć, czy ma ją podtopić. Kręcę głową, bo myślę, że mówi prawdę.

Wychodzi na to, że Raphael otrzymał nowe wytyczne. Pytanie brzmi: od kogo?

– Kto jest z twoim mężem na pokładzie?

– Kapitan. I załoga. I spierdalaj, świni.

– Urocze. Ilu ludzi załogi?

– Czwor. Trzech mężczyzn i młoda kobieta.

– A ten wielki koleś z dziarami? Należy do załogi?

Znowu mruży oczy zdziwiona.

– Wielki koleś? – pyta.

Tłumię ochotę, żeby chlapnąć jej wodą w twarz.

– Tak. Ciemne włosy do ramion. Dużo tatuaży.

– W personelu nie ma nikogo takiego – odpowiada, kręcąc głową.

Dla potwierdzenia nakazuję jej opisać wygląd wszystkich członków załogi. Opisuje dwoje Afroamerykanów, Filipińczyka i dwóch mężczyzn rasy kaukaskiej. Nikt nie pasuje do mężczyzny, który złapał Evę na pokładzie.

– Miałś kiedyś do czynienia z człowiekiem, o którym mówię? Przypomina kogoś, z kim robiliście interesy? Jakiegoś przyjaciela, znajomego? – dopytuję, starając się trafić na jakikolwiek trop.

Catherine znowu kręci głową.

– Nie. Skończyliśmy? Bo muszę zdążyć na spotkanie klubu książki, a jestem odpowiedzialna za procenty. – Puszcz mi oczko. – Jak te suki nie dostaną na czas wina, to je pojebie. Od miesiący wysłuchuję ich narzekań.

Ja i Connor patrzymy na siebie z niedowierzaniem.

Zwinęliśmy ją zaraz pod domem, który ku naszej radości stoi blisko wybrzeża – a to jest szczęśliwie blisko strefy lądowania, na którą podrzucił nas ptaszek – więc postanowiliśmy, że podskoczmy z nią na tę odludną plażę, trochę się pomoczmy i może dowiemy, dokąd płynie jej mąż.

Mogliśmy ją przesłuchać w domu, ale przejażdżka w bagażniku, z kajdankami na nadgarstkach i kneblem w ustach, do jakiejś odludnej lokacji, zawsze jest nieco straszniejsza od rozmowy na wygodnej leżance w domu i motywuje do mówienia prawdy, więc oto jesteśmy.

I rzeczywiście metoda się sprawdziła. Z drobnym wyjątkiem. Catherine się nas nie wystraszyła, ani trochę.

Zadaję jej jeszcze kilka pytań, ale nie dowiaduję się niczego, co pomogłoby ustalić, gdzie jej mąż zmierza z Evą. Zabrnęliśmy w ślepą uliczkę, mógłbym spróbować wyrwać jej paznokcie, ale nie zamierzam tego robić. Odprowadzamy ją więc z powrotem do jej mercedesa i wrzucamy do bagażnika.

My dwaj wsiadamy do auta i siedzimy w ciemności, patrząc na rozbijające się o brzeg fale i słuchając, jak to ścierwo w bagażniku obrzuca nas wszystkimi znanymi ludzkości wyzwiskami. Przynajmniej zalaliśmy jej siedzenia obite koryncką skórą słoną wodą.

– Chyba czas wysłać mężulowi zdjęcia zoneczki – szydę.

Connor bębni palcami w kierownicę, po czym odpowiada:

– To niebezpieczne. Może przesadzić z reakcją.

Przesuwam dłonią po twarzy, ignorując coraz bardziej bolesne palenie w klatce. Nie chcę myśleć, co się dzieje w moich płucach. Mogą się zapaść później, jak odbiję Evę.

– Nie mamy innego wyjścia. Kimkolwiek jest ten wydzierany gnój, raczej go tam nie oczekiwali. Z tego, co dowiedziała się Tabby, Bergé'owie działają w zespole. Gdyby ten koleś się przy nich kręcił, to żonka by go знаła. Jeżeli mężulek miał wracać do domu, ale niespodziewanie zmienił kurs, to zapewne pod przymusem. Tym bardziej, że do niej nie zadzwonił i nie dał znać. Może jeśli dowie się, że jego żona jest w tarapatkach, to da nam jakieś informacje, żeby ocalić jej dupsko.

– A może nas poprosi, żebyśmy wyświadczyli mu przysługę i rozwalili jej łeb. Wyobraź sobie, jak musi z nią żyć. Jezu. Ja już dawno wisiałbym na belce pod stropem. Pewnie ma w dupie, co z nią zrobimy.

– Masz jakieś inne propozycje? Zamieniam się w słuch – oznajmiam, skupiając na nim spojrzenie.

– Tak jak proponowałem wcześniej. Czekamy, aż gdzieś dopłyną i wtedy lecimy po Evę. Na lądzie będzie ich znacznie łatwiej śledzić.

Podnosi mi się ciśnienie. W czasie dwugodzinnego lotu z Nowego Jorku, w który wyruszyliśmy, gdy tylko Tabby ustaliła adres domowy Raphaela, trzymałem nerwy na wodzy, ale znowu zaczyna mi odwalać.

– Nie będę czekał. Przerabialiśmy to już. Czas ma kluczowe znaczenie, doskonale o tym wiesz – przypominam, po czym przeciągle wzdycham.

– W takim razie możemy tylko zgadywać, dokąd płyną, na podstawie dotychczasowej trasy jachtu i czekać na nich na miejscu.

Ta opcja też mi się nie podoba, bo opiera się o czyste domysły. Nienawidzę, kurwa, zgadywać.

Muszę *wiedzieć*. Poza tym będzie trzeba pływać po całym północnym Atlantyku, który bywa zdradziecki o każdej porze roku. Pomijając już prądy, wichry i szczęście, jakie musielibyśmy mieć, by zbliżyć się do jachtu na tyle, żeby się na niego dostać, dochodzi oczywisty problem, że nas zauważą. Mógłbym spróbować wyskoczyć na spadochronie z samolotu, ale to mniej więcej tak jakby nawlekać leżącą na ziemi igłę z kosmosu.

A czas leci.

Eva. Kochana, kurwa mać, błagam, trzymaj się.

Wypuszczam powietrze z płuc i podejmuję decyzję.

– Zobaczmy, czy Żabojad nie będzie chciał się wymienić.

Trzymajmy kciuki za to, że kocha swoją koszmarną żonę.

ROZDZIAŁ 10

Eva

Z mojej piersi wyrywa się krzyk absolutnej grozy, gniewu i niedowierzania.

Zaszlachtował go. Killian wbił Raphaelowi nóż w klatkę piersiową!

Tryskająca z rany falami krew szybko wsiąka w jego koszulę i rozlewa się na jedwabne siedzenie krzesła. Krwisty karmazyn rozkwita na białym lnianym kwiat, a Raphael patrzy z niedowierzaniem na sterczący z jego mostka nóż. Wiednie na krześle, chwyta bezwładną dłoń za rękojeść, jego wargi pracują, ale nie dobywa się pomiędzy nich żaden dźwięk.

– Ty gnoju! – Przebiegam obok Killiana i padam na kolana przy Raphaelu. Jego niebieskie oczy są szeroko otwarte, pełne niedowierzania. Z lewego kącika ust spływa mu strużka krwi.

Zaraz robi mi się niedobrze. Za dużo krwi. Jest wszędzie. Na ubraniu i rękach Raphaela, spryskała mu podbródek i szyję, jest na moich dłoniach, bo bezradnie próbuję ucisnąć ranę, która przy każdym jego oddechu wydaje upiorny dźwięk zasysania.

Wiem, że nie można wyciągać noża, bo byłoby jeszcze gorzej.

Wykrwawiłby się jeszcze szybciej.

– Idź po lekarza! Pomocy! Niech ktoś nam pomoże, proszę!

Moje rozpaczliwe błagania niosą się echem w pustym pomieszczeniu i konają, odbiwszy się od ścian. Gdy dociera do mnie, że nikt nie może przyjść nam z odsieczą, ponownie zalewa mnie przerażenie.

Killian odpycha mnie bok, podrywa zawodzącego Raphaela z krzesła i wywleka z pokoju.

– Co ty robisz?! Gdzie go zabierasz?!

Zrywam się na nogi, zaciskam w pięści śliskie od krwi ręce, jestem rozpalona, moje nogi są jeszcze bardzo słabe.

Wykrzykuję pytania jeszcze raz, ale Killian mnie ignoruje. Krew tryska na wypolerowany parkiet, a ciągnięte po ziemi stopy Raphaela rozmazują ją w nierówne zawijasy. Killian taszczy go jak worek ziemniaków.

I nagle jesteśmy na pokładzie. Zimny wiatr wciska mi włosy w oczy. Wisi nad nami ołowiowszary niebo, chmury dryfują nisko, groźnie. Wicher brzmi jak wilcze wycie. Podpieram się o reling, bo z trudem utrzymuję równowagę, a mój żołądek szaleje. W moim gardle tkwi napęczniała, kwaśna gula.

Zaszlachtował go. Zaszlachtował. Mój umysł nie jest w stanie pojąć tego, czego właśnie byłam świadkiem, ale nie mam czasu, by dojść do siebie, bo zaczyna się kolejny horror.

Killian zawleka Raphaela na krawędź pokładu, podnosi, jakby nic nie ważył i wyrzuca za burtę.

Ciało Raphaela jakby zawisło w powietrzu na wieczność, płatanina rąk i nóg na tle bezmiaru spienionych fal i czerni oceanu. A potem spada, wirując i obracając się, z zakrwawionej piersi nadal sterczy nóż. Ostatni raz miga mi jego biała, zszokowana twarz, a potem Raphael znika.

Moje ciało jest napompowane adrenaliną, która zalewa moje komórki i pozwala zignorować grozę i działać.

Rzucam się przez reling, krzycząc na wietrze, z wyciągniętymi rękoma, z rozcapierzonymi dłońmi, żeby go złapać. *Muszę mu pomóc, muszę mu pomóc, koniecznie muszę mu pomóc...*

Chwyta mnie. Para żelaznych ramion unieruchamia mnie zaraz za poręczą i trzyma mocno, choć rzucam się i kopię.

– Puszczaj! – wrzeszczę. – Co ty wyprawiasz?! Co ty zrobiłeś?!

Killian wciąga mnie z powrotem do nadbudówki, cofając się krok za krokiem, jego uścisk nie daje mi żadnej nadziei. Walczę desperacko, instynktownie, ale to na nic. Jest zbyt silny.

Gdy wchodzimy do środka, kuca gwałtownie, ciągnąc mnie za sobą. Jego ramiona są niczym kraty klatki, nie ma ucieczki. Kiedy obracam głowę i wykrzykuję swoją frustrację w sufit, Killian zwraca twarz w moją szyję.

– Eva, już po wszystkim. Już po wszystkim.
– Dlaczego? Obiecałam, że będę grzeczna! Obiecałam, i pocałowałam cię! Dałam ci, czego chciałeś!

– To nie twoja wina. On i tak nie mógł zejść z tego pokładu żywy.

Zaczynam się trząść. Moje nogi, choć złożone pod ciałem, także drżą. Chyba jestem w szoku.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz. Ale nie roń łez nad Raphaelem. Nie znam nikogo, kto przysporzyłby ludziom więcej cierpień. A obracam się wśród najgorszych okazów ludzkiej rasy.

– Nie wierzę ci! Traktował mnie życzliwie! Był zły, że mnie skrzywdziłeś! – krzyczę, trzęsąc się.

– Bo bał się konsekwencji. Bał się Dmitrija. Cenił twoje życie tak samo, jak życie setek młodych dziewczyn, które w ciągu lat dostarczał Dmitrijowi. Cenił je, bo na nich zarabiał.

Dziewczyn. Dreszcz, który jest niczym śmierć, stawia do pionu każdy włoszek na moim ciele.

Killian wyczuwa, że nagle zamarłam i dodaje łagodnie:

– Myślałaś, że Dmitrij zamawiał je sobie na Amazonie?

Kropki łączą się w całość i doznają nagłego oświecenia.

– Myślałeś, że ja mu w tym pomagam? – Gwałtownie otwieram oczy tak szeroko, jak tylko mogę, zaskoczona tą świadomością.

Killian odpowiada dopiero po ciężkiej od intensywności pauzie.

– Wziąłem cię za kogoś, kim nie jesteś.

Wiotczęję w jego ramionach, szamotanina pozbawiła mnie resztek sił. Mój żołądek znowu się zaciska, gula ponownie pęcznieje w gardle, dłużej nie wytrzymam. Wstrząsają mną spazmy, czuję się coraz gorzej.

Kilian mruczy coś po gaelicku. Gdy ponownie mam odruch wymiotny, oczy zachodzą mi łzami i zaczyna kręcić mnie w nosie, jego ręce przestają mnie więzić i zaczynają wspierać. Rozpłaszczam zakrwawione dłonie na podłodze i patrzę na nie, gdy mój pusty żołądek na próżno próbuje pozbyć się choroby. Nie wie, że przypadłości, która się we mnie załęgła, już nic nie zlikwiduje.

To choroba, która przeżera wszystko, do szpiku kości.

Killian zanosz mi do kajuty. Ten morderca. Najemnik, który całkowicie lekceważy ludzkie życie, niesie mnie na rękach czule jak dziecko. Sadza mnie na łóżku i podaje kubek wody. Przyjmuję go drżącymi dłońmi i piję do dna, skupiając się na punkcie za plecami Killiana, żeby się nie przewrócić.

– Musisz coś zjeść.

Przysuwa do łóżka krzesło i siada na nim, patrząc na mnie z nieodgadnioną miną, za którą jestem wdzięczna. Nie chcę wiedzieć, co się dzieje w jego głowie. Chcę wiedzieć tylko jedno, jak powstrzymać Dmitrija przed skrzywdzeniem Naza.

– Powinieneś mu wysłać moje zdjęcie. – Wskazuję na moją posiniaczoną twarz. Jestem lekko zaskoczona, jak słabowicie brzmię i jak ciepło zrobiło się w kajucie. Gorąco i duszno. – To znaczy Dmitrijowi. Powinieneś mu wysłać zbliżenia mojej twarzy i karku.

Killian opiera się na krześle.

– Tak mówisz? – pyta nieco rozbawiony.

Kiwam głową. *Jakim cudem jest taki spokojny? Musiał zamordować wielu ludzi.*

– Albo nagranie. Będę krzyczała i błagała bardzo przekonująco.

– Nie wątpię... – mówi z namysłem.

Jacht buja się na długiej fali, aż drzwi chyboczą na zawiasach. Mój żołądek unosi się i opada wraz ze statkiem.

– Och. – Nachodzi mnie kolejna myśl, podnoszę na niego wzrok. – Czy może zamierzałeś mnie najpierw zabić?

Przed udzieleniem odpowiedzi, krępująco długo patrzy mi w oczy.

– Wiesz, że cię nie zabiję.

Przez chwilę siedzę bez słowa, po czym kiwam głową i stwierdzam:

– Tak.

– Co jeszcze wiesz? – pyta, nachylając się bliżej, wspierając łokcie na kolanach i splatając palce.

Wbijam wzrok w trzymające pusty kubek dłonie. Moje drżące, zbrukane krwią dłonie. *Jak tu trafiłam? Co się ze mną stało? Dlaczego tak skończyłam?*

– Wiem, że nie chciałeś mnie pobić, ale pobiłeś. Uznałeś, że musisz. – Odpowiada mi cisza, więc kontynuuję: – Wiem, że Raphael starał się udawać, że tu rządzi. – Parskam cichym, pustym śmiechem. – Ale jak widać, nie rządził. Wiem, że Dmitrij ma coś, na czym ci zależy. – Ponownie podnoszę na niego wzrok. – I wiem, że myślisz, że mnie za to przehandlujesz.

– Mam rację?

– Masz.

– To dobrze. Nawet nie chcę myśleć, że zadałem sobie ten cały trud na marne.

– Ale wielu rzeczy nie wiem.

Przechyliła głowę na bok i przygląda mi się z namysłem, uznając to za zgodę na ponowne zabranie głosu. Po zastanowieniu wybieram najpilniejsze pytanie.

– Kim jesteś?

Uśmiecha się, ale to znów ten okrutny uśmieszek. Ten, przez który wygląda jak zabójca.

– Lepiej byłoby zapytać czym.

– Och, to już wiem.

– Powiedz, proszę. – Uśmieszek staje się szyderczy.

– Jesteś człowiekiem, który zrobi wszystko, co uzna za konieczne, by osiągnąć to, na czym mu zależy. Wszystko, nawet rzeczy, których nie chce robić. Włącznie z zadawaniem przemocy. Włącznie z mordowaniem.

– Ach, a zatem potwór z sumieniem?

– Nie, po prostu potwór. Gdybyś miał sumienie, to świadomie nie robiłbyś złych rzeczy. A ty wyrządzasz zło.

Patrzy na mnie przez zmrużone powieki.

– Na świecie jest dość bohaterów. Idealistów z piękną moralnością, ale słabym żołądkiem, z ustami pełnymi frazesów, choć bezzębnymi. Nawet podczas najszlachetniejszych wojen trzeba płacić krwią. Tak naprawdę świat potrzebuje właśnie potworów, które będą chciały załatwić brudną robotę, żeby inni mogli bezpiecznie spać w nocy.

– Więc to sobie wmawiasz, żeby zasnąć?

– Pozwól, że zapytam tak: gdybyś miała zabić jednego człowieka i dzięki temu ocalić miliony, zrobiłabyś to?

– Nie mnie o tym decydować.

– Hipotetycznie – rzuca niecierpliwie, kręcąc głową.

– Hipotetycznie czy nie, to Bóg decyduje, kto będzie żył, a kto umrze. Nie ja.

Killian prychnął goryczko.

– Jeżeli Bóg istnieje, to znudził się nami dawno temu. Zajął się innymi projektami. Nie zwraca już na nas uwagi.

Słyszałam już ten argument i, jak zawsze, nie kupuję go.

To, że nie rozumiemy, jak coś działa, nie znaczy, że to coś nie działa.

– Wiem, że łatwiej być cynikiem – odpowiadam, patrząc mu w oczy. – Wiem, że świat jest pełen cierpienia, że ludzie okrutnie krzywdzą się nawzajem i często czujemy się porzuceni. Ale wcale nie jesteśmy sami. On zawsze czeka, czeka, byśmy się ku niemu zwrócili.

Wyczuwam, że ten temat coraz bardziej go irytuje.

– A dlaczego mielibyśmy chcieć się ku niemu zwracać? – pyta. – Ten twój Bóg to małostkowy dyktator, który nie zasługuje na naszą cześć. Czytałaś w ogóle Biblię? To jeden wielki horror. Bóg ma świra na punkcie ludobójstwa. Marnotrawisz na niego swoją wiarę.

Patrzę na niego zaskoczona, że ma mocną opinię na ten temat i że ktoś jego pokroju w ogóle zna choć przelotnie Dobrą Nowinę.

– Dlaczego twój Bóg miałby pozwolić istnieć takiemu Hitlerowi? – kontynuuję z naciskiem. –

Dlaczego przyzwalałby na gwałcenie i niewolenie małych dzieci? Dlaczego pozwalałby na tyle cierpienia?

– Dlatego, że wszyscy dostaliśmy wolną wolę. Nie zostaliśmy stworzeni na niewolników. Sami wybieramy, jak będziemy żyli i gdy stawiamy na zło... on nam na to pozwala.

– To nie ma sensu – stwierdza bez emocji.

– Miłość również, a jednak istnieje. Jest prawdziwa, nawet jeśli w nią nie wierzysz, podobnie jak w Boga. – Wypuszczam powietrze z płuc i odstawiam kubek na nocną szafkę. – Natomiast ja... jestem hipokrytką.

Czuję, że jego zainteresowanie się wyostrza.

– Jak to? – pyta.

– Powiedziałam, że to Bóg decyduje o życiu lub śmierci, ale...

– Ale co?

– Ale zabiłam dwóch ludzi – wyznaję, podnosząc na niego spojrzenie.

Choć próbuje tego nie okazać, widzę, że jest wstrząśnięty. Widzę też, że jest zaintrygowany, ale czeka, bym sama kontynuowała, nie chce mnie popędzać.

– To byli ludzie od Dmitrija. Wyszadzi samochód, którym podróżowałam i próbowali mnie uprowadzić. – Zawieszam głos. – Ciesz się, że nie mam broni.

– Nie zastrzeliłabyś mnie – mówi od razu.

– Tak, ale o to właśnie chodzi... – podejmuję słabym głosem. – Dowiedziałam się tego o sobie. Wcześniej bym nie uwierzyła. Gdy przychodzi co do czego, jestem w stanie odebrać życie.

– Tylko żeby się bronić. Samoobrona to zupełnie coś innego, to nie to samo, co ja zrobiłem Raphaelowi. Nie jesteś morderczynią.

– Zdaję sobie sprawę, że masz bogate doświadczenie w tym względzie, więc nie chcę się z tobą sprzeczać, ale technicznie rzecz biorąc każdy, kto popełni mord, jest mordercą.

W jego minie mieszają się rozbawienie moim sarkastycznym tonem i szczerze zaciekawienie treścią moich słów.

– Wróćmy do tego, co powiedziałaś przed chwilą. Do porywaczy od Dmitrija.

– I co z nimi?

– Dlaczego chcieli cię porwać? Też chcieli cię na coś wymienić? – pyta zainteresowany.

– Nie, Dmitrij im kazał.

Marszczy brwi.

Wzdycham ciężko, jestem naprawdę wyczerpana.

– O wiele łatwiej byłoby to wyjaśnić, gdybyś najpierw opowiedział mi swoją wersję tej całej historii. Czego chcesz od Dmitrija, jak się dostałeś na ten jacht, jaki macie układ z Raphaelem... – Mdlności wracają. – Mieliście...

– Im mniej wiesz, tym lepiej – odpowiada bez namysłu.

Po zastanowieniu muszę przyznać, że ma rację. Dmitrij z całą pewnością będzie chciał poznać każde zdanie, które padło na tym jachcie, a dysponuje strasznymi środkami wyciągania z ludzi informacji. Jeżeli naprawdę nie będę nic wiedziała, to może uwierzy mi już po złamaniu kilku kości.

Więc sama zaczynam gadać.

Opowiadam Killianowi, jak poznałam Dimitrija, gdy miałam dwadzieścia lat, że zobaczył mnie podczas pokazu *Ognistego ptaka* i po spektaklu przyszedł zapoznać się ze mną za kulisami. Jak uprzejmy i wielkoduszny początkowo się wydawał, jak pełen ogłady, jak się do mnie zalecał, że nawet kupił kwiaty mojej matce. Przyznaję Killianowi z zażenowaniem, że oczarowało mnie jego bogactwo, bo sama pochodziłam z biedy, i jak łatwo uwiodły mnie jego urok, czar i chłopięca buźka.

Opowiadam, jak po kilku randkach chciał ze mną spać i odmówiłam, bo zamierzałam zachować dziewictwo do ślubu. Opowiadam, jak go to rozwścieczyło. Jak mnie pobił.

Jak straciłam przytomność. Jak obudziłam się, gdy akurat wykorzystywał moje ciało.

Jak od tamtej pory byłam jego własnością pozbawioną własnej woli, głosu, prawa podejmowania decyzji. Jak przeniósł mnie i matkę do swojej posiadłości i jak zrobił ze mnie zakładniczkę, grożąc, że ją zabije. Jak trzymał mnie pod kluczem, stale inwigilował, jak gniótł mnie swoim okrutnym kciukiem.

Jak z każdym dniem coraz bardziej się nienawidziłam.

Opowiadam, jak po siedmiu latach wspólnych cierpień matka uległa w końcu przewlekłej chorobie. Opowiadam, jak uciekłam.

Jak poznałam Naza.

Jak pierwszy raz w życiu się zakochałam.

Jak on całkowicie odwzajemnił tę miłość.

Opowiadam Killianowi o wszystkich dobrych i złych chwilach, które doprowadziły mnie do tego momentu, w którym siedzę na krawędzi łóżka, naprzeciwko niego. Przystaję mówić dopiero gdy coś wilgotnego i gorącego kapie mi na nadgarstek i zauważam, że płaczę.

– I pomimo tego wszystkiego chciałaś dobrowolnie wrócić do Dmitrija – mówi Killian głosem pełnym napięcia, ale dopiero po dłuższej chwili milczenia.

Mój wydech jest jak podmuch wiatru, który unosi ze mnie resztki energii.

– Już mówiłam. Jeśli nie wrócę, Naz umrze. Poza tym... – Udaje mi się wymusić ironiczny śmiech –... wracając do mojej hipokryzji. Zamierzam odnaleźć i zabić Dmitrija.

Kajuta zaczyna delikatnie, leniwie wirować, cały świat się przechyla i buja. Mam mdłości, nie mam za to nadziei. I jestem do cna wycieńczona.

– Więc chyba jednak jesteśmy tacy sami – oznajmiam z trudem.

– Jak to?

– Wiem, że nie można odbierać życia, a jednak zamierzam to zrobić.

Nie jestem już w stanie siedzieć prosto. Przechylam się w bok, ale Killian mnie łapie. Delikatnie kładzie mnie na materac, odgarnia kosmyk włosów z mojego czoła, ściąga z moich stóp za duże mokasyny.

– Nie jesteśmy tacy sami, *bhrèagha*. Ty nadal masz duszę – mruczy, gdy zanurzam się w nieświadomość.

ROZDZIAŁ 11

Naz

Układam tekst SMS-a do Raphaela, załączam zdjęcie żony i naciskam „wyślij”.

– To może trochę potrwać – stwierdza Connor, rozpięty wygodnie na fotelu kierowcy. – Będzie się musiał zastanowić, jak to rozegrać...

Komórka dzwoni. Wymieniamy zaskoczone spojrzenia.

– Szybko poszło.

Wciskam „odbierz” i przykładam komórkę do ucha. Nic nie mówię, tylko słucham, oceniamy znaczenie tej ciszy i czekam, aż to on się odezwie.

Po chwili rozlega się głęboki, ostry męski głos.

– Zapewne jesteś Naz.

Jestem tak zszokowany, że telefon prawie wypada mi z dłoni. Do wysłania wiadomości wykorzystałem anonimową, niemożliwą do wyśledzenia jednorazówkę. Nie podpisałem się pod wiadomością, więc skąd, do cholery, wie, kim jestem?

– Raphael?

– Raphael nie żyje. Wbiłem mu nóż w mostek i wyrzuciłem go za burtę.

Mówi z irlandzkim akcentem, spodziewałem się francuskiego. Wnioskując po tym jak i co mówi – a brzmi szczerze – to chyba nie są jakieś sztuczki Raphaela.

– Kto mówi?

– Killian.

Killian? Co za, kurwa, Killian? Moje zmysły tak bardzo się wyostają, że mam wrażenie, że słyszę wibrujące wokół mnie atomy. I wtedy doznaję olśnienia.

To pewnie ten wielki skurwiel, który położył łapska na mojej Evie.

No, chyba że ktoś z załogi, ale nie sądzę. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co mówi. Obsługa jachtów rzadko uznaje, że warto zabić pracodawcę i wyrzucić jego zwłoki do morza.

– Masz coś, co należy do mnie – mówię, jakbym szurał papierem ściernym, z czystą nienawiścią w głosie.

– Wątpię, by Eva ucieszyła się, że nazywasz ją „czymś” – odpowiada po krótkiej pauzie, z dezaprobatą.

Wybałuszam oczy, rozdymam nozdrza. Wystarczyłby mi już sam sposób, w jaki wypowiedział jej imię, ale implikacje faktu, że wie, jak by się poczuła... jakby ktoś wbił mi w gardło rozżarzony miecz.

– Co jej zrobiłeś?! – rzucam ostro.

– Jest w dobrych rękach – odpowiada ze spokojem kontrastującym z moją zaciekłością. – Nie musisz się niepokoić.

Jaja sobie, kurwa, robi?!

Siedzący obok mnie Connor marszczy brwi i się napina, ale nie zwracam na niego uwagi, bo żąda mordy i rzezi sieje pozołę w moim układzie nerwowym.

– Czego chcesz? O co w tym wszystkim chodzi? Dokąd ją zabierasz? Przysięgam na grób matki, że jeśli ją skrzywdzisz...

– Wiesz, że to piękne?

Jego ton się zmienił. Stał się miększy, refleksyjny. Ale nie mam pojęcia, o czym on gada.

– Co? Co jest piękne?

– Jej miłość do ciebie.

Mam wrażenie, jakby King Kong walnął mnie w pierś. Eva powiedziała temu człowiekowi, że mnie kocha? Człowiekowi, który złapał ją za gardło i włókł tak przez pokład? Przecież nawet mnie tego nie powiedziała.

Boże jedyny, czy wydusił to z niej torturami?

– Mam nadzieję, że na to zasługujesz – stwierdza, zanim zdążyłem cokolwiek wydusić. – Szczerze powiedziawszy brzmisz trochę niestabilnie. Na pewno jesteś dla niej dość dobry? Chyba będziesz musiał mnie przekonać. Po wszystkim co przeszła zasługuje tylko na najlepsze. – Ścisza głos. – Chryste, jest wyjątkowa. Te oczy. To ciało. Ten ogień. Nie dziwne, że i ty, i Dmitrij tak rozpaczliwie chcecie ją odzyskać.

Oddycham ciężko, mam wrażenie, że zaraz wybuchnie mi serce.

– Daj ją do telefonu – mówię.

– Śpi.

– Posłuchaj, sukinsynu... – warczę.

– Naz. Co to w ogóle za imię? Jakiś skrót?

Connor pokazuje, żebym podał mu telefon. Chyba wyczuwa, że ta rozmowa kompletnie się wykoleiła. Zbynam go machnięciem ręki, jestem sfrustrowany, muszę coś rozwalić.

– Tak, od „Jeśli ją skrzywdzisz, zabiję cię na wszystkie sposoby, na jakie można zabić człowieka”. Od „wytropię cię w każdym zakamarku tej planety i sprawię, że ty i wszyscy, o których się w życiu otarłeś, zapłacą po tysiackroć za każdy ból, jaki zadałeś mojej ukochanej”. Od „NIE PRZESTANĘ, DOPÓKI JEJ NIE ODZYSKAM!”.

Po krótkiej pauzie rozlega się coś, co brzmi jak stęknienie zadowolenia.

– No dobrze. Chyba masz nieco rozgorączkowane myśli, ale brzmisz szczerze. Więc teraz odpowiem na twoje pytania. Chcę czegoś, co Eva pomoże mi odzyskać. Chodzi w tym wszystkim o przyszłość wielu narodów. Dokąd ją zabieram... tego nie mogę ci powiedzieć, bo jeśli to zrobię, to prawdopodobnie będziesz tam, zanim dostanę od Dmitrija to, czego chcę i wszystkie moje pieczołowicie układane plany legną w gruzach.

Wydaję z siebie ryk rozdrażnienia, czym wzbudzam jego rehot.

– Często to słyszę. Niedawno Eva wydała z siebie dokładnie ten sam jazgot. Nie spodobało jej się, jak potraktowałem Raphaela. – Jego głos robi się wręcz rzewny. – Ma tego rodzaju wrażliwość, prawda? Przejmuje się dobrem innych. Do tego stopnia, że jest gotowa się dla nich poświęcać. Naprawdę Naz, jest niesamowita. Nigdy nie znałem nikogo podobnego. Ona jest... – Gdy zawiesza głos, słyszę, jak głośno oddycham – ...ujmująca, tak, to chyba odpowiednie słowo. A może fascynująca. Gdy już na nią spojrzysz, nie sposób odwrócić wzrok. – Znowu rehocze. – No ale to już wiesz. Brzmisz, jakbyś nabawił się obsesji.

– Killian...

– Jak skończymy rozmawiać, zniszczę ten telefon, bo na pewno go namierzasz. Ale wiedz, że mówiłem prawdę, jest przy mnie bezpieczna. I postaram się załatwić moje sprawy z Dmitrijem jak najszybciej.

Waha się, a gdy odzywa się ponownie, w jego głosie słychać nowy ton, który podnosi wszystkie włoski na moim ciele.

– Bo im więcej czasu spędzam z twoją kobietą, tym mniej chcę ją oddać.

Połączenie się urywa.

Przez chwilę siedzę zmrożony, wsłuchuję się w martwą ciszę, mój system nerwowy dezaktywuje wszystkie obwody, aż ciało zdaje się lodowate i nieruchome, niczym góra lodowa. Nie potrafię jasno myśleć. Nie potrafię sformułować słowa. W mojej świadomości istnieje tylko pierwotna, brutalna potrzeba ujrzenia twarzy Ewy.

Muszę się do niej dostać.

Muszę się do niej dostać *natychmiast*.

– Nasir, co się stało?

Obracam głowę i spoglądam na Connora. Jego czarne oczy błyszczą w półmrocznym wnętrzu mercedesa, odbijają wlewające się przez przednią szybę światło księżyca.

– Masz jakieś kontakty w kanadyjskim lotnictwie? – pytam niepokojąco spokojnie, pusto.

– No, mam masę kontaktów i mogę załatwić prawie wszystko na kanadyjskiej ziemi, a co?

– Będziemy potrzebowali transportowca dalekiego zasięgu i sprzętu spadochroniarskiego. Zanim

dotrę do najbliższej bazy lotnictwa i się przygotuję, *Silver Shadow* powinien wejść w zasięg kolejnego satelity, więc będziemy mogli określić jego dokładne położenie. Skoczę na pokład.

– Kto to jest ten Killian? Co ci powiedział?

– Powiedział tyle, że wiem, że jeśli nie odzyskamy Evy szybko, to nie odzyskamy jej nigdy.

Patrzę przez przednią szybę, ale nic nie widzę. Wypełniają mnie wszystkie odcienie czerni.

Otwieram drzwi po stronie kierowcy.

– Wsiadaj, ja prowadzę.

ROZDZIAŁ 12

Eva

Śnię. Mam gorączkowe, deliryczne sny, w których biegam opustoszałymi, płonącymi ulicami, a podeszwy moich stóp pokrywają pęcherze od poparzeń. Wokół mnie szaleją ogniowe burze, płomienie są tak gorące, że wywołują porywiste wichry.

Biegnę najszybciej, jak potrafię, moje ubranie dymi, płuca płoną, gorący popiół opada na moją skórę jak rozżarzony deszcz. Ale nie mam dokąd uciec. Nie ma dla mnie kryjówki i nigdy nie będzie, bo to piekło.

Gdzieś za plecami słyszę niski pomruk rozmowy, ale nie odwracam się, by spojrzeć. Po prostu biegnę, choć moja skóra zaczyna już czernieć i odpadać od ciała.

– Od kiedy jest w takim stanie? – pyta ktoś służbowym tonem.

– Odkąd zadzwoniłem. Pogarsza się jej – wyznaje Killian.

Zimny dotyk na nadgarstku. Nacisk kciuka, wyczuwa moje tętno. Elektroniczne piknięcie przy uchu.

– No i? – dopytuje po chwili mój porywacz.

– Ma słaby, wysoki puls i niebezpiecznie podniesioną temperaturę. Jakies wymioty albo biegunka?

– Pierwsze tak, drugie nie.

– Zawroty głowy, omdlenia?

– Nie wiem.

– Alergie? – pyta ten pierwszy głos.

– Nie wiem.

– Cóż, za tę wysypkę odpowiada coś paskudnego.

– Co?

– Cokolwiek, od reakcji alergicznej przez infekcję po ciężką grypę. Może być sto innych powodów. Nie da się stwierdzić bez badań. – Wzdycha nieznajomy, a po chwili kontynuuje: – Zostawię ci cały arsenał antybiotyków i ogólne instrukcje odnośnie do opieki...

– Nie, ona potrzebuje porządnej opieki medycznej.

– Chyba nie sugerujesz...

– Sugeruję, że wsadzimy ją do śmigłowca i przetransportujemy do szpitala – oznajmia stanowczo

Killian.

– Do szpitala?! Możesz zniszczyć całą operację!

– Jeżeli się nie zamkniesz i nie zejdziesz mi z drogi, zniszczę kształt twojej czaszki.

Przenoszą mnie. Unosi mnie para grubych rąk, która tuli mnie do piersi; ktoś delikatnie mnie głaszcze, gdy kwilę. Chyba już nie śnię, bo pożary zniknęły i dostaję lodowaty cios słonawym wiatrem.

– Spokojnie, *bhrèagha*, mam cię.

Kładą mnie na czymś chłodnym i twardym. Ktoś delikatnie układa moje kończyny. Przykrywają mnie ciężkim kocem. Nie mam siły, by otworzyć oczy, nie mam siły się martwić, co się ze mną dzieje. Oprócz jednego...

– Naz... – szepczę spieczonymi wargami.

Ciepła chropowata dłoń obejmuje moją kostkę i delikatnie ściska.

– Zająłem się tym. Dmitrij już wie, że jesteś ze mną. – Następnie głos zwraca się do kogoś innego. – Ruszać!

Wywracająca flaki nieważkość i ogłuszający ryk silników sprawiają, że krzywię się, kulę i całą drzę. Boli mnie wszystko, zwłaszcza serce, mam wrażenie, że pęka. Każdemu uderzeniu towarzyszy przesywający ból. A potem świat ciemnieje.

Ostatnie, co pamiętam, to kojący dotyk tej ciepłej dłoni.

Godzinę, dzień albo sto lat później słyszę pomruk ludzkich głosów.

– To zapalenie wsierdzia.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Infekcja wewnętrznej wyściółki komór serca i zastawek, która rozprzestrzenia się przez układ krwionośny. Zazwyczaj spotykamy ją tylko u pacjentów z przewlekłymi problemami sercowymi albo po uszkodzeniach mięśnia sercowego – odpowiada głos, który wcześniej słyszałam.

– Jest źle?

– Nie jest dobrze. Nieliczone szybko zapalenie może skutkować zniszczeniem zastawek i zagrażającymi życiu komplikacjami.

– Jak się je leczy?

– Na razie antybiotykami – wyjaśnia najprawdopodobniej medyk. – Zobaczymy, jak zareaguje i jaka jest skala szkód, wtedy zdecydujemy czy niezbędna jest dalsza interwencja.

– Na przykład jaka?

– Operacja. Musimy się też liczyć z komplikacjami w postaci wylewu, zawału, zatoru...

– Kiedy będzie ją można stąd zabrać?

– Zabrać? Na razie nie ma o tym mowy! Musi leżeć w szpitalu kilka tygodni, przynajmniej!

– Masz dwanaście godzin. Jeżeli w tym czasie jej nie ustabilizujesz i nie wyprawisz w prostą drogę do idealnego zdrowia, rozwalę ci łeb.

– Nie gróż mi. Trzeba by cudu, żeby ta kobieta mogła stąd wyjść za dwanaście godzin.

– To lepiej zacznij się modlić, doktoru – mówi mroczny głos, w którym rozpoznaję głos Killiana. – Bo jeżeli stąd nie wyjdzie, to nawet cud cię nie uratuje.

ROZDZIAŁ 13

Naz

Czekamy w lodowato zimnym hangarze kanadyjskiego lotnictwa w Halifax, żeby obsługa zatankowała C-130, gdy Connor odbiera telefon od Tabby.

– Księżniczko... – wita ją. Przez chwilę słucha. Nie wiem, co usłyszał, ale odpowiada: – Zaczekaj. Dam cię na głośnik. – Wciska guzik. – Powtórz, żeby Nasir też usłyszał.

– Cześć, Nasir. – Jej głos brzmi w głośniku cichutko, ale wyraźnie.

– Cześć, Tabby. Co się dzieje?

– Dzieje się to, że *Silver Shadow* nadał komunikat do straży wybrzeża na kanale szesnastym.

Kanał szesnasty to pracująca w paśmie VHF częstotliwość radiowa wybrana na międzynarodową częstotliwość ratunkową. Jednostki morskie korzystają z niej w przypadku zagrożenia, gdy pojawia się realne zagrożenie dla zdrowia lub bezpieczeństwa załóg.

Na przykład gdy statek tonie i wszystkim na pokładzie grozi śmierć.

– Ja pierdołę.

– Dobrze powiedziane. Dobra wiadomość jest taka, że mamy dzięki temu ich dokładne koordynaty – wyznaje.

– A zła?

Krótką pauza.

– Ich koordynaty nie mają już znaczenia, ponieważ według osoby, która nadała komunikat, zarządzający obecnie jachtem pirat...

– Pirat!

– ...opuścił już pokład.

– Nasz tajemniczy Killian... – mówi z namysłem Connor.

– Gdzie się podział?! – rzucam niecierpliwie.

– Nie uwierzysz, ale wygląda na to, że podjęła go fregata amerykańskiej marynarki.

– Co takiego?! Marynarka wojenna?! A co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

– Jeszcze nie wiem, ale obawiam się, że to nie koniec, Naz. – Tabby bierze głęboki wdech. – Zabił Bergé'a oraz całą załogę z wyjątkiem dziewczyny, która wezwała pomoc. Nie opuścił pokładu sam. Zabrał ze sobą kobietę. Była nieprzytomna.

Eva. Nie mogę złapać tchu.

– Natomiast mam coś, z czym możemy popracować.

– Mów.

– Ta dziewczyna powiedziała, że usłyszała, jak pirat mówił przez telefon coś o Angra do Heroismo. Uważa, że jacht mógł zmierzać właśnie tam.

– A gdzie to jest, do cholery? – burczy Connor.

– Na Azorach. – Przypominam sobie wycieczkę do Portugalii sprzed lat. – Jeżeli pamięć mnie nie myli to stolica Terceiry, jednej z prastarych wysepek wulkanicznych, tworzących ten archipelag.

Patrzmy na siebie z Connorem. Ciszę przerywa Tabby.

– Włamię się wszędzie, gdzie zdołam, żeby sprawdzić, czy ta fregata pojawi się w okolicy Azorów. Ale podróż przez Atlantyk z ostatniej znanej nam pozycji *Silver Shadow* zajęłaby im kilka dni.

– To dobrze – mówię, a w moim ciele zaczyna buzować niespokojna energia. – Bo będziemy już tam na nich czekali.

ROZDZIAŁ 14

Eva

Znowu jestem w jego ramionach. Nie wiem, ile minęło czasu, może zaledwie kilka sekund. Jestem spragniona, zamroczona i słaba jak źrebię, ale mdłości zniknęły, a gorączka, która jeszcze niedawno była niczym pożar lasu, wypaliła się w kilka dogasających, rozżarzonych węgli.

– Hmm. Widzę, że wróciłaś z martwych. Może ten twój Bóg na coś się jednak przydaje.

Zmuszam się, by unieść powieki, choć mam wrażenie, że są z ołowiu. Widzę ostrą, pokrytą krótkim zarostem szczękę i grube, męskie gardło, na które zza białego kołnierzyka wypęczają tatuaże.

– Killian... – szepczę zdeorientowana.

– Do usług.

Za jego twarzą rozciąga się nieskazitelnie błękitne niebo ujęte w ramy z palmowych liści. Pod tym niebem widzę wzgórze obrośnięte białymi domkami z dachami z czerwonej dachówki i uroczą, małą przystań, w której roi się od łódek. Poruszamy się ścieżką, wzdłuż której rosną drzewa; jest lśniące złotem, wilgotne popołudnie. Nie mam pojęcia, co się dzieje, ani gdzie jestem.

– Naz...

– Jezus Maria, kobieto, potrafisz myśleć o czymś innym? Mówiłem ci, że już się tym zająłem. Cicho bądź, bo się wkurzę i zrzucę cię z klifu – grzmi zirytowany.

Zamykam oczy i pozwalam głowie opaść na jego szeroki tors.

– Wcale nie zrzucisz mnie z klifu – bełkoczę z trudem.

Odpowiada mi burknięcie.

Niedługo później docieramy do stojącego w odosobnieniu, na samym końcu drogi, bungalowu pokrytego białym stukiem. Killian wstukuje kod na klawiaturze ukrytej w ścianie za wielką monstrą i wchodzimy do środka.

– Czy to kryjówka?

Posyła mi zaciekawione spojrzenie, po czym unosi brew.

– A co ty wiesz o kryjówkach?

– Więcej, niż sądzisz. Jestem pełna niespodzianek.

– Wiem – mamrocze, ale nie zabrzmiało to jak komplement.

Zamyka kopniakiem drzwi i zanosi mnie na miękką niczym chmurka sofę. Poprawia mi poduszkę pod głową, wsuwa koc pod stopy. Następnie wskazuje na mnie palcem i rozkazuje:

– Zostań tu.

Podnoszę na niego wzrok, czuję się, jakbym chciała zobaczyć dach wieżowca. A później z niego skoczyć.

– No i masz, a liczyłam na krótką przebieżkę.

Spogląda na mnie krytycznie i bierze się pod boki.

– Uważaj z tą niewyparzoną bużką, *bhrèagha*.

Uśmiecham się sennie.

– Bo co, wbijesz Raphaelowi nóż w pierś? Ups, za późno.

Burczy coś pod nosem i przeczesuje włosy palcami.

– Odbija ci jeszcze od środków przeciwbólowych – burczy, patrząc na mnie groźnie.

– Co znaczy to słowo, którym się do mnie zwracasz? To gaelickie?

– Wiedźma – odpowiada kwaśno. – Pyskata, męcząca, upierdliwa wiedźma.

– Okej. Mogłabym prosić o trochę wody?

Przygląda mi się przez moment, po czym kręci głową, znowu coś bełkocze pod nosem i wychodzi do kuchni. Wraca z pełną szklanką i klęka przy sofie, wsuwając mi dłoń pod głowę.

– Potrafię sama – utyskuję, rozdrażniona, że traktuje mnie jak dziecko.

– Och, pewnie, no to dawaj.

Wyciąga rękę i moja głowa opada z powrotem na poduszkę. Kilka razy próbuję ją unieść dostatecznie wysoko, żeby się napić, ale z jakiegoś powodu mój cholerny czerep waży pięćdziesiąt ton.

- Chyba jednak nie potrafię sama – przyznaję potulnie.
- Serio?
- Ale jeśli zostawisz szklankę na stoliku, to za jakiś czas znowu spróbuję.
- Ten twój Naz musi mieć świętą cierpliwość – wzdycha znużonym głosem.

To zapewne przez dziwną mieszankę choroby, traumy i leków, którymi mnie nafaszerowali, w każdym razie, gdy Killian wspomina o Nazie, chce mi się beczeć.

- Co się stało? – pyta ostro, zauważywszy moją minę.
- Tak bardzo za nim tęsknię. Boże, czuję się jak śmierć. Uroczą ta kryjówka. Uratowałeś mi życie?

Na ułamek sekundy przymyka oczy, kręci głową, a na koniec zaciska wargi. Chyba próbuje się nie śmiać. Wstaje i wraca do kuchni. Grzebie w szafkach, wyciąga coś z lodówki, a potem wraca z czymś... jakby niemowlęcą buteleczką z jasnożółtym płynem, rolką taśmy i sporym, zielonym pakunkiem. Rozrywa go zębami, okazuje się, że w środku są strzykawki i kateter.

Bywałam w szpitalach dość często, żeby od razu rozpoznać zestaw do kroplówki.

Obserwuję z zaciekawieniem, jak wszystko przygotowuje. Na koniec zdejmuje zabezpieczenie z igły i łapie mnie za rękę.

– Musisz najpierw obmyć. – Gdy zatrzymuje się i zerka na mnie pytająco, dodaję: – Alkoholem dezynfekującym, żeby bakterie ze skóry nie dostały się do igły.

– Wieloletnie badania dowiodły, że dezynfekowanie skóry przed zastrzykiem nie przynosi żadnych wymiernych korzyści – odpowiada z wyższością inteligenta, który musi użerać się z patentowanym ćwierćmózgiem.

– To nie ma sensu – stwierdzam, ściągając brwi.

– Podobnie jak twoja wiara w Boga, a jednak.

Już za pierwszym podejściem wbija igłę w żyłę na mojej ręce, nie powodując nawet najmniejszego bólu. Następnie przykleja ją taśmą do skóry, odwija krótszy koniec tuby katetera i wbija do niej jedną ze strzykawek.

– Roztwór solny, żeby pozbyć się pęcherzyków powietrza?

– Cyjanek, żeby zatrzymać akcję serca. Cicho bądź.

Usuwa osłonę infuzera i wkręca go w przedłużenie tuby katetera. Następnie otwiera zatrzask infuzera i żółty płyn zaczyna się sączyć.

– Co? – rzuca z irytacją, gdy wzdycham.

– Nie umyłeś rąk przed zabiegiem.

– Na miłość boską, kobieto.

– Jak na kogoś, kto w niego nie wierzy, często wspominasz o Bogu.

– Zakleję ci usta taśmą, jeśli się nie przymkniesz.

– Mówię tylko, że zadałeś sobie tyle trudu, żeby mnie porwać, ocalić mi życie i w ogóle, a jednak przed zabiegiem nie umyłeś rąk ani nie zdezynfekowałeś mi skóry. Mogę umrzeć z powodu jakiejś przypadkowej, błahej infekcji bakteryjnej. – Krzywię się.

– Obiecanki-cacanki – burczy, a gdy przechodzą mnie dreszcze i zachłystuję się powietrzem, krzyczy: – I co znowu?!

– Jakbyś wstrzyknął mi w żyły lodowatą wodę! Nie zaczekałeś, aż leki nabiorą temperatury pokojowej!

Nachyla się nisko, opiera dłoń na poduszce pod moją głową i cedzi mi prosto w twarz:

– Jeżeli się nie zamkniesz, to sama zaraz nabierzesz temperatury pokojowej.

Zaciskam usta.

– A czy mogłabym ci podziękować? No wiesz, za ocalenie życia?

Stęka ciężko, prostuje się, odwraca i wraca do kuchni.

– Wiem, że uratowałeś mnie tylko dlatego, że nie dostałeś jeszcze od Dmitrija tego czegoś, na czym ci zależy, ale mimo wszystko. Mógłby się nie pokapować, że nie żyję. Może i tak by ci się udało.

Obrócony do mnie plecami, znowu przetrząsa szafki, bez przerwy mamrocząc pod nosem coś o pyskanych babach, głupich infekcjach i jeszcze, że powinien ponownie zadzwonić do Naza

i powiedzieć mu, żeby jak najszybciej po mnie przyleciał, bo postrada rozum.

– Chwileczkę... co powiedziałaś?

Killian zamiera i zerka na mnie przez ramię. Moje serce bije jak szalone. Z najwyższym trudem podnoszę się do pozycji siedzącej.

– O Nazie. – Otwieram szeroko oczy. – Rozmawiałeś z Nazem?!

– Aha, teraz to masz siłę, żeby podnieść głowę. Założę się, że jeśli wypowiem jego imię trzy razy, zaczniesz lewitować.

– Kiedy z nim rozmawiałeś? Co ci powiedział? Wie, że wszystko u mnie okej? Jak brzmiał... martwi się? Dobrze się czuje? Boże, Killian, błagam, zacznij mówić, bo zaraz wybuchnie mi serce i padnę trupem!

Spogląda na mnie z lekkim niesmakiem.

– Więc to miłość robi z człowiekiem? Zamienia cię w paplającego przygłupa z zamiłowaniem do melodramatu i całkowitym brakiem instynktu samozachowawczego? Dziękuję bardzo, wolę jednak godność. Ta cała miłość to jeden wielki nonsens.

– Killian! Proszę!

Opiera się o blat i krzyżuje ramiona na piersi.

– Ano, rozmawiałem z nim.

Nie jestem w stanie dłużej się podpierać, więc padam płasko na poduszkę i z trudem oddycham, bo przygniata mnie moc emocji.

– Mów, co powiedział – dyszę drżąc. – Opowiedz mi wszystko.

– Nieśmiało przypomnę, że nie ty tu dowodzisz.

Patrzę na niego błagalnie.

– Tylko powiedz, czy nic mu nie jest, proszę. Proszę cię... jak brzmiał?

Killian robi kwaśną minę.

– Szczerze mówiąc, brzmiał jak zaszary wariat. Co drugie słowo groził mi śmiercią.

Zalewa mnie ulga, a potem poczucie winy, równie dojmujące jak niedawna gorączka. Gdy wyobrażam sobie, jak Naz musi się czuć, zaciskam powieki i kwilę. Ależ musi być wściekły. Rozdygotany, zdezorientowany.

– Eva, wszystko z nim dobrze – dodaje łagodniejszym tonem Killian.

– Musi się kurewsko martwić.

– Pierwszy raz słyszę, jak przeklinasz – stwierdza po krótkiej pauzie. – Porwałem cię, pobiliśmy, wielokrotnie groziłem ci śmiercią, zadźgałem faceta metr od ciebie, potem wyrzuciłem go do morza, ale ty teraz jesteś dostatecznie zdenerwowana, żeby zakląć. Bo Naz może się martwić. Niewiarygodne.

Otwieram oczy i patrzę na Killiana.

– Brzmiał na złego? To znaczy, złego na mnie? Wściekł się, że odeszłam?

– Jesteś kompletnie popieprzona – stwierdza, kręcąc głową.

– Proszę, powiedz. Muszę wiedzieć.

Gdy przechyliła głowę na bok i mruży oczy, zaczynam się niepokoić, a gdy rzuca swobodnie: „ponegocjujemy?” i jego usta wykrzywia przebiegły uśmieszek, martwię się już nie na żarty.

– Ja... sama nie wiem. Co ponegocjujemy?

– Cóż, zasadniczo w toku negocjacji strony mówią, czego chcą, a potem ustalają warunki. Stąd słowo „negocjować”.

– Mam złe przeczucia.

Odbija się od kuchennego blatu, kroczy w moją stronę, a potem przysiadła na stoliku kawowym i wspiera łokcie na kolanach.

– Chcesz wiedzieć, co powiedział czy nie?

– Przestań ze mną pogrywać. Znasz odpowiedź. Czego chcesz?

Spogląda na moje usta. Bardzo wymownie.

Odruchowo kurczę się na sofie.

– Może być po twojemu – rzuca nonszalancko i wzrusza ramionami. – Mnie to całkowicie zwisa. Ale nie odchodzi i nie przestaje patrzeć na moje usta. Opanowuje mnie desperacja.

– Nie jestem w formie do całowania się z kimkolwiek.

– Nie mówiłem, że musimy całować się teraz.

Podciągam koc pod same oczy i patrzę na niego bez słowa.

– Co, spodobało ci się za pierwszym razem? Boisz się, że mogłoby ci się zachcieć więcej? – rzuca, po czym zaczyna rechotać.

Wbijam wzrok w sufit i proszę Boga, żeby dał mi cierpliwości, po czym zdecydowanym gestem zabieram koc z twarzy.

– Nie pochlebiaj sobie.

Killian wspiera podbródek na dwóchłączonych palcach i patrzy na mnie, jakby był moim psychiatrą. Z przesadną troską i zainteresowaniem.

– Ale podobało ci się.

– Absolutnie nie – wyznaję.

– Sutki ci stwardniały.

Czuję na policzkach ciepło rumieńców. Otwieram usta, zamykam je, odwracam wzrok, jestem zażenowana przebiegiem tej rozmowy.

– Wiem, bo nie miałaś stanika.

– Bo mi go nie dałeś – cedzę przez zęby.

– Bo chciałem sprawdzić, czy stwardnieją ci sutki, gdy będziemy się całowali.

– Ty... to zaplanowałaś?! – Patrzę na niego zszokowana.

Jego uśmiech potrafi być równocześnie uroczy, cwaniacki i szyderczy.

– Zaplanowałem wiele rozmaitych rzeczy, zwieraczku – mówi zbereźnym głosem.

Gniew zapala się we mnie jak bożonarodzeniowa choinka. Morduję go wzrokiem, szkoda, że nie mam siły, by wydrapać mu oczy.

– Nie jestem twoim zwieraczkiem. A jeżeli nawet stwardniały mi sutki, choć to nie jest prawda, to tylko dlatego, że gdy się całowaliśmy, cały czas myślałam o Nazie.

– Och, teraz jest na mnie wściekła – mówi prześmiewczo. – Chyba trafiłem w czuły punkt.

Gdy obracam głowę i zaciskam gniewnie usta, Killian rechocze.

– Czyli nie? Nie chcesz wiedzieć, co powiedział?

Nie zamierzam na niego patrzeć. Zamiast tego wbijam wzrok w ścianę, śledzę nim cienkie pęknięcie w tynku, które sięga aż po sufit. Mam nadzieję, że całe to cholerstwo się zawali i spadnie mu na łeb.

– A miał wiele do powiedzenia... – kusi zamyślnym tonem.

Zerkam na niego z ukosa, moje tętno bije gromkim rytmem desperacji. Muszę przygryźć wargę, bo inaczej zapytałabym: „na przykład co?!”.
Gnojek zaczyna analizować wygląd swoich paznokci. Czeka cierpliwie, jakby miał do dyspozycji wieczność, bo wie, *wie*, że w końcu pękne. Zna moje słabości i potrafi je wykorzystać.

Odchrząkuję.

– A może...

Nagle skupia na mnie całą uwagę, jego oczy płoną. Jakbym stała przy zaciemnionej ścianie i nagle oślepiło mnie światło reflektorów.

– A może co?

– Mmm... – Przełykam ślinę. – ...może... przytulas?

Krzywi się, jakbym zasugerowała, że wymażę go całego psią kupą.

– Długi przytulas? – proponuję.

Killian powoli kręci głową, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– *Quid pro quo*, Clarice. Ja daję ci to, czego ty chcesz, ty dajesz mi to, czego ja chcę. Inaczej nici z umowy.

– Nawiązanie do *Milczenia owiec*. Z ust Hannibala Lectera Juniora, bardzo fajnie.

– Umowa stoi?

– Nie mogę pójść na taki układ. Przecież to jak zdrada.

Jego brwi wystrzeliwiają na szczyt czoła.

– Wcale nie, to szantaż, a nie żadna zdrada. Tym bardziej jeśli, jak zapewniasz, nasz pocałunek ci się nie podobał. No i właśnie, nie zapominajmy, że raz już to zrobiłaś – przypomina, poruszając sugestywnie brwiami.

– Tylko dlatego, że chciałam uratować drugiemu człowiekowi życie.

Dostrzegam chwilę, w której wpada na nowy pomysł. Jego uśmiech staje się niebezpieczny, jego wzrok rozjaśnia iskra brutalności.

– Killian – mówię zaciekle. – Nie waż się mówić, że zabijesz Naza, jeśli cię nie pocałuję. Nie waż się!

– Bo co mi zrobisz?

– Jeszcze nie wiem, ale pożałujesz.

Przez dłuższy czas patrzy na mnie w milczeniu, po prostu przygląda się mojej twarzy, sam ma zamyśloną minę. A potem wypuszcza powietrze z płuc i wraz z tym wydechem ogniki w jego oczach gasną.

– Eva, w życiu za wszystko trzeba zapłacić. Oboje o tym wiemy. Im wyższa cena, tym cenniejsza nagroda. – Puszczam mi oczko. – Nauczyłem się już, że za jego życie jesteś skłonna poświęcić wszystko. Ty zapewne już wiesz, że dla mnie cel uswięca środki. Oboje robimy, co trzeba i... to czyni nas niebezpiecznymi. Brak granic oznacza brak zasad, a bez zasad jesteśmy w zasadzie zwierzętami. – Jego głos obniża się o oktawę. – A temu zwierzęciu na tyle zależy, żeby cię pocałować, że jest skłonne za to zabić zupełnie obcego sobie mężczyznę, który niczym mu nie zawinił. Więc tak, grożę, że go zabiję, czy ci się to podoba, czy nie.

Gapię się na niego tak wściekła, że mam ochotę wyć, ale i tak słaba, że mogę jedynie leżeć, i marzę, żeby eksplodowała mu głowa. Ale nie eksploduje, więc mówię:

– Jesteś podłą istotą ludzką.

– Czyli się zgadzasz?

Zamykam oczy, wykonuję pełen frustracji wydech.

– Jeżeli się zgodzę, będziesz podbijał stawkę. Tym razem pocałunek, następnym zażadasz czegoś gorszego. Nie mogę ufać, że dotrzymasz słowa.

Gdy czuję na dłoni delikatny dotyk, gwałtownie otwieram oczy. Killian sunie opuszką palca po mojej kości policzkowej i zjeżdża nim do warg. Spogląda na moje usta z niezwykłą czułością, i mówi:

– Możesz mi zaufać we wszystkim.

– Proszę cię, dość tego pieprzenia. Nie jestem taką idiotką, za jaką mnie bierzesz.

Muska kciukiem moją dolną wargę.

– Idiotką jesteś tylko w kwestii Naza, ale mówię prawdę. Możesz mi zaufać. – Przesuwa wzrok z moich ust na oczy. – Nie masz pojęcia, ile dla ciebie ryzykuję.

– Zawsze możesz mi powiedzieć – odpowiadam, moje serce delikatnie przyśpiesza.

– Życie milionów ludzi – mówi cicho po chwili.

Odkrywam z przerażeniem, że mu wierzę. Patrzymy sobie w oczy, bez słowa. W końcu zbieram się na odwagę, by zapytać:

– Wyjaśnij mi, co to znaczy.

Odsuwa się ode mnie, drapie po policzku i odpowiada:

– Nie mogę. A nawet gdybym mógł, i tak bym nie powiedział. Czas na mnie. – Zerka na mnie. – Ale nie zapomnę o naszej umowie, *bhrèàgha*. Jesteś mi dłużna pocałunek.

Wstaje i rusza do frontowych drzwi.

– Nie powiedziałam, że ponownie cię pocałuję! – krzyczę za nim.

Otwiera drzwi, przystaje i patrzy na mnie przez ramię.

– Ale nie powiedziałaś, że nie pocałujesz.

Uśmiecha się, wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Niedługo później, gdy odpływam w sen, Naz wyważa je z kopa i wpada do środka.

ROZDZIAŁ 15

Naz

Drzwi ustępują z głośnym trzaskiem, od którego aż drżą szyby w oknach. Wpadam do środka z uniesionym M16, Connor jest pół metra za mną. Omiatam lufą karabinu przestrzeń w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu, adrenalina rozpala moje żyły do białości.

Na widok drobnej postaci, leżącej pod kocem na sofie, zamieram.

Connor mija mnie płynnie i bezszelestnie, wchodzi do krótkiego korytarza po lewej, sprawdza pokój.

– Czysto! – woła.

Ja nadal ani drgnę. Nie jestem w stanie. Zmroziły mnie groza i niedowierzenie.

Twarz Evy jest blada i cała w plamach, jej normalnie lśniąca skóra wygląda jak z wosku. Włosy ma obcięte na wysokości szczęki i chyba skrócono je tępym nożem. Ma otwarte, lecz zamglone oczy, a do tego wszystkiego kroplówkę wbitą w wierzch dłoni.

Co jednak najgorsze, jest cała posiniaczona.

Na jej lewym policzku rozlewa się fioletowa plama o żółtawych krawędziach. Jej dolna warga jest z jednej strony rozcięta. Na podbródku rzuca się w oczy paskudny sinoczarny ślad, a na delikatnej skórze jej gardła widnieją blednące już odciski czyichś paluchów.

Grubych. Silnych. Paluchów.

– Jezu Chryste... – wzdycham. Szarpie mną impuls czystego gniewu, który przebija się przez szok i pozwala mi do niej podbiec.

– Czysto! – woła Connor z kolejnego pokoju, ale ja go nie słucham. Klęczę przy sofie, ujmuję twarz Evy w drżące dłonie.

– Kochana... – chrypię, rozpaczliwie chcę usłyszeć jej głos. – Odezwij się do mnie. Eva... Eva, powiedz coś, proszę!

Wyciąga dłoń i dotyka mojej twarzy opuszkami palców, jakby chciała sprawdzić, czy jestem prawdziwy. Wilgotnieją mi oczy.

– Bestyjo... jesteś tu... – szepcze.

– Wszędzie czysto – stwierdza Connor, wracając do salonu z opuszczoną już lufą, podczas gdy ja biorę Evę w ramiona i mocno przytulam.

– Co on ci zrobił? Co ten skurwysyn ci zrobił, kochana? – Odsuwam się i chaotycznie szukam urazów na jej ciele, odkrywam koc i widzę jasnoniebieski szpitalny fartuch. Jej nadgarstki i przedramiona są oplecione kolejnymi siniakami. Kolana ma zaczerwienione i obtarte, jakby ktoś ciągnął nimi po szorstkiej wykładzinie.

– Wszystko dobrze – mówi słabowicie. – Mam... chyba mam jakąś chorobę serca.

Connor klęka obok i sprawdza jej puls obwodowy. Obraca ku niemu głowę.

– Connor, ty też tu jesteś.

– Pewno, że jestem – odpowiada z szerokim uśmiechem. – Nie przegapiłbym tego za żadne skarby. Jak się czujesz, spryciuło? Troszkę się o ciebie martwiliśmy.

Eva przygryza dolną wargę i przełyka ślinę.

– Przepraszam – szepcze i patrzy znów na mnie, marszcząc czoło. – Przepraszam cię, Naz. Nie chciałam tak odchodzić, ale to był jedyny sposób, żeby...

– Ćśś, kochana, przestań. Wiem, dlaczego to zrobiłaś, ale już po wszystkim. Musimy cię przetransportować w bezpieczne miejsce.

Connor wstaje i wyciąga z kieszeni czarnej kamizelki taktycznej komórkę.

– Dzwonię załatwić ewakuację.

On wykonuje telefon, a ja zasypuję twarz Evy szaleńczymi pocałunkami, próbuję nie sprawiać

jej bólu, ale nie mogę się pohamować. *Żyje.*

– Znalazłeś mnie – mówi łamiącym się głosem. – Ruszyłeś po mnie i mnie znalazłeś.

– Kochana. – Przysuwam usta do nieposiniaczonego kącika jej warg. Potem znów biorę ją w ramiona i mocno ściskam. Przyciskam policzek do jej policzka i staram się jakoś oddychać. – Nigdy bym cię nie zostawił. Przecież o tym wiesz. Powinnaś to już wiedzieć.

Bez słowa kiwa głową i mocno do mnie przywiera.

Nie mogę dłużej wytrzymać. Całuję ją, bo gdybym tego nie zrobił, zaraz bym umarł.

Odwzajemnia pocałunek z równą pasją, chyba nie dba o urazy. Wbija mi palce w ramiona i wydaje z siebie cichutkie, desperackie dźwięki.

Przerywa nam dochodzący z kuchni głos Connora.

– Brachu, mam tu dla ciebie wiadomość.

Rozdzielamy się z Evą. Patrzę na Connora, który pokazuje mi kartkę papieru i ma przy tym naprawdę krzywą minę.

– Od Killiana.

Sądząc po tonie, Connor już zdążył ją przeczytać. Wyciągam rękę, nie chcę puścić Evy nawet na sekundę, więc Connor podchodzi i podaje mi karteczkę. Czytam.

Dom jest wasz, na jak długo potrzebujecie. Leki Evy są w lodówce. Powiedziano mi, że nie należy jej nigdzie ruszać, ale sam nie posłuchałem tej rady. Sądzę, że ty też nie posłuchasz, natomiast jeżeli zabierzesz ją do jakiegoś szpitala, to zarejestruj ją pod fałszywym nazwiskiem i miej na nią oko.

Dmitrij jej szuka. Zajrzy pod każdy kamień.

Przepraszam was oboje za siniaki. Otrzymałem niepoprawne dane wywiadowcze na temat jej relacji z Dimitrijem, ale bądźcie spokojni, ich źródło zostanie zlikwidowane za to, że narobiło tyle kłopotów.

Kiedy to wszystko się skończy, może będziemy mogli się spotkać. Jestem ciekaw mężczyzny, który rozniecił beznadziejne oddanie w takiej kobiecie. Powiedziała mi, że wraca do piekła, z którego się wyrwała, żeby ocalić ci życie... uwierzyłbyś? Nadal nie wiem, czy to heroizm czy szaleństwo.

Nadal też nie jestem przekonany, czy na nią zasługujesz, ale ona oddała ci serce, więc...

Nie spierdol tego.

Z wyrazami szacunku,

Killian.

PS Pieprzyk w kształcie serca pod jej lewą piersią to chyba najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

Mnę kartkę w dłoni i głęboko oddycham, tłumię pierwotny ryk, który próbuje wyrwać mi się z gardła. *Trzeba przyznać, że skurwiel ma jaja.*

Później będę się martwił, skąd wie o pieprzyku, gdy będę sam, gdy będę mógł ułożyć sobie to wszystko na osobności.

– Brachu, transport gotowy – informuje Connor, chowając telefon.

Odsuwam kosmyk włosów z bladego czoła Evy.

– Kochana, teraz wezmę cię na ręce, dobrze?

Jej uśmiech jest bardzo niepewny.

– Jesteś tu... – szepcze, a jej oczy znowu opadają. – Nie musisz mnie nieść, pewnie dam radę płynąć sama...

W mojej piersi wzbierają emocje, ale muszę się skupić, żeby przetrzymać ją w bezpiecznym miejscu, zanim pęknie i wszystkie te uczucia zwałą mnie z nóg. Wpycham pomięty list od Killiana do kieszeni i jak najostrożniej biorę Evę w ramiona. Gdy podnoszę ją, prostując nogi, zarzuca ręce na moje ramiona i wtula się we mnie.

Bierze głęboki wdech tuż przy mojej szyi, przechodzi ją dreszcz, po czym wtula się jeszcze mocniej.

– Pójdę po leki – rzuca Connor. – Będę zaraz za wami.

Podnosi z podłogi mój karabin i przetrzuca go sobie przez ramię, a ja wybiegam frontowymi drzwiami, tuląc Evę do piersi.

Lecimy do najbliższej kryjówki Metrixa, w portugalskim Cascais, zamożnym nadmorskim miasteczku niedaleko Lizbony. Podróż trwa niecałe dwie godziny, ale mam wrażenie, że nigdy nie leciałem tak długo. Eva śpi w moich ramionach, oddycha płytko, co jakiś czas wstrząsa nią dreszcz i cicho kwili, jakby miała koszmary.

Mam problemy z okiełznaniem gniewu na Killiana, obaw o Evę i wściekłości na samego siebie. Powinienem był znaleźć ją wcześniej.

Przede wszystkim to nie powinienem był pozwolić jej odejść.

Gdybym należycie ją chronił, to wszystko nie miałoby miejsca.

Siadamy na lądowisku w przemysłowej części miasteczka, a na pobliskim parkingu czeka na nas samochód, kluczyki są w schowku. To wszystko dzięki uprzejmości Tabby, kobiety, która nie zna słowa „niemożliwe”. Connor prowadzi, ja siedzę z tyłu i trzymam na kolanach głowę Evy, głaskam jej spoczone czoło i zadręczam się myślami o tym, co musiała przeżyć na jachcie.

Na co się naraziła, myśląc, że mnie ratuje. Nie wspominając nawet o horrorze, który by ją czekał, gdyby wróciła do Dmitrija.

Przyznaję to z trudem, ale nie tylko Killian ma wątpliwości, czy na nią zasługuję.

Kryjówka znajduje się w nowoczesnym kompleksie mieszkalnym, jednym z tych szpanerskich wysokościowych osiedli z pełną ochroną, skrojonych pod bogate bezdzietne pary i krążących po całym świecie biznesmenów, którzy mają gdzieś, kim są ich sąsiedzi. Parkujemy na podziemnym parkingu, z którego prywatną windą wjeżdżamy na osiemnaste piętro. Z sięgających od podłogi po sufit okien rozciąga się zapierający dech widok na ocean.

– Ładnie tu – mówię Connorowi, wnosząc do środka Evę.

– Przecież nie możesz przerwucić saudyjskiej księżniczki, która spędziła sześć tygodni w piwnicy porywaczy, do podrzędnego motelu – rechocze w odpowiedzi.

Odnajduję główną sypialnię i najdelikatniej jak potrafię, kładę Evę na łóżku. Przewraca się na plecy i sennie wzdycha, a ja otulam ją kocami.

– Gdzie jesteśmy? – pyta.

Nachylam się i całuję ją w czoło.

– W bezpiecznym miejscu. Zaraz przyjedzie lekarz. Jak się czujesz? Podać ci coś?

Obraca głowę w moją stronę i mruga, jej oczy wciąż są zamglone.

– Killian powiedział Dmitrijowi, że z nim jestem.

– Co takiego? – pytam z szybszym tętnem.

Oblizuje wargi, wygląda, jakby musiała skupić się na każdym wypowiedzanym słowie.

– Dmitrij wie, że to Killian mnie zabrał, więc nie będzie cię ścigał. – Znowu opadają jej powieki. – Killian o to zadbał.

Killian o to zadbał. Zabrzmiała jakby... była mu wdzięczna.

Nie mogę się ruszyć, nie licząc serca, które łomocze jak szalone.

– Wrócę za minutkę – mówię i naciągam koce na jej ramiona, po czym odgarniam włosy z jej twarz, przez cały czas ignorując drżenie moich dłoni. Wychodzę z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi, i wracam do głównego pokoju, żeby poszukać Connora.

Zastaję go na przetrząsaniu pokaźnej lodówki ze stali nierdzewnej.

– Muszę pogadać z dostawcą o jakości przekąsek – stwierdza kwaśno, pokazując mi plastikowy pojemnik. – Dlaczego zawsze mamy tyle tych jebanych owoców? Kto, do chuja pana, ma ochotę na plasterki jabłuszka po skończonej robocie?! I ani śladu po pieprzonych ciastkach czy choćby gałce lodów!

Krzyżuję ramiona na piersi, opieram się o blat i wzdycham ciężko. Connor zerka na mnie z troską.

– Masz. – Podaje mi butelkę piwa. – Chyba dobrze ci zrobi.

Przyjmuję ją, ale nie otwieram, tylko stoję, gapiąc się przez okno. Zachodzące słońce zamienia właśnie niebo w morze ognia.

Connor zatrząskuje lodówkę, odkręca kapsel swojej butelki i bierze głęboki haust piwa. Na koniec wyciera usta wierzchem ręki.

– Potrafię dostrzec rychle pojebanie mózgowie z dwóch kilometrów, brachu. Mów.

– Killian – wypowiadam po bardzo długim namyśle.

Connor bierze kolejny łyk, nie odzywa się, pozwala mi spokojnie zebrać myśli.

– Rządzi na jachcie. Bierze zakładniczkę. Zabija kapitana i załogę, poza jedną osobą. Fakt, że ocalił tę jedną osobę jest istotny, ale jeszcze nie wiem dlaczego. Biję zakładniczkę i kieruje się na północny Atlantyk, ale w połowie drogi zawija go amerykańska marynarka wojenna. Kilka dni później ta fregata podrzuca go i jego zakładniczkę na portugalską wyspę. Ma tam kryjówkę. W liściku wspomina o „danych wywiadowczych” i „źródle”.

– Szpieg – stwierdza Connor, patrząc mi w oczy.

– Prawdopodobnie całkowicie nielegalny, bo Tabby nie znalazła w bazach danych CIA, i NSA nikogo, kto pasowałby do jego opisu.

Operatorzy działający bez oficjalnej przykrywki, czyli nielegalni, to nienotowani w żadnych rejestrach „konsultanci” agencji rządowych, którzy działają poza standardowymi kanałami i realizują tajne misje. Są znakomicie wyszkoleni w rozpoznaniu i gromadzeniu danych i zlecane jest im w zasadzie wszystko, od zabójstw politycznych po wpływanie na wybory w obcych państwach.

Są również nadzwyczajnie niebezpieczni.

Mają oficera prowadzącego, który zleca im zadanie, ale nie odpowiadają przed nikim. Przyświeca im tylko jeden cel: wypełnić misję. Nieważne jak, nieważne jakim kosztem. Jeżeli wpadną, nie mogą liczyć na miękkie lądowanie, bo rząd, który akurat ich zatrudnia, wyprze się, że w ogóle wie o ich istnieniu. Robią więc wszystko, by uniknąć wykrycia, gdyż w razie pojmania przez nieprzyjaciela mogą być pewni wieloletniej odsiadki lub egzekucji.

Znają wyrafinowane techniki prowadzenia tajnych operacji i walki niekonwencjonalnej, są samotnymi wilkami szpiegowskiego świata.

To właśnie oni załatwiają naprawę śmierdzącą robotę.

Wiem o tym, bo mój ojciec był jednym z nich.

– Czyli ma fuchę – stwierdzam. – I myślał, że porwanie Ewy pomoże mu ją zrealizować.

– Coś związanego z Dmitrijem – dodaje Connor, kiwając głową.

– Jednak z jakiegoś powodu postanowił podrzucić ją do tej kryjówki.

– Może dostał już od Dmitrija, czego chciał. Udowodnił mu, że Eva żyje, dogadał się z nim i zniknął.

– Nie sądzę – mówię, kręcąc głową. – Chwilę temu Eva powiedziała, że ten Killian przekazał Dmitrijowi, że ma Ewę. Założę się, że Dmitrij nadal myśli, że są razem.

– Co Killian miałby z takiego scenariusza?

– Myślę, że nic. – Spoglądam w zdezorientowane oczy Connora. – I to mnie przeraża.

Po chwili na obliczu mojego szefa pojawia się zrozumienie.

– Boisz się, że ją polubił.

Pamiętam, co Killian powiedział mi przez telefon, ochryplym, zachłannym głosem: *Bo im więcej czasu spędzam z twoją kobietą, tym mniej chcę ją oddać.*

– Myślę, że na tym polega jej supermoc. Powala facetów na kolana, zanim nawet kapną się, co ich trafiło.

Connor przez chwilę drapie się po podbródku, po czym mówi:

– To by wyjaśniało, dlaczego nie zabił tej dziewczyny z załogi.

– Dlaczego? – pytam po chwili.

– Żeby zadzwoniła po straż wybrzeża, opowiedziała im, co się stało i przekazała... dokąd według jej wiedzy zmierzał.

– Żebyśmy wiedział, gdzie szukać Ewy... – mówię powoli.

– Przecież zostawił liścik. Bez dwóch zdań wiedział, że jesteśmy na tropie. Ciekawe, czy specjalnie pozwolił tej dziewczynie usłyszeć, gdzie się kieruje. – W tonie Connora rozbrzmiewa nuta podziwu. – Hmm. To jakiś geniusz.

Zaczynam szczerze nienawidzić tego kutasa.

– Geniusz czy nie, położył łapska na mojej dziewczynie, więc jest na pierwszym miejscu mojej czarnej listy.

– A jak myślisz... – zaczyna ostrożnie Connor –... kto załatwił jej leki? – Gdy piorunuję go wzrokiem, unosi ręce w geście kapitulacji. – Tylko mówię. W tym stanie raczej nie podskoczyła do apteki samodzielnie. Z naklejki na lekach wynika, że to wankomycyna na zakaźne zapalenie wsierdzia. To nie woda utleniona na otarcia.

Postanawiam, że najwyższy czas otworzyć piwo, a robię to, odgryzając kapsel trzonowcami. Wypływam go i biorę głęboki haust.

– No i przeprosił. Napisał, że to przez mylne dane. Na moje oko myślał, że Eva tworzy z Dmitrijem zespół, jak Bergé z tą swoją ogrzycą... – zawiesza głos. – Swoją drogą, ciekawe, czy wylazła z bagażnika.

– Zaparkowaliśmy samochód na jej cholernym podejździe. Babsztyl wydziera się tak, że sąsiedzi na pewno wezwali gliny kilka chwil po naszym odjeździe.

Connor wzrusza ramionami.

– W każdym razie, Killian porywa Evę, trochę ją tarmosi, tak dla zasady, ale potem odkrywa, że porządna z niej kobieta. Potem ona się rozchorowuje, a jemu robi się jej żal, więc zabiera ją do lekarza. To by wyjaśniało pojawienie się marynarki.

Powoli kiwam głową, analizuję to.

– Tak... Jeżeli ma odpowiednio wysoką renomę i odpowiednio ważne zadanie, to dysponuje bardzo ciekawymi kontaktami, wszędzie. Jeżeli Pentagon ceni cię jako zakulisowe źródło danych wywiadowczych, to w zasadzie możesz załatwić wszystko. Nawet eskortę marynarki wojennej.

Głowa zaczyna mnie od tego boleć. Zeruję piwo, z hukiem odkładam pustą butelkę na blat. Mam wrażenie, że zaraz zacznę ziać ogniem.

– Więc Killian próbuje wydusić z Dmitrija coś bardzo ważnego. Co takiego Dmitrij może mieć?

– Nie wiem, brachu – odpowiada Connor cicho. – Ale na pewno coś paskudnego.

ROZDZIAŁ 16

Eva

Przyszedł mnie obejrzyć siwowłosy pan o życzliwym spojrzeniu i delikatnych dłoniach. Gdy sprawdza moje parametry życiowe i pobiera krew, leżę spokojnie na łóżku, podczas gdy Naz kręci się cicho z tyłu. Później mężczyzna zadaje mi serię pytań odnośnie urazów, jakich doznałam na jachcie.

Kiedy pyta o potencjalne niewidoczne urazy, Naz sztywnieje, bo wie, co kryje się za tym pytaniem.

Odpowiadam stanowczo i wyraźnie, choć wymaga to ode mnie wysiłku. Jestem taka wycieńczona, że nawet mówienie przychodzi mi z trudem.

– Nie. Nie tknął mnie w ten sposób. Nie zrobił niczego niestosownego.

– Bo te siniaki są cholernie stosowne... – burczy pod nosem Naz.

Po tych słowach zaczyna maszerować po pokoju, strzelać knykциями i zgrzytać zębami.

Lekarz stawia jeszcze kilka pytań, a potem rozmawia ściszym głosem z Nazem w kącie pokoju. Docierają do mnie „odpoczynek w łóżku” i „delikatny stan”, wnioskuje więc, że w najbliższym czasie maratonu nie przebiegnę.

Gdy lekarz wychodzi, zjawia się Connor. Przysuwa krzesło do mojego łóżka, a Naz siada na krawędzi materaca i bierze mnie za rękę.

– Masz ochotę chwilę pogadać? – pyta Connor łagodnie, zerkając niespokojnie na Naza, który intensywnie się we mnie wpatruje i nawet nie mruga, jakby się bał, że w każdej chwili mogę zniknąć w obłokach dymu.

Unoszę kciuk wolnej dłoni.

– Dzielna dziewczyna. Zajmie nam to chwilę. Muszę wracać do Stanów, ale wy z Nazem powczasujecie tu sobie, dopóki nie będziesz mogła podróżować.

– Nie powiedział mi nic konkretnego – stwierdzam. Naz i Connor wymieniają zdumione spojrzenia, więc wyjaśniam: – Killian. Pilnował, żeby nie zdradzić mi żadnych przydatnych informacji. Powiedział za to, że zaryzykował dla mnie życie milionów ludzi. To już w kryjówce. Chyba nie powinien był mi tego mówić. Zapytał też, hipotetycznie, czy dla ocalenia milinów zabiłabym człowieka.

Na chwilę zapada cisza, zakłócana jedynie zgrzytaniem trzonowców Naza.

– Mhm – mruczy Connor.

– Chodzi mi o to, że te uwagi raczej nie były przypadkowe. Myślę, że ta sprawa między nim a Dmitrijem może się odbić na wielu osobach.

– Masz pomysł, o co może chodzić? Gdybyś miała zgadywać?

Spoglądam na Naza, potem na Connora.

– Najprawdopodobniej... o broń.

Naz ściska moją dłoń mocniej, Connor opiera się na krześle i krzyżuje ręce na torsie. Obaj patrzą na mnie wyczekująco.

Przymykam oczy, przypominam sobie różne spotkania Dmitrija z szemranie wyglądającymi ludźmi, przy których akurat byłam obecna. Przyjeżdżali do posiadłości ubrani w drogie garnitury albo mundury wojskowe, w towarzystwie całych orszaków asystentów i goryli, pili whiskey, palili cygara, gdy tymczasem prezentowano im, jak na pokazie, nagie, nie licząc knebli i smyczy, dziewczęta.

Zjawiali się tam w interesach. Dziewczyny były jedynie oferowanym przez gospodarza przysmakiem. Natomiast gdy one paradowały po bezcennych, ręcznie tkanych tureckich dywanach, trwały dyskusje. Dyskusje o handlu, o strategii, o trasach przerzutowych, o najróżniejszych dostawach, transportach narkotyków, żywego towaru i broni.

Tej ostatniej chcieli wszyscy, a im więcej, tym lepiej. Tyrani potrzebowali karabinów do zaduszania buntów w swoich państwach, podobnie planujące przewroty ugrupowania opozycyjne.

Wszyscy potrzebowali wiarygodnego dostawcy, który potrafiłby dostarczyć kosztowną kontrabandę pod okiem oficjalnych władz.

Dmitrij nie ma aspiracji politycznych, ale ogromnie interesuje go władza. Odkrył, że człowiek dostarczający złym ludziom to, czego potrzebują w walce o miejsce na szczycie góry zwłok i kości, posiada władzę, na którą nie wpływają wybory, zmiany rządów, potężne zawirowania kulturowe i społeczne ani nawet dekady upływającego czasu.

Przemoc to ponadczasowe ludzkie przedsięwzięcie. Nigdy nie wyjdzie z mody.

– Może o jakąś konkretną broń – mówię, otwierając oczy. – Coś zdolnego siać masowe zniszczenie. Szukali tego wszyscy klienci Dmitrija. To on dostarczył sarin, którego syryjski prezydent użył w dwa tysiące siedemnastym roku w Chan Szajchun, mordując tych wszystkich ludzi. Dmitrij posiadał posowieckie bomby i przystosował je do przenoszenia głowic z gazem. Uważał, że to bardzo sprytne.

Connor i Naz patrzą na mnie rozszerzonymi szokiem oczami.

Ich miny przepełniają mnie wstydem. Gdybym miała choć odrobinę prawdziwej odwagi, zabiłabym Dmitrija wiele lat temu. To zaniechanie sprawia, że częściowo odpowiadam za wszystkie cierpienia, które wywołał.

I dlatego sobą gardzę.

I dlatego postanowiłam naprawić ten błąd.

Może Laozi miał rację i miłość rzeczywiście dodaje sił. Gdybym nie zakochała się w Nazie i nie postanowiła wrócić do Dmitrija, żeby go ocalić, to pewnie nigdy nie zdobyłabym się na decyzję, że chcę mu wsadzić kulę między oczy.

Nachodzi mnie wyraźne i zimne jak zimowy wschód słońca przekonanie, że wiem, co trzeba zrobić.

– Nie chcecie tego słyszeć – mówię w sufit – ale Killian miał rację. – To ja jestem najlepszym sposobem dostania się do Dmitrija. – Obracam głowę i spoglądam na Naza. – Można się do niego dostać tylko w jeden sposób, przeze mnie.

– Nie – odpowiada z niewzruszoną delikatnością, choć jego oczy płoną.

Kocham tego człowieka. Kocham go tak bardzo, że ta miłość przyjmuje fizyczne kształty, jest niczym jasny, gorący punkcik w samym środku mojej piersi. Lecz gdy patrzę w jego oczy, dociera do mnie, że odkąd go poznałam, wiele się we mnie zmieniło. Miłość zmieniła mnie na lepsze... choć w tej chwili zapewne by się ze mną nie zgodził.

Bo nie jestem już dziewczyną, słuchającą poleceń innych.

– Wiem, że myślisz tylko o tym, żeby mnie chronić i, mój Boże, mam nadzieję, że nie zrozumiesz tego opacznie, ale... skarbie... to nie twoja decyzja. Nie pytałam cię o zgodę.

Naz patrzy na mnie w dojmującym milczeniu, Connor robi się poddenerwowany.

– Mmm, okej, dzieci, na spokojnie. Bo wyrwaliśmy się daleeeekoo przed szereg. Po kolei. Najpierw musisz stanąć na nogi, Eva. Później możemy podyskutować...

– Nie będzie żadnej dyskusji – wchodzi mu w słowo Naz, nadal tym niebezpiecznie spokojnym tonem. – Nie będzie żadnej dyskusji obejmującej możliwość zbliżenia się Ewy do Dmitrija. Taka dyskusja nie wchodzi w grę. Nigdy do niej nie dojdzie.

Wzdycham rozdrażniona. Panie, jacy mężczyźni bywają męczący.

Connor wyczuwa, że robi się nieprzyjemnie, więc wstaje.

– Eva, dam ci odpocząć. Gdy tylko będziesz na siłach, przyślemy po ciebie transport do domu, okej?

Nachyla się i daje mi buziaka w policzek, patrzę na niego z uśmiechem.

– Dziękuję, Connor. Za wszystko. Bardzo dziękuję.

Nachyla się jeszcze niżej i mruczy mi na ucho.

– Bądź dla niego łagodna. Prawie się rozpadł ze zgryzoty. – Prostuje się i kiwa głową na Naza. – Brachu, chodź na dwa słówka na zewnątrz.

Puszcza mi oko i wychodzi.

Naz wciąż trzyma mnie za rękę i prześwieśla mnie ponurym wzrokiem.

– Superbohater na ratunek – mówię z uśmiechem.
– Nawet nie próbuj ze mną flirtować – odpowiada głośno. – Jestem na ciebie bardzo zły.
– Tyle widzę... – zawieszam głos. – Czy wspominałam, jak bardzo jestem wdzięczna, że tu jesteś?

– Nie. – Kolejne groźne spojrzenie.
– No więc, jestem. Bardzo wdzięczna i szczęśliwa, i ulżyło mi. Tak dobrze cię widzieć.
Myślałam... – biorę głęboki, rozedrgany wdech – ...że już cię nie zobaczę.

Naz zaciska powieki i burczy:

– Kurwa.

– Proszę, nie złość się na mnie.

– Robisz to celowo, prawda? – pyta, nie otwierając oczu.

– Co takiego?

– Używasz tego głosiku? Tego słodkiego, któremu zawsze towarzyszą oczy Bambi.

– Nie... A co, działa?

– Nie! – rzuca ostro, otwierając nagle oczy.

Gdy przygryzam wargę, ponownie przeklina i drapie się po czole.

– Przepraszam – szepczę. – Wiem, że się martwiłeś. Dobijała mnie myśl o tym, jak bardzo musisz się zamartwiać. Bez przerwy o tym myślałam.

Ściskam jego dłoń i próbuję go do siebie przyciągnąć. Nachyla się o kilka centymetrów, opornie, wciąż zasłaniając palcami oczy.

– Naz, proszę. – Przesuwam dłonią po jego ręce, ściskam jego silny bark, potem dotykam jego twarzy. Musi się ogolić. Ma wory pod oczami. Jest zmęczony, wymizerowany, a to wszystko przeze mnie. – Popatrz na mnie – błagam.

Zabiera dłoń z twarzy, unosi głowę wyżej i pozwala, bym ujrzała w jego pięknych oczach wszystkie emocje. Całe to cierpienie, cały ten lęk, całą miłość.

To spojrzenie przeszywa mnie jak rozżarzony miecz.

– Kocham cię, Naz – wyduszam przez ściśnięte gardło. – Nikogo tak nie kochałam. Nie sądziłam, że można tak kochać. Zabiłabym dla ciebie. Umarłabym dla ciebie. I przysięgam, że ani na tym świecie, ani poza nim, nie ma niczego, co ponownie nas rozdzieli.

Waha się przez chwilę, jego oczy wilgotnieją. W końcu pęka i wzdycha, a w tym westchnięciu jest zamknięta cała wieczność zmartwień.

– To już całkiem niesprawiedliwe – chrypi z trudem.

A potem ujmuje moją twarz w dłoń i całuje mnie aż tracę oddech.

– Twoja warga – mówi, odsuwając się nieznacznie i patrząc na moje usta. – Nie chciałem cię skrzywdzić...

– Proszę, ucisz się... – Szarpnię go za koszulkę i przyciągam do siebie. Pochyla głowę, prychając śmiechem, i daje mi to, czego potrzebuję, aż oboje ciężko dyszymy, a jego dłoń drży na mojej twarzy.

Patrzy mi głęboko w oczy, w jego widać rozpacz.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Kocham cię – szepczę, wiedząc, czego potrzebuje. – Kocham cię. Kocham.

Przymyka powieki. Wzdycha ciężko i składa na moich ustach najdelikatniejszy pocałunek. Obejmuje mnie i chowa twarz w mojej szyi.

Trzymam go tak bardzo długo, głaskam po plecach, wodzę palcami w jego włosach, czuję na piersi jego łomoczące serce, a na szyi oddech. Co jakiś czas jego ręka się napręża i ściska mnie mocniej, jakby przypominał sobie, że naprawdę tu jestem.

Kiedy w końcu się odzywa, robi to bolesnym od emocji, ledwie słyszalnym szeptem.

– Nigdy więcej tego nie rób.

Unosi głowę i patrzy mi w oczy, w jego lśnią łzy.

– Obiecuj, że już nigdy nie zrobisz nic takiego. Obiecuj, że już nigdy nie uciekniesz, że już nigdy nie narazisz się dla mnie, że już nigdy nie zrobisz nic tak... kurewsko... bezmyślnego. – Zawieszam głos, żeby opanować oddech. – Myślałem, że oszaleję. Bałem się, że straciłem cię na zawsze.

Łapię jego szorstkie policzki w dłonie i kiwam głową.

– Obiecuję, skarbie.

Całuje mnie w policzek, w skroń, w szyję. Jego palce skubią moje włosy.

– Dobra, kurwa... Dobrze.

Wzdycha z tak wyczuwalną ulgą, że znowu nachodzą mnie wyrzuty sumienia.

– Przepraszam.

– Nie, dość przeprosin. I dość bohaterstwa. Na miłość boską, jestem dorosłym mężczyzną. Nie życzę sobie, żebyś myślała, że musisz mnie ratować. Moje zadanie to chronić ciebie, a nie odwrotnie.

Widzę, że to dla niego kwestia dumy, więc zamiast przekonywać, że i tak będę go chroniła, po prostu zamykam usta na kłódkę.

Całuje mnie w oba policzki, jakby udzielał mi błogosławieństwa. A potem, ni z tego ni z owego, zaczyna się cicho śmiać.

– Co cię tak bawi?

Naz prostuje się, przeczesuje włosy palcami i podpira łokcie na kolanach. Następnie wbija wzrok w stopy i mówi:

– Przypuszczalnie jestem w najgorszym stanie w życiu, ty leżysz posiniaczona i chora, ja nie pamiętam kiedy ostatnio jadłem, przez ostatni tydzień przespałem może z dwie godziny, a jednak kutas stoi tak, że aż boli. Zawsze gdy cię widzę, mam wrażenie, że połknąłem wiadro viagry.

Zerkam z ukosa na jego krocze.

– No widzę. Gdybym tylko miała siłę, coś byśmy zaradzili.

Patrzy na mnie ciepło, kąciki jego ust wyginają się w uśmiechu.

– Jak już wydobrzejesz, czasu nam nie zabraknie. Teraz musisz odpoczywać. Dam ci się wyspać, a potem cię nakarmię. Może być?

– Może być.

Nachyla się, całuje mnie w czoło, a potem rusza do drzwi kulejąc, przy tym kręcąc głową i rechocząc pod nosem. Na odchodne posyła mi jeszcze buziaka.

Śpię. Nie wiem, jak długo, bo w pokoju nie ma zegara. Kiedy otwieram oczy, za zasłonami jest już ciemno. Wszędzie spokój i cisza.

Muszę pilnie do łazienki, więc ostrożnie się odkrywam, siadam i spuszczam nogi z łóżka. Troszkę kręci mi się w głowie, ale poza tym czuję się całkiem pewnie, więc wstaję i idę do toalety na bosaka. Zapalam światło.

Jest tak jasne, że aż się krzywię. Przez chwilę stoję w drzwiach i rozglądam się, żeby oczy mogły przywyknąć do oświetlenia. Łazienka, podobnie jak sypialnia, jest urządzona nowocześnie, wszędzie pełno szkła i białego marmuru, do tego szafki z ciemnego drewna i schowane we wnękach źródła światła.

– Wyglądasz, jakbyś wypadła ze śmieciarki – oświadczam swemu odbiciu, myjąc ręce. – I co ty masz na sobie, do jasnej cholery?

Patrzę na jasnoblękitny, bawełniany fartuch, próbuję sobie przypomnieć, skąd się wziął. Niestety wspomnienia ostatnich wydarzeń zlewają się w ciemną mgłę. Nawet nie wiem, ile dni temu Killian zabrał mnie z jachtu.

Killian. Kim ty jesteś?

Dotykam blednącego siniaka na policzku, rozmyślając o wszystkich sprzecznościach tego człowieka. Jak człowiek, który bezlitośnie mnie pobił, mógł później zadać sobie tyle trudu, żeby mnie ocalić? Jak mógł z zimną krwią i bez mrugnienia okiem zabić Raphaela, a potem tak troskliwie podawać mi lekarstwa?

Jak mógł sztydzić z miłości i całować jakby zależało od tego jego życie?

Ten mężczyzna to zagadka, której już nigdy nie rozwiążę, bo więcej go nie zobaczę. Jestem wdzięczna, że odciągnął uwagę Dmitrija od Naza, ale na wiele jego postępów jestem i pewnie zawsze będę zła.

– Szantażować mnie dla pocałunku... – prychem pod nosem.

– Nigdy czegoś takiego nie zrobiłem.

Podskakuję przerażona, Naz opiera się o futrynę drzwi. Jego widok tak mnie cieszy, że przez chwilę po prostu stoję i się gapię, dopóki z jego ust nie znika uśmiech.

– Wszystko dobrze? – pyta, prostując się, w jego oczach lśni niepokój.

– Ja... – zamykam oczy, biorę głęboki wdech, po czym znów na niego patrzę. – Cieszę się, że cię widzę.

Bez dalszych słów pokonuje dzielący nas dystans, obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Oplatam go dłońmi w pasie, wsuwam głowę pod jego podbródek, przymykam oczy i chłonę męski zapach. Serce łomocze mi tak mocno, że aż boli.

– Muszę wziąć prysznic. – Moje słowa są stłumione, bo wypowiedziane wprost w jego tors.

Naz całuje mnie pod płatkami ucha, w miejscu, które zawsze powoduje dreszcz.

– Dobrze, nastawię ci wodę.

– Nie – mówię, gdy się odsuwa. Spogląda na mnie pytająco. – Muszę wziąć prysznic z tobą.

Jego źrenice rozszerzają się z pożądania.

– Nie kuś. Wiesz, że pewien element mojej anatomii lubi dawać o sobie znać w takich sytuacjach.

Wspólny prysznic nago jest na szycie jego listy.

Kładę ręce na jego barkach i stoję na palcach, żeby dać mu buziaka.

– Wiem, właśnie stąd propozycja...

– Jesteś chora – stwierdza kategorycznie.

– Ale nie aż tak chora. – Całuję go ponownie, przygryzając jego dolną wargę. – I tęskniłam za tobą – wdycham, czując, jak krew śpiewnie szumi mi w żyłach. – Potrzebuję cię. Potrzebuję nas.

Gdy ocieram się o niego piersiami, stęka, jakbym robiła mu krzywdę.

– Dobijasz mnie.

– Mogę zrobić coś, co spodoba ci się jeszcze bardziej.

Odsuwa mnie od siebie stanowczym gestem, kładzie dłonie na moich ramionach, zaciska zęby.

– Nie wierzę, że to mówię, ale nie.

– Nie? – pytam oburzona.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu, po czym burczy:

– Ja pierdołę.

– Czyli tak? – pytam promieniejąc.

– Tak jakby trochę...

Unoszę brwi.

– Tak jakby trochę? Będziesz „trochę” się ze mną kochał? Na czym miałyby to polegać, na pantomimie? A może na rysowaniu zbereźnych obrazków?

– Chyba czujesz się już lepiej, bo zaczynasz pyskować jak dawniej – stwierdza kwaśno.

– Tak, proszę pana. Jestem w stu procentach uleczona.

Przewraca oczami na widok mojego zawadiackiego uśmiechu.

– Kochana, masz odpoczywać w łóżku. I, uprzedzając twoje myśli, nie, nie wszystko, co robi się w łóżku, to wyłącznie odpoczynek. Zwłaszcza w przypadku nas dwojga.

Przyglądam mu się przez chwilę, po czym sięgam za kark i rozwiązuję supełek, przytrzymujący szpitalny fartuch. Spływa z mojego ciała i ląduje na podłodze w formie kopczyka pomiętej bawełny.

Naz spija mnie rozpalonym pożądaniem wzrokiem. Napina mięśnie szczęki.

– Jak ty to robisz, że zawsze jesteś tak cholernie piękna? – burczy szorstko.

Ale nie porusza się, nie dotyka mnie.

Czyżby w jego oczach czaiło się coś jeszcze? Coś jakby... wątpliwość?

– Hej. – Podnosi na mnie wzrok. Ciekawe, czy zauważył, że nagle naszła mnie groza. – Wszystko gra?

Przechyla głowę w zagadkowy sposób.

– Czy ty... wiesz, że mówiłam wtedy prawdę? Że Killian mnie nie...

– Przestań – rzuca ostro i bierze mnie w ramiona. Patrzy na mnie z góry tymi przenikliwymi, ciemnymi oczyma, jego mina jest równocześnie czuła i surowa. – Nie jestem w stanie teraz o nim

rozmawiać. Nie potrafię na ciebie patrzeć ze świadomością, że ci to zrobił. – Dotyka mojego posiniaczonego policzka, który nadal jest obolały. – A przede wszystkim – kontynuuje bardziej ochryple – nie mogę znieść myśli, że mnie przy tobie nie było i go nie powstrzymałem.

– Naz...

– Kochana, przestań. – Delikatnie przykładą mi palec do ust. – Proszę. Ja nadal spuszczałem ciśnienie, a ty kiepsko się czujesz. Pragnę cię, zawsze cię pragnę, ale szczerze mówiąc w tej chwili jakoś się trzymam tylko dlatego, że napędza mnie żądza zabicia tego gnoja, aż czuję jej smak. Ja... – przerywa nagle i parska śmiechem, ale to mroczny, straszny śmiech – ...szczerze mówiąc wydaje mi się, że trochę mi odpierdala.

Ścisną mnie w gardle, kłuje w piersi.

– Okej.

– O, Boże... nie mów takim głosem – jęczy.

– To moja wina – szepczę, chowając twarz w jego piersi.

Wzdycha tak ciężko, że podmuch podnosi mi włosy na głowie.

– Jezus Maria, będziemy potrzebowali zajebiście wielu godzin terapii.

Parskamy śmiechem równocześnie. To posępny śmiech, ale jednak śmiech, zawsze coś.

– Dobra, rewolwerowcu – mówi w końcu, sięgając po ksywkę, którą nadał mi, gdy się poznaliśmy. – Czas się umyć, ale myślę, że weźmiemy raczej kąpiel w wannie. Muszę usiąść, bo noga nie daje mi żyć.

– O, Boże. – Odsuwam się od niego i patrzę przerażona na jego udo. – Twoja operacja. Twoja noga!

– No – odpowiada oschle. – Nawet nie pytaj, co się wyrabia w moich płucach. Oboje jesteśmy nieźle poharatani, kochana. Chodź, puszcza wodę.

ROZDZIAŁ 17

Naz

Wanna jest na tyle duża, że oboje możemy wygodnie się w niej rozłożyć. Eva leży na mojej klatce piersiowej, nasze nogi są splątane. Wtula się we mnie w ciepłej wodzie z pianą, opiera głowę na mojej piersi, jej ciało idealnie wpasowuje się w moje.

No, może nie całkiem idealnie, bo tkwi między nami pewna wielka – wiem, co mówię – rzecz.

– Naukowcy powinni zbadać twoje jądra, żeby sprawdzić, co to za supersperma napędza tę maszynę – mówi Eva wesoło, próbując ułożyć tyłek na mojej erekcji. – Musisz mieć kosmiczny poziom testosteronu.

– Nie bez powodu nazywano mnie superbohaterem.

– Jeśli dobrze pamiętam, sam nadałeś sobie to miano.

– No cóż, jeśli buty pasują, noś je.

– Akurat to muszą być naprawdę duże buty – wtrąca z uśmiechem, odchylając głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Kolosalne – szepczę i wymownie poruszam brwiami.

– Pokora z pewnością nie należy do twoich supermocy, ukochany. – Prycha.

Jej ustom nie da się oprzeć, muszę się nachylić i skraść jej pocałunek. Wygina się na mnie w łuk, jak zawsze reaguje natychmiastowo, zaciskając palce na moim bicepsie, gdy tylko nasze języki się stykają. Próbuję pilnować, by pocałunek był nieśpieszny i spokojny, ale jesteśmy siebie tak złaknieni, że prawie od razu staje się namiętny.

Odklejam się od niej pierwszy, z trudem łapię oddech.

– Boże, jesteś strasznie nieatrakcyjna – mówię, odchrząknawszy. – Ileś ty zdążyła przytyć, odkąd ostatnio się widzieliśmy? Zaraz mnie zmiażdżysz. Nie czuję nóg.

Odchyła głowę jeszcze mocniej i całuje mnie w gardło. A potem... mała spryciula... zaczyna ocierać się tyłkiem o moje krocze. Wykonuje drobne ruchy, które w innych warunkach może nawet przeszłyby niezauważone, ale teraz główka mojego twardego fiuta przemyka między miękkimi, śliskimi półkulami jej pośladków. Doskonale wie, co robi... Niech by ją piekło pochłonęło.

– Czujesz? – pyta gardłowo.

– Obawiam się, że obumarłem od pasa w dół.

– Eee, no chyba nie.

Sięga pod pianę i zaciska dłoń na moim kutasie. To tak przyjemne, że zachłystuję się powietrzem. A potem wraca do swobodnej rozmowy, cały czas leniwie pieszcząc mojego fiuta.

– Gdzie jesteśmy?

– O, czyżby nadszedł czas na lekcję geografii? – pytam.

Jej ramiona drżą w niemym śmiechu, a szczupłe palce przesuwają po moim kutasie.

– Jesteśmy w Cascais, miasteczku na portugalskiej riwierze.

– Brzmi romantycznie.

Eva łagodnie okrąża kciukiem moją końcówkę i lekko ścisną moją męskość. Oboje ignorujemy mój mimowolny dreszcz.

– To jedno z najbogatszych miasteczek na całym Półwyspie Iberyjskim... – nagle urywam i z sykiem nabieram powietrza w płuca, bo czyjaś dłoń ujmuje i pieści moje jaja, ale biorę się w garść i kontynuuję, choć nieco mniej opanowanym głosem. – Podczas drugiej wojny światowej mieszkał tu Edward VIII z żoną, Wallis Simpson.

– Fascynujące – szepcze Eva, sunąc kciukiem wzdłuż pulsującej żyły na spodniej stronie mojego fiuta. – Słucham dalej.

– To taktyka partyzancka, wiesz o tym.

– Pamiętam, jak ktoś opowiadał, że etyka bywa czasami mętna... na przykład w miłości i na wojnie.

Odchylam jej głowę, by ją pocałować, ujmując dłonią jej szczękę, a potem przekręcam ją w bok i szepczę jej na ucho:

– Tej rundy nie wygrasz, więc możesz dać sobie spokój.

Eva rozciąga się, ocierając się o mnie całym ciałem.

– Skarbie, ależ ja nie próbuję niczego wygrać. Po prostu uwielbiam cię dotykać. Uwielbiam twój dotyk. Uwielbiam twoją siłę. Te wszystkie mięśnie... to wszystko... jest takie twarde.

Wzdycha cichutko i radośnie. Jasna cholera, ta kobieta jest niczym sterydy na moje ego.

– A co to za rechot?

– Pomyślałem właśnie, że dobrze mi robisz na ego.

– Aha, a ja myślałam, że może myślałeś o tym „tak jakby trochę”, które mi obiecałeś.

Oczywiście na moment unosi pierś, żeby zaprezentować mi w pełnej okazałości swoje pełne, pokryte pianą i ociekające wodą cycki.

– Nie rozumiem, jakim cudem możesz być tak napalona przy tak poważnych problemach zdrowotnych – mówię, nie odrywając od *nich* wzroku.

Eva nagle zamiera i wytrzeszcza na mnie oczy.

– Jak poważnych? Co lekarz powiedział?

– O, teraz chcesz rozmawiać o lekarzach? – Parskam, uśmiechając się półgębkiem.

Przygląda się badawczo mojej minie i chyba uznaje, że jednak nie stoi jeszcze nad grobem, bo uśmiecha się szeroko.

– Po pierwsze, wiem, że gdyby dolegało mi coś naprawdę poważnego, to zawiózłbyś mnie do szpitala.

Czeka, aż zaprzeczę, ale otrzymuje ode mnie tylko kwaśne spojrzenie. Oczywiście uśmiecha się przez to jeszcze szerzej.

– Więc, jakie są prognozy? Oczywiście nie licząc odpoczynku, antybiotyków i szlabanu na kutasa?

Mrugam i wybucham śmiechem.

– Prognozy są takie, mądralo, że masz pozwolić, by twój mężczyzna o ciebie dbał, dopóki nie uzna, że najgorsze minęło. Potem masz nadal pozwalać mu o siebie dbać, bo on do końca życia nie chce już robić nic innego, a jeżeli mu nie pozwolisz, zrobi się zrzędlawy. A wydaje mi się, że oboje wiemy, jak nieprzyjemnie się wtedy robi.

Jej uśmiech stopniowo niknie, za to w jej oczach wzbierają łzy.

– Bóg chyba jeszcze mnie nie skreślił – mówi drżącym głosem.

– Co masz na myśli?

– Gdyby mnie skreślił, to nie zesłałby mi cudu.

Przeszywa mnie potężne uczucie, jest niczym fala, która równocześnie mnie porywa i zwala z nóg. Przygniata mi pierś, ściska gardło, pozbawia języka w gębie, pozwala wyrażać się jedynie oczyma, lecz one mówią Evie, co do niej czuję. Jak ja czuję się dzięki niej, do cholery.

Jak bardzo czuję się kochany.

Obraca się na mnie, zarzuca mi ręce na szyję i przysuwa swoje słodkie usta do moich z taką namiętnością, że aż mnie oślepia. Woda wylewa się z wanny, ale mamy to gdzieś. Jesteśmy zbyt zajęci sobą.

Wymawia moje imię tuż przy moich wargach, to słowo jest niczym cichy krzyk, który sprawia, że pragnę natychmiast w nią wejść. Lecz jej serce jest tak delikatne, w takim stanie i tyle przeszła...

– Eva... – jęczę markotnie, odsuwając ją od siebie.

Opuszcza głowę na mój bark i łapie się mnie mocno, dysząc.

– Aaa! – warczy. – Pragnę stanowczo zaznaczyć, że nie lubię tej twojej przerażającej siły woli.

Nie mogę na to nic poradzić, zaczynam się śmiać. Cichym, rwanym śmiechem, od którego oboje podskakujemy w wodzie.

– I jeszcze się ze mnie śmieje, no super – wzdycha, bawiąc się moim włosami i rozluźniając się.

W tym momencie oboje zdajemy sobie sprawę, że jej rozłożone uda są w takiej pozycji, że wszedłbym w nią, gdybym tylko lekko napiął biodra.

Eva podnosi głowę i patrzy na mnie tymi swoimi wielgachnymi oczami, przygryzając wargę.

– Nie – ostrzegam. – Lekarz zabronił wszelkiej aktywności podnoszącej ci tętno.

– Okej, nie to nie, ty tu rządzisz – mówi na wdechu, cała zarumieniona.

Powinienem był się domyślić, co teraz zrobi. „Ty tu rządzisz” to gwarancja, że kobieta i tak zrobi, na co ma ochotę.

Kręci biodrami. Muszę złapać ją za tyłek, żeby nie nasunęła się na mojego kutasa po same jaja. Zatrzymuję się tuż przy jej wejściu, cały sztywny i rozpalony. Czuję jej gotową otulić mnie miękkość i muszę wykazać się maksymalną siłą woli, żeby nie ulec zwierzęcemu nawoływaniu *głębiej, więcej, natychmiast*, które właśnie grzmi w mojej głowie.

Siedzimy więc w wannie, nos przy nosie, patrzymy na siebie, ciężko oddychając.

– Nie wiem, czy to najlepsza, czy najgorsza chwila w moim życiu – mówię w końcu.

– Naz, serce i tak mi wali. Kilka minut więcej go nie zbawi.

– Kilka minut? – powtarzam, unosząc brew. – Przepraszam cię bardzo, ale to straszna potwarz dla mojej męskości.

– No, ale skąd mam to wiedzieć? – pyta jak niewiniątko. – Robiliśmy to tylko raz, gdy leżałeś płasko na szpitalnym łóżku. Przyznaję, byłeś wtedy tuż po operacji, ale jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to zawsze znajdujesz jakąś wymówkę, żeby się ze mną nie kochać. Hmm. Tak, dobrze pamiętam. Najpierw był zmyślony celibat...

– Zapuszczasz się na niebezpieczne wody, kobieto – burczę, wbijając palce w jej biodra.

– ...potem ta dziwaczna wymówka z dysonansem poznawczym...

– Mówiłem wtedy serio! Chciałem postąpić jak dżentelmen!

– ...a wtedy w szpitalu to był mój pomysł, a nie twój. – Spogląda na mnie oskarżycielsko. – A teraz, choć mam chore serce, a nie waginę, ty znowu odmawiasz!

Wiem, do czego zmierza. Próbuje grać na moim ego. Szybko staje się też jasne, że jestem jej bezwolną kukiełką, bo choć patrzę jej buntowniczo w oczy, to wchodzę w nią jednym silnym pchnięciem.

Jej jęk rozkoszy, to najcudowniejszy dźwięk, jaki słyszałem.

Zostaję w środku, ściskając jej biodra i zaciskając zęby, a ona drży i zamyka oczy. Wspiera rozłożone dłonie na moim torsie, oddycha przeciągle i wydaje z siebie głębokie, gardłowe „*Tak!*”.

Kropelki ciepłej wody lśnią na jej skórze. Odchyła głowę do tyłu. Jej różowe, naprężone sutki znajdują się kilka centymetrów od mojej twarzy, stanowią zdecydowanie zbyt silną pokusę.

Nachylam się i biorę w usta twardy guziczek. Eva delikatnie jęczy i zaciska się wokół mnie, ale nie rusza się, pozwala tylko bym lizał i ssał jej sutki, a mój kutas jest ciągle zakopany głęboko w jej ciepłe.

– Powiedz, kiedy będę mogła się poruszyć – mówi, gdy przechodzę z jednej piersi na drugą.

– Też nie wiem – odpowiadam, pracując ustami. – A jak twoje tętno?

– Strasznie niskie – dyszy z trudem. – Tak niskie, że zaraz zasnę.

Delikatnie przygryzam sutek. Eva wzdycha i zatapia palce w mięśniach mojej klatki, po czym odruchowo podskakuje biodrami.

Lekko wzmacniam nacisk dłoni na jej biodra, by wiedziała, że ma się nie ruszać, równocześnie zasysam sutek głębiej w usta. Nie szczędzę zaangażowania, po chwili przygryzam miękkie ciało pod sutkiem. W nagrodę otrzymuję dreszcz jej rozkoszy, więc nieśpiesznie pracuję ustami wokół sutka, a potem przechodzę na drugą pierś.

Eva trzęsie się tak mocno, że woda wokół nas zaczyna falować.

– Oddychaj głęboko, kochana – mruczę, wsuwając pomiędzy nas dłoń, by nacisnąć słodki guziczek jej łechtaczki. Eva podskakuje, woda chlupocze.

– Jesteś taki... wielki... – urywa, by zaczerpnąć tchu. – Taki twardy. Mogłabym...

– Powoli. Najwolniej, jak potrafisz.

Gdy zdaje sobie sprawę, że już nie będę jej powstrzymywał, z jej ciała znika część napięcia.

Oddycha głęboko, przesuwając ręce na moją szyję i oblizuje wargi. Unosi powieki, więc gdy w końcu zaczyna miarowo się poruszać, patrzymy sobie w oczy.

Raj to wcale nie ogród. To nie niebo ani jakaś odległa mityczna kraina. Raj to wąska, spokojna przestrzeń między twarzami dwojga kochanków, którzy łączą swe ciała i oddechy.

Eva się porusza, a wraz z nią porusza się moja dusza. Wzdycha, a wtedy pęcznieje mi serce. Wymawia moje imię cichym, zdumionym głosem i już wiem, że człowiek taki jak ja nie zazna innego nieba, ale i o tym niebie nigdy nie śmiał śnić, nigdy na to nie zasłużył.

– Kocham cię, Eva. Będę cię kochał do ostatniego tchu. – Mój głos jest rwany, lecz pełen czci, odbija się echem od pokrytych kafelkami ścian jak dziękczynna modlitwa.

– Ja też będę kochała cię do samego końca – przyrzeka, po czym pochyla się, by mnie pocałować.

To długi, gorący pocałunek, który oszałamia intymnością. To pocałunek dwojga ludzi, którzy wyzbyli się zahamowań, tajemnic i wątpliwości. Obnażyli przed sobą wszystko. Mam wrażenie, że moje serce leży przed nią jak na dłoni, tak wrażliwe, że aż boli.

Ściskam jej tyłek, wbijam palce w miękkie ciało, uwielbiam dotyk jej twardych sutków ocierających się o mój tors, dotyk ciepłej wody obmywającej nasze ciała. To niewiarygodnie zmysłowe, tym bardziej, że poruszamy się nieznośnie wolno. Jej biodra wykonują ledwie zauważalne ruchy, a uda rozchylają się i drżą nad moimi. Czuję pod kciukiem jej nabrzmiałą, śliską łechtaczkę.

– O, Boże... – wzdycha z współprzymkniętymi powiekami. – Naz. Kochanie, tak mi dobrze.

Napinam biodra i wślizguję się głębiej, potem wysuwam się na centymetr i wracam z powrotem. Kolejny rwany jęk z jej ust, przez który Eva zaciska moje włosy w garści.

– Ujeżdżaj mnie, kochana – mówię chrapliwie. – Ten kutas należy do ciebie. Ujeżdżaj, dojdź na nim.

Nie trzeba jej dwa razy zachęcać.

Zaczyna mnie rznąć, z początku nieśpiesznie, jej miednica zatacza na mojej wąskiej kręgi. Gdy się porusza, mój kciuk przesuwają się po jej łechtaczce, a ja znowu zasysam w usta sutek, ssę mocno i omiatam go językiem.

Eva wygina się w łuk, wydaje z siebie nieartykułowany odgłos ekstazy. Ten dźwięk jest niczym płonąca strzała trafiająca w moją duszę. Przeskakuję od jednej piersi do drugiej i z powrotem, zasysam, słyszę własne dźwięki przyjemności, sapanie wydobywające się z głębi mojej piersi.

Eva łapie rytm. Przeciągły ruch w górę i opadnięcie na kutasa, bierze mnie głęboko, a potem znowu się podnosi, tak wysoko, że zostaje w niej tylko główka. I znowu osiada, wypuszczając powietrze z płuc. Powtarza te ruchy, a ja cały czas masuję jej łechtaczkę i ssę sutki, aż w końcu zaczyna drzeć i krzyczeć, a w wannie wzbierają mocniejsze fale poruszane coraz szybszymi ruchami jej bioder.

Sztywnieje i zasysa powietrze. Nagle podnosi powieki, a mojego kutasa ścisną pierwszy potężny skurcz, patrzymy sobie prosto w oczy. Po pierwszym nadchodzi drugi skurcz, a potem kolejne, są tak mocne, że mam wrażenie, że Eva mnie doi.

– Kurwa... – szepczę. – To takie intensywne...

Eva otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Głowa opada jej do tyłu, cała podskakuje, jej piersi huśtają się przed moimi oczyma, wbija mi paznokcie w skórę głowy.

Gdy wykrzykuje moje imię, ulegam pierwotnym popędom.

Wjeżdżam w nią ostro, przytrzymując ją za biodra, walę ją raz i drugi, zaciskając zęby. Eva jedzie na mnie przez swój orgazm, równocześnie prowadząc mnie ku mojemu. Woda tryska na wszystkie strony, zrasza nasze ciała, wylewa się na podłogę. U nasady mojego kręgosłupa narastają żar i napięcie, skręcają się coraz mocniej, ciasniej, zaraz wybuchną mi jądra.

Jeszcze jedno pchnięcie, stękam głośno, moje ciało się wykręca, napina się w nim każdy mięsień. Mój fiut jest w niej tak głęboko, że gdy w końcu pękam, spuszcza się w nią, podrygując nerwowo i ochryple. Wykrzykując jej imię, mam wrażenie, że zaraz umrę z ekstazy.

Trwa to całą wieczność. Czas mknie gdzieś z boku i traci wszelkie znaczenie. Spędziłem w tej bezkresnej chwili całe życie, a widok jej piękna, gdy na mnie szczytuje, wypalił się głęboko w moich siatkówkach i w najmroczniejszych zakamarkach umysłu.

Istnieje tylko ona.

Istnieje tylko *to*, ta potęga żyjąca między nami, ten zaciekły, pierwotny żywioł, którego nie jestem w stanie już kontrolować, bo to tak, jakbym chciał kontrolować grawitację.

W tym momencie kocham ją tak bardzo, że wszystko czym byłem wcześniej, staje w ogniu. Wyjdzie z tego pomieszczenia zupełnie inny mężczyzna, niż ten, który tu wszedł, bo oto przeszedłem chrzest tak gorącej miłości, że wypaliła mnie do szpiku kości, a dawnego „ja” zamieniła w kupkę popiołu, którą rozniesie wiatr.

Eva pada na moją pierś i łka.

– Wiem... – mówię gardłowo, słysząc drzenie własnego głosu. – Wiem, maleńka. Pocałuj mnie.

Biorę jej usta, czuję, że trzęsie się jak osika. Czuję, jak gorączkowo wali mi serce. Obejmuję ją i przytulam z całych sił, najmocniej jak potrafię.

Jestem zakochany.

Kurwa, jaki ja jestem zakochany.

Jeżeli ją stracę, będzie po mnie.

ROZDZIAŁ 18

Eva

Leżymy na łóżku oszołomieni i niemi, niczym dwie zszokowane ofiary bombardowania, zniszczone i pozostawione na pewną śmierć.

Naz trzyma rękę pod moją szyją, a ja zarzuciłam nogę na jego nogi. Jestem wtulona w kryjówkę jego ciała, gdzie ułożył mnie po tym, jak najpierw wytarł mnie miękkim białym ręcznikiem i przyprowadził tu rozedrganą, odartą z wszelkiej obrony. Czuję się jak jeden wielki, odsłonięty nerw.

– To było... – wyduszam w końcu, bardzo cicho.

– Niewiarygodne. Niesłychane. Po prostu... wow.

Brzmi, jakby właśnie odkrył nową planetę. Jakby postawił pierwszy krok w jakimś odległym, zdumiewającym świecie.

Uśmiecham się i całuję jego nagi tors.

– Chciałam powiedzieć „mokre”. Było bardzo mokro.

Przechyliła głowę w bok, spogląda na mnie spod rzęs tymi pięknymi, ciepłymi brązowymi oczyma i uśmiecha się lekko.

– Najmokrzej – przyznaje spokojnie. – Pewnie dobrze się złożyło, że mieliśmy do dyspozycji tyle wody.

Marszczę pytająco czoło.

– Bo inaczej zgniotłabyś mnie swoją kolosalną masą, Słonico.

– Ach, no taaak. – Szczypię go zadziornie w pierś, Naz się uśmiecha.

– O, nie. Zapomniałem. Minęła pora karmienia. Lepiej znajdę jakieś orzeszki, bo zaraz zaczniesz zjadać meble.

Chce wstać, ale w proteście zaciskam mocniej ramiona, zmuszając go, żeby został na materacu. Naz rechocząc, całuje mnie w policzek, w czoło, w głowę, przewraca się na bok, by wygodniej wziąć mnie w ramiona. Wtulam się w niego i mruczę z zadowoleniem.

– O, czyżby Słonica polubiła swojego opiekuna?

Przechyliłam głowę i patrzę mu w oczy, pozwalając, by dostrzegł w moim wzroku wszystko, co czuję, choć odpowiadam nonszalanckim tonem:

– Ujdzie. Choć muszę przyznać, że orzeszki ma spektakularne.

Naz rzy niekontrolowanie, trzyma mnie przy piersi, by jego śmiech niósł się gromkim echem i w moim ciele. To dziwne, łaskoczące uczucie. Bardzo mi się podoba.

– Cieszę się, że tak to pana bawi.

Odsuwa mi włosy z twarzy i całuje mnie w czubek nosa. Leżymy oko w oko, nasze głowy spoczywają na jednej poduszce, moje stopy opierają się o jego i oboje tak jasno lśnimy, że to wspólne światło niemal oślepia.

– Sam widok mnie bawi – stwierdza poważnie, choć musi tłumić śmiech. – Masz naprawdę osobliwą twarz. Jak się nazywa ta paskudna przypadłość?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Zespół... superowości... inteligencjonalnej?

– Rozumiem, zespół superowościinteligencjonalnej. Da się to leczyć?

– Nie, ale symptomy można łagodzić.

– Czym?

– Na przykład pocałunkami – szepczę.

– Ojej. – Próbuję wyglądać surowo. – Trzeba by nie lada odwagi, żeby się tego podjąć. Ogromnej odwagi.

– Więc trzeba nadać bat-wezwanie i ściągnąć superbohatera. – Gdy unosi pytająco brew,

– dodaje: – No wiesz, to nocne światło w kształcie nietoperza, uruchamiane w razie kłopotów przez mieszkańców Gotham.

– Zakładam, że masz na myśli Bat-Sygnał.

– O, właśnie.

Naz prycha.

– Ten superbohater nie odpowiada na sygnały skierowane do Batmana. To byłoby nieprofesjonalne. Nie wspominając o demoralizacji, jaka ogarnęłaby Batmana, gdybym pewnego dnia wypełnił jego obowiązki. Przecież to oczywiste.

– No tak – przytakuję z kamienną miną. – Więc jak wezwać superbohatera? Na przykład gdy zespół superowościinteligencjonalnej wyrwie się spod kontroli i trzeba ratować biednych Gothamczyków?

– Wielkimi ustami? – mówi po namyśle.

– Słucham?

– No wiesz, wyświetlonymi na niebie.

– E, nie. To dziwny i mierny sygnał. Z niczym się nie kojarzy. – Marszczę brwi.

– Z pocałunkami! Które mają ocalić ludzi przed plagą superowościinteligencjonalnej!

– Nie. Nie będę wyświetlała na niebie wielkich warg, gdy będziesz mi potrzebny. Wymyśl coś innego.

– Czyli nagle chodzi w tym o ciebie? Myślałem, że rozmawiamy o biednych Gothamczykach.

– Oj, ci ludzie to twardziele. Potrafią o siebie zadbać. Popatrz, ile przeszli w tych wszystkich głupawych filmach.

Naz śmieje się cicho, zaciska wargi, cały się telepie.

– Mam pomysł.

– Umieram z ciekawości.

– Mikroczip.

– Ale jak wystrzelić mikroczip w niebo? Z armaty?

– Nie, tępoto! Mikroczip, taki jak zakłada się psom – wyjaśniam.

Naz mruga kilka razy, wygląda przekomicznie.

– Okej, słuchaj uważnie, superbohaterze. Wiem, że twój mózg wypełnia wiele ważnych, superbohaterskich informacji, ale zrób miejsce dla jeszcze jednej. – Robię pauzę i przyglądam mu się dokładnie. – Słuchasz mnie?

– Moje ucho jest dosłownie dwa centymetry od twoich ust – odpowiada cierpko.

– Okej. – Biorę głęboki wdech, nie jestem pewna, czy chcę wyciągać ten temat akurat teraz, ale chyba nigdy nie będzie właściwego momentu, więc jedziemy. – Gdy kiedyś byłam w szpitalu na rezonansie, bo Dmitrij uderzył mnie tak mocno, że miałam rozmyty wzrok całymi tygodniami, usłyszałam rozmowę pielęgniarek. Jedna z nich kupiła właśnie małego szczeniaczka.

Naz wstrzymuje oddech. Po jego rozbawieniu nie ma już śladu. Patrzy na mnie z zaciśniętymi zębami i rozszerzonymi źrenicami.

– Opowiadała, że go zaczipuje na wypadek, gdyby się kiedyś zgubił. Odniosłam wrażenie, że to prosty zabieg. Tani, nieinwazyjny, a w razie czego naprawdę pomaga właścicielowi odnaleźć psiaka. Jeżeli psa znajdzie ktoś obcy, wystarczy, że zabierze go do weterynarza, który bez problemu odczyta wiadomości z mikroczipa.

Naz się nie poruszył, ani o milimetr, nawet nie mruga.

Odchrząkuję.

– Tyle, że czip, który umieściłbyś we mnie, miałby GPS.

Naz przymyka oczy, wzdycha głęboko.

– Jezu.

– Przepraszam, wiem, że mam kiepskie wyczucie czasu.

– Nie, po prostu... – Otwiera oczy, patrzy na mnie z bólem. – Nie znoszę wszystkiego w tej historii, włącznie z tym, że... czip to wcale nie jest zły pomysł.

Tym razem to ja oddycham głęboko, bo ogromnie mi ulżyło.

– Tak się cieszę, że cię nie zezłościłam.

– Kochana, nie możesz mnie rozzłościć zapobiegliwością. – Naz wtula moją głowę w przestrzeń pomiędzy szyją a ramieniem i delikatnie głaszcze mnie po plecach, jego wielka ciepła dłoń przynosi pociechę. Zamykam oczy, wdycham aromat jego skóry.

– Czyli zgadzasz się, że Dmitrij w końcu rozgryzie, że Killian wcale mnie nie ma? – pytam szeptem.

– Niestety, tak. To tylko kwestia czasu. Nie wiem, co Killian sobie zaplanował, ale sprawa się wyda, gdy nie dostarczy cię Dmitrijowi. Chryste, to koszmar, że w ogóle musisz się tym przejmować. Że w ogóle musisz o tym myśleć.

Nie będę musiała, gdy Dmitrij zginie.

– Gdy Killian opowiedział, co przekazał Dmitrijowi, wiedziałam, że po prostu zyskałam trochę czasu.

– Zyskaliśmy – poprawia mnie stanowczym głosem. – My zyskaliśmy.

– Ale na ciebie już nie poluje...

– Nawet nie zaczynaj – wtrąca, cały tężając. Gdy nie odpowiadam, unosi moją brodę palcami i przygląda się mojej twarzy czujnymi, ciemnymi oczyma.

Wyciągam rękę i dotykam jego cudownej twarzy.

– On zawsze mnie znajdzie – mówię cicho. – Tak czy inaczej. Ale ty możesz być bezpieczny.

Podpiera się na łokciu i patrzy na mnie z wyczuwalną złością.

– Jesteśmy drużyną, do cholery. Drużyną. Wybij sobie z głowy pomysł, że ty naprawisz tę sytuację. Bo ja to zrobię. To moje zadanie.

– Co to za drużyna, skoro chcesz wszystko załatwić sam?

Gdyby człowiek potrafił ziać ogniem, to z jego nozdrzy wydobywałyby się właśnie jęzory płomieni.

– Obiecałaś mi, dosłownie przyrzekałaś, że już nic nas nie rozdzieli i że nigdy więcej się dla mnie nie narazisz. A teraz co? Co chcesz powiedzieć? Że znowu będziesz próbowała się wymknąć, żeby przypadkiem nie było mnie w pobliżu, gdy Dmitrij cię znajdzie, żebym nie miał jak ci pomóc?

– Cóż, jeśli mam być całkowicie szczerą... przeszło mi to przez myśl. – Naz przeklina. – Ale tak, przyrzekałam. Pamiętam o tym.

– Czyli kłamałaś?

– Wiesz, że nie. Po prostu chcę powiedzieć... – wdycham ciężko, wyswobadzam się z jego objęć i zwieszam nogi z krawędzi łóżka. Kończę myśl, wpatrując się w zadumie w podłogę: – Gdyby ktoś zabił Hitlera, zanim wymordował miliony ludzi, to świat wyglądałby dziś inaczej.

Za moimi plecami jest tylko cisza, ale pulsująca emocjami. Wiem, jak Naz się czuje, nawet nie muszę na niego patrzeć.

– Stalin. Pol Pot. Mussolini. Gdyby ktoś z ich otoczenia zdobył się na odwagę i ściągnął tych łotrów, zanim dopuścili się tych wszystkich zbrodni, zanim sprawili ludziom tyle cierpienia...

– Dmitrij to nie Stalin – stwierdza Naz krótko.

Spoglądam na niego przez ramię.

– Jeszcze nie.

Patrzy na mnie poważnie, z błyskiem w oku.

– Jestem wyszkolony w obsłudze najróżniejszych broni. W działaniach poszukiwawczo-ratunkowych. W obserwacji i w samoobronie. Mam wieloletnie doświadczenie w wojsku, w policji i w ochronie. – Zawiesza głos. – A ty?

– W balecie – odpowiadam spokojnie, patrząc mu w oczy. – I w zaspokajaniu potwornych żądz dewianta.

Siada gwałtownie, podciąga kolana pod brodę i obejmuje je rękami. To pozycja obronna i ten widok sprawia mi ból, bo wiem, że moje słowa go skrzywdziły. Wiem, że stara się nie wyobrażać sobie okropieństw, jakich doświadczałam z ręki Dmitrija, ale bez powodzenia.

– Będzie wiedział, że po niego idziesz – wyjaśniam łagodniej. – Jest przygotowany na każdą okoliczność. Oprócz mnie. Tylko przy mnie traci kontrolę. Jestem nałogiem, z którego nie potrafi się

wyrwać. Miał setki dziewcząt, wszystkich się pozbył. Może nawet tysiące. Ale mnie trzymał siedem lat. Tuż u swego boku, podczas kolacji, spotkań biznesowych, niedzielnych mszy. Jestem jego faworytką. Potrzebuje mnie, na swój chory sposób. Potrzebuje tego, co mu daję. Potrzebuje mojego bólu.

– A ja chcę, żebyś była bezpieczna! – grzmi Naz.

– Dopóki on żyje, nigdy nie będę bezpieczna.

Naz wyskakuje z łóżka i zaczyna nerwowo krążyć wzdłuż niego, nagi, rozemocjonowany, męski i boski, jest jak chodzące dzieło sztuki.

– Nie jesteś odpowiedzialna za to, na czym zależy Killianowi, twój jedyny obowiązek to powrót do zdrowia. To jedyne, czym masz się teraz martwić!

Biorę głęboki wdech, bo to, co muszę powiedzieć, zaboli.

Prawda zawsze boli.

– Naz, mówię to z miłością, bo wiem, że masz wyłącznie dobre zamiary. Musisz przestać mówić, co mam robić. Powiedziałeś kiedyś, że moje życie należy do mnie, i miałeś rację. Szanuj, co mówię, nawet jeśli ci się to nie podoba. Już nigdy nie pozwolę, żeby ktoś mnie traktował jak swoją własność.

Staje jak wryty, z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Ale przecież ja nie... nie mógłbym...

– Wiem, skarbie – mruczę, nienawidząc się za to, że wywołałam u niego tę minę. – Ale po prostu rozważ możliwość, że jestem silniejsza, niż ci się wydaje.

– Wiem, że jesteś! – odpowiada głosem ociekającym emocjami. – Po prostu za bardzo cię kocham, do cholery, żeby patrzeć z założonymi rękami, jak się narażasz!

– Nie proszę cię o to. Chcę, żebyś mnie wysłuchał i przyznał, że mogę mieć rację, choć bardzo ci się to nie podoba. Jeżeli naprawdę jesteśmy drużyną... to musimy zająć się Dmitrijem razem.

Patrzmy sobie w oczy, dzielą nas wielokilometrowe przestrzenie łóżka. Widzę, jak usilnie ze sobą walczy, jak zraniony i bezradny czuje się po tych słowach.

Wiem, że w tej rozmowie nie mogę posunąć się dalej.

Na razie.

Wstaję, podchodzę do niego, bez słowa chowam się w jego ramionach. Przytula mnie tak mocno, że aż boli. Oddech ma nierówny. Czuję dotyk jego rozpalonych, szorstkich policzków.

– Powiedziałeś, że koniec z przeprosinami, ale zasługujesz na jeszcze jedno – mówię w jego tors. – Przepraszam, że cię zasmuciłam. Szanuję twoje uczucia, chęć zapewnienia mi bezpieczeństwa, szanuję cię. Jako mężczyznę i jako fachowca w swoim fachu, ogólnie jako mądrego człowieka. Jestem wdzięczna, że mam cię u boku. – Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy. – Nadałeś znaczenia mojemu marnemu życiu.

Całuje mnie, zaciekle i desperacko, a potem bierze mnie na rękę. Obchodzi łóżko, kładzie mnie na materacu, a potem opatula kołdrą. Nachyla się, by jeszcze raz mnie pocałować, po czym stwierdza stanowczo:

– Przyniosę ci jedzenie. Leż tu i odpoczywaj, dopóki nie wrócę. Nie jestem despotycznym dupkiem, ale nakarmię cię, potem będziemy spali, a ta rozmowa zaczeka, do czasu aż stracę ochotę na wyrwanie sobie wszystkich włosów i sfajczenie tego budynku. Dobrze?

Kiwam głową i uśmiecham się, ściskając jego żylaste nadgarstki.

Naz wstaje, patrzy na mnie z góry czułym wzrokiem. Kręci głową, wzdycha ciężko i odmaszerowuje do łazienki po ubrania, które tam zostawił. Kuleje przy tym bardziej niż wcześniej. Obserwuję, jak wciąga spodnie, przeczesuje włosy palcami i z trudem nabiera powietrza w płuca.

A potem wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 19

Naz

Ta kobieta przyniesie mi śmierć.

Wiem o tym, pogodziłem się z tym i mam to gdzieś. Jest tego warta. Jest warta wszelkiego ryzyka, wysiłku i bólów głowy.

Do kuchni wchodzę powoli, bo udo pulsuje bólem i mam wrażenie, że ktoś miażdży mi płuca w kowadle. Adrenalina zniknęła z organizmu i czuję się kiepsko. Jestem wyczerpany i otępiały, jakbym miał kończyny z łoświu i głowę wypchaną bawełną.

Wyciągam z lodówki lekarstwo Ewy i rozcieram buteleczkę w dłoniach, żeby nieco ją podgrzać, potem odstawiam ją na blat i komponuję tacę serów i owoców. Connor miał rację co do ich ilości, ale w szufladzie lodówki jest też wędlina, tyle że był zbyt niecierpliwy, by ją znaleźć. Odpakowuję więc kilka plastrów indyka i pieczonej wołowiny, i układam je na tacy.

Następnie drapię się po głębie i opieram się o blat, rozważając sytuację.

Ewa nie odpuści w sprawie udziału w likwidacji Dmitrija, to pewne. Pewne jest też raczej to, że jeśli ruszę sam, uzna to za zdradę. Chce, bym szanował jej decyzję. Szanuję i zawsze będę szanował... z jednym zastrzeżeniem.

To ja jestem mężczyzną. Obrońcą. To ja mam ryzykować życiem dla niej, a nie odwrotnie. I nie ma to nic wspólnego z moim zdaniem na temat jej inteligencji, zaradności i tak dalej.

Chodzi o to, że *ja jestem mężczyzną*, do ciężkiej cholery.

Opieka nad Ewą to mój obowiązek i przywilej. To leży w moim DNA. Oczekiwanie, że usunę się w cień, podczas gdy ona ruszy staczać swoje bitwy, jest sprzeczne z męską naturą. Muszę ją chronić. Muszę dbać o jej bezpieczeństwo. *Muszę*, tak jak muszę jeść i oddychać.

Jeżeli jestem przez to staroświecki albo szowinistyczny, trudno.

Chyba jedyne w czym się zgadzamy, to że Dmitrij jest wściekłym psem, którego trzeba uśpić... ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę się jej do niego zbliżyć. Już na samo wspomnienie jego martwych niebieskich oczu, gdy składałem mu cotygodniowe sprawozdania z Cozumel, przechodzą mnie ciarki. Ma poluzowane śrubki w głowie, wiele śrubek, to fakt.

A to, co z nią robił...

– Kurwa!

Wypieram z umysłu szpitalne zdjęcia jej urazów, wzdycham ciężko i ponownie drapię się po twarzy.

To mi w niczym nie pomoże.

Plastikowa butelka z antybiotykami Ewy nadal jest zimna, więc wypełniam rondel w połowie wodą i stawiam go na palniku. Gdy zaczyna wrzeć, przesuwam go na zimny palnik i na minutę zanurzam butelkę w gorącej wodzie. Wyciągam buteleczkę i sprawdzam temperaturę, bo nie chcę wstrzyknąć jej w żyły zimnego płynu.

Zadowolony z tego, że lek jest ciepły, znajduję w leżącej w spiżarni apteczce zestaw do kroplówki. Kręcę głową, nie dowierzając, ile Connor musiał wydać na takie wyposażenie kryjówek rozsianych po całym świecie. Z drugiej strony pobiera od klientów astronomiczne opłaty. Wyrywanie najbliższych z łap porywaczy albo wrogich watażków w jakichś zapomnianych przez Boga dziurach nie jest tanie.

Nalewam wody do dwóch szklanek, które również stawiam na tacy, po czym wracam z jedzeniem i lekarstwem do sypialni.

Ewa leży przykryta po szyję, a kiedy wchodzę, obraca ku mnie głowę. Uśmiecha się, kowadło w mojej piersi lekko popuszcza.

– Urodzony domator – stwierdza, gdy kładę tacę na nocnym stoliku.

- Superbohater trzyma wiele asów w swoim superbohaterskim rękawie.
- Na serio? Robisz też pranie? – pyta podekscytowana.
- Oczywiście, przecież byłem w wojsku.
- Brzmisz, jakby organizowali tam kurs z prania.

Siadam na krawędzi łóżka i rozrywam paczkę z infuzerem.

– Starszy sierżant McCall nauczył mnie podstaw taktyki, technik przetrwania, nauczył mnie jak strzelać, zjeżdżać po linie i maszerować, ale od rekrutów wymagał też idealnie schludnego wyglądu oraz utrzymywania łóżek i sprzętu w nieskazitelnym stanie. – Mimowolnie uśmiecham się na myśl, ile razy mnie łajał za niedotrzymanie standardów. – Do tej pory ścielę łóżko tak, żeby ćwierćdolarówka mogła odbić się od pościeli.

– Myślałam, że to tylko w filmach tak wygląda... – Eva patrzy na mnie zdumiona.

– Niestety, w tym przypadku Hollywood akurat jest wierne. Jeżeli moneta po odbiciu nie wracała ci do ręki, czekało nas pięćdziesiąt pompek i ponowne ścielenie. A jeżeli skrewiłeś za drugim razem, to już nawet pan Bóg nie mógł ci pomóc.

Zwijam razem plasterek indyka z plasterkiem sera i podaję Evie, która zaczyna delikatnie gryźć tę kanapczkę. Przyglądam się jej, dopóki nie kończy, a potem, usatysfakcjonowany, wracam do składania kroplówki.

– Nasz stary sierżant był jak cierń w dupsku i podczas szkolenia podstawowego szczerze go nienawidziłem, ale to dzięki niemu nauczyłem się najważniejszych rzeczy.

– Z przykrością cię rozczaruję... – kwituje Eva z pełnymi ustami – ...ale idealne ścielenie łóżka nie jest szczególnie ważne w kontekście całego wszechświata.

– Chodziło mi bardziej o lojalność – wyjaśniam z uśmiechem. – O obowiązkowość. Szacunek. Samodzielność. Honor. Uczciwość. Osobistą odwagę. Wszystkie filary mojego życia. Rzeczy, dzięki którym jestem, jaki jestem. Proszę, rozgrzałem ci antybiotyk. Nie chcesz mieć w żyłach lodowatego płynu.

Dociera do mnie, że Eva wymownie milczy, dopiero gdy kończę borykać się z zestawem.

Jej oczy są pełne łez.

– Eva?

Siada i daje mi nieporadny, smakujący indykiem pocałunek.

– Jak można być tak cudownym? – pyta przez ściśnięte gardło. – Jak można być tak nieziemsko wspaniałym i dobrym?

Nie mam zielonego pojęcia, czym uruchomiłem tę reakcję, ale nie zamierzam wybrzydzać. Rechocząc pod nosem, wycieram z jej podbródka kawałek sera.

– Kochana, no przecież ciągle ci powtarzam, że jestem nieziemski.

Eva kiwa głową, pociągając nosem.

– Powtarzaj, nie przestawaj. I muszę ci powiedzieć, superbohaterze, że gdyby ktoś inny tak się chełpił, to wyszedłby na pyszałkowatego durnia, ale ty naprawdę zasłużyłeś na te pochwały.

Ujmuję jej twarz w dłonie, całuję ją stanowczo, po czym odsuwam zmierzwiłone włosy z jej policzka.

– Wiem. Jestem tak fantastyczny, że ledwie wytrzymuję sam ze sobą.

Eva wydyma wargi.

– Cud, że nie połamałeś sobie rąk nieustannym poklepywaniem się po własnych plecach, skarbie.

– Jak wielokrotnie mówiłem, dobrze robisz mojemu ego.

Eva pada plecami na materac i uśmiecha się do mnie promiennie. Jej oczy nadal są przesłonięte łzami, ale oprócz tego jasno lśnią.

– Wychodzi na to, że stworzyłam potwora. Czy mogłabym prosić o jeszcze jednego z twoich słynnych zawijasków z indyka? – Mruga do mnie błagalnie.

– Wedle życzenia, ma szanowna damo.

– Ten film też lubię – mówi z uśmiechem, przyjmując ode mnie plasterki indyka i sera.

– Dlaczego nawet się nie dziwię, że wyłapałaś cytaty z *Narzeczonej dla księcia*?

– Może superbohater napotkał kogoś równego sobie... – Teatralnie trzepocze rzęsami. –

Superbohaterkę.

Przyglądam się jej przez moment, zalewa mnie fala tak intensywnego szczęścia, że z trudem łapię oddech.

– Ale przecież cierpisz na straszny, śmiertelny przypadek zespołu superowościinteligencjonalnej – mówię jak najpoważniej. – Myślę, że przez to nie masz prawa do tytułu superbohaterki.

– Hmm... – Przeżuwa z namysłem. – No to może jakiś skromniejszy tytuł. Nieco Ponadprzeciętna Kobieta?

– Za długie – odpowiadam z krzywą miną. – Nie wpada w ucho. Superbohaterowie potrzebują chwytliwych pseudonimów.

– Prawda. Czytałam gdzieś, że Stan Lee początkowo chciał nazwać Spider-Mana Człowiekiem Przylepiającym się do Ścian. Chyba nie zdobyłby podobnej popularności.

– Boże jedyny, wiesz nawet, jak się nazywał dyrektor kreatywny w Marvelu? Jesteś spełnieniem mokrych snów każdego nastolatka.

Eva marszczy nos.

– Fuj, liczę, że jednak znajdziemy mi jakiś inny superbohaterski pseudonim.

Śmieję się, jak zawsze nią oczarowany.

– Kochana, daj mi rękę.

Eva wyciąga dłoń i kładzie ją na mojej nodze. Gdy rozrywam mały pakiecik z gazą nasączoną alkoholem, wzdycha rzewnie i wyciera oczy.

– Boisz się igieł? – pytam zaniepokojony tą reakcją.

– Nie, skarbie – odpowiada cicho. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu się w tobie coraz mocniej bujam.

– Założyć koszulę? Te wszystkie jędrne mięśnie na pewno cię rozpraszają.

– Jedyne, co mnie rozprasza, to twoje ego. Zaczyna zasłaniać słońce. – Puszczą mi oczko.

– Jesteś pewna, że to ego? A może to? – pytam wyszczerzony od ucha do ucha i napinam biceps.

Wbijają wzrok w sufit i kręci głową, ale widzę, że stara się nie śmiać.

– No dobra, bezpseudonimowa superbohaterko, jedziemy z tym koksem. Nie ruszaj się, żebym cię nie pokłuł. – Delikatnie przecieram miejsce, w które chcę się wkuć alkoholem, nie omijając ani kawałeczka skóry wokół. Następnie przygotowuję kateter, zerkam na jej twarz, czy aby wszystko w porządku, i wbijam igłę w żyłę. Wchodzi dobrze, więc umocowuję ją kilkoma kawałkami medycznej taśmy, a potem jeszcze raz przecieram wszystko alkoholem, żeby żadna bakteria się nie prześlizgnęła.

Mruga rozanielona, jakbym dokonał właśnie czegoś niesamowitego.

Kończę przy infuzerze i zwalniam zacisk, żeby lek zaczął płynąć. W tym momencie dociera do mnie, że Killian musiał robić dokładnie to samo i mój uśmiech znów zamienia się w srogiego marsa na czole.

– Jesteś w tym znacznie lepszy od niego – mamrocze Eva, całkowicie mnie zaskakując.

– Och, czyli czytasz też w myślach. Niepokojące.

– Tylko w twoich.

– Naprawdę? – pytam, zerkając na nią z ukosa. – To o czym jeszcze myślę?

Przygląda mi się uważnie, po czym oświadcza:

– Ulżyło ci, że wszystko ze mną dobrze. Jesteś wściekły na Killiana, zły na siebie, że byłeś ranny i przez to nie zdołałeś mnie powstrzymać przed odejściem, błędnie obwiniasz się, że zawiodłeś jako mój obrońca. Poza tym zmagasz się z lekkimi wyrzutami sumienia za wydarzenia w wannie i zastanawiasz się, co począć z moją upartą chęcią uczestnictwa w załatwieniu sprawy z Dmitrijem. Do tego jesteś tak zmęczony, że zasnąłbyś w sekundę, ale prędzej skonasz, dbając o mnie, niż pozwolisz sobie na chwilę odpoczynku. I boli cię noga.

Dobrze, że w pokoju nie ma żadnych owadów, bo siedzę z rozdziawioną gębą przez kilka dobrych chwil.

– Jeżeli szczęście drugiego człowieka jest dla ciebie ważniejsze niż własne, łatwo domyślić się jego uczuć – dodaje Eva czule.

Muszę zacisnąć powieki i wziąć kilka głębszych oddechów, bo inaczej uległbym całkowicie zniewieściałej chęci rozbeczenia się rzewnymi łzami.

– Chodź do mnie, skarbie – mówi.

Czuję, że delikatnie mnie przyciąga, nachylam się, idę w jej objęcia.

– Uważaj na kropłówkę...

– Nic jej nie będzie. Cicho już – rzuca.

Zaciągam się zapachem jej włosów, głaszczę ją po plecach i staram się nie ścisnąć za mocno, choć mam ochotę przytulać ją ile sił w rękach. Eva składa na mojej szyi i ramionach pocałunki tak delikatne i tkiwe, że łamią mi serce.

– Ile czasu możemy tu spędzić? – pyta szeptem.

– Ile będziesz potrzebowała, żeby wydobrzeć.

– I nikt nie będzie nam przeszkadzał?

– Nie. Tylko Connor wie, że tu jesteśmy. Może jeszcze Tabby. Nic nam tu nie grozi.

– A jeżeli będziemy potrzebowali jedzenia? Zaopatrzenia?

Podnoszę głowę i patrzę na nią.

– Wszystkim się zajmę. Czemu pytasz? – Marszczę brwi.

Uśmiecha się nieśmiało, kuląc głowę w ramionach.

– Bo... my jeszcze nigdy... byłoby miło spędzić trochę czasu samemu. Byłoby cudownie móc się obok ciebie budzić. Pooglądać razem telewizję. No wiesz, takie normalne rzeczy. Poudawać, że jesteśmy dwojgiem zwyczajnych ludzi.

Ponownie biorę ją w ramiona, zniewolony tą samą falą emocji, która spadła na mnie, gdy kochaliśmy się w wannie.

– Właśnie to będziemy robili, kochana – odpowiadam ochryple. – Zrobimy sobie małe wakacje, zaznamy odpoczynku.

Eva wtula się we mnie i wzdycha szczęśliwie, składa głowę na moim łomoczącym sercu.

– To dobrze. Potrzebujemy tego.

Owszem, zgadzam się z nią, choć nie mówię tego na głos. Jestem zbyt pochłonięty rozmyślaniami, czy kiedykolwiek będziemy normalnymi ludźmi, czy pobyt w tej kryjówce to nasza jedyna okazja, by posmakować normalności.

Wiem, że Killian miał rację, pisząc, że Dmitrij zajrzy pod każdy kamień, by znaleźć Evę.

Nie wiem tylko, kiedy zajrzy pod właściwy.

ROZDZIAŁ 20

Eva

Naz ciągle się przy mnie uwija i karmi mnie z ręki, jakbym była ptaszkiem ze złamanym skrzydłem, którego znalazł gdzieś pod drzewem. Pilnuje dawek antybiotyku, co rusz poprawia poduszki, na których leżę i przysuwa mi szklanki z wodą pod same usta.

Uwaga, jaką mi poświęca, jest wspaniała. Podejrzewam, że łatwo byłoby mu mnie rozpieścić, mogłabym domagać się takiego traktowania do końca życia.

Oczywiście nie oponuję. Jeżeli okaże się, że moim superbohaterskim imieniem będzie Mega-Diwa, to trudno.

Kiedy już najadłam się do syta, a z buteleczki znika całe lekarstwo, Naz delikatnie wyciąga tubę z katetera, ale igłę i końcówkę zostawia przyklejone do mojej dłoni.

– Nie pamiętam, co się stało z ostatnią igłą.

– Wyjąłem ją – oznajmia, zerkając na puste opakowanie po leku, aby upewnić się, że wszystko spłynęło.

– Naprawdę? Kiedy?

– Jeszcze w trasie.

– Och, a czemu?

– Bo nie chciałem ryzykować, że została źle założona – stwierdza pośpiesznie.

Moje serce tak pęcznieje miłością, że zaraz wybuchnie. Muszę odwrócić wzrok, żeby nie zauważył wilgoci w oczach, bo od razu zaczęłby panikować.

Boże drogi, nikt mnie nie ostrzegł, że miłość będzie tak wyglądała. *Aż tak*. Mam wrażenie, że nieustannie miotają mną huragany i tsunami emocji, wielkie tornada uczuć podrywają mnie w wirze ku niebu, a potem rzucają z taką siłą, że mogę połamać sobie wszystkie kości.

A mówię tu o tym *dobrym* obliczu miłości. Nie mogę sobie wyobrazić, jak wyglądałaby jej strata. Wiele w życiu przetrwałam, ale temu chyba nie dałabym rady.

Serce może pomieścić ograniczoną ilość bólu, później rozpada się na dobre.

Przyglądam się z ogromną satysfakcją, jak Naz gasi światło w sypialni, ściąga spodnie i wchodzi pod kołdrę obok mnie. Delikatnie obraca mnie na bok, a potem wsuwa mi rękę pod szyję, przywiera piersią do moich pleców i udami do ud. Na koniec zanurza twarz w moich włosach i wzdycha.

– Jesteś mistrzem łyżeczki – przyznaję, wpasowując tyłek w jego krocze.

– A ty mistrzynią prowokowania. Przestań się wiercić.

– Dlaczego? No nie mów, że już masz ochotę na powtórkę akcji z wanny – drocę się.

Milczy na tyle długo, że zdążyłam poczuć coś twardego przy tyłku.

– Wow, jestem pod wrażeniem. Musimy jeszcze raz przemyśleć kwestię twojej superbohaterskiej ksywki.

Całuje mnie w kark, kładzie drugą rękę na mojej talii i przyciąga mnie do swojego ciepła.

– Tylko nie nazywaj mnie jak bohatera filmu porno.

– Superpenis? Kutasus Wielgus? Człowiek Erekcja?

– Co ja powiedziałem? – Wzdycha zrezygnowany. – Kiepsko ci idzie wypełnienie poleceń.

Słyszę rozbawienie w jego głosie i też się uśmiecham. Leżymy w przyjemnej ciszy, gdy przychodzi mi na myśl, że może powinnam wstać i iść zgasić światło w łazience.

– Wyłączyć je? – mruczy Naz.

Chyba nie tylko ja umiem czytać w myślach. Uśmiecham się jeszcze szerzej.

– Nie, skarbie. Niech się pali. I tak zasnę za pół minutki.

– To dobrze, bo ja też – mamrocze sennie.

– Pomimo tego zamieszania między twoimi nogami?

– Będę miał przyjemne sny.
– Będę w nich?
Ujmuje moją pierś i delikatnie ściska.
– Zawsze jesteś – szepcze. – Śpij już.
Zasypiam, otulona jego ciepłem i siłą, z piersią spoczywającą w jego dłoni.

Budzę się rozwalona na nim, jak koc.

Przez moment jestem zdezorientowana. Pokój wydaje się obcy, podobnie jak poczucie całkowitego dobrostanu. W tym momencie słyszę tuż przy uchu spokojne, miarowe bicie serca Naza i wszystko sobie przypominam. Biorę głęboki wdech i napawam się zupełnie nowymi doznaniem, które rozgrzewają mnie do szpiku kości.

To radość.

Unoszę głowę i patrzę na Naza. Jego szczękę pokrywa krótki zarost. Gęste, czarne włosy leżą w nieładzie. Oddycha głęboko i równo, trzymając rozłożone dłonie na moich plecach. Nawet przez sen mocno mnie tuli.

Zamykam powieki, przykładam czoło do jego torsu i zmawiam w myślach modlitwę, w której dziękuję za dar, jakim jest ta chwila. Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym zwymiotować tęczę. Po chwili wkładam dłoń pod brodę i pozwalam sobie na bezwstydną podziwianie mojego silnego, przystojnego mężczyzny, zapamiętuję każdy fragment jego twarzy i rozkoszuję się rzadką chwilą spokoju.

Porusza się przez sen, obraca głowę na poduszce, przesuwa dłoń na moją szyję.

– Przestań się na mnie gapić. Wiem, że jestem niebywale przystojny, ale przez ciebie nabawię się kompleksów – mamrocze sennie, nie otwierając oczu.

– Nie chciałam cię obudzić – szepczę.

– Mmm. Miałem sen.

– O czym?

– O takiej jednej kobiecie. – Unosi lekko powieki. – Pięknej i upajającej.

– Tak?

Kiwa głową z pełną powagą.

– Była wysoka i zgrabna. Miała nogi jak tancerka i długie blond włosy.

– Blond?! – Walę go pięścią w klatę.

Uśmiecha się rozkosznie i poprawia mnie na sobie tak, że leżę prościej, piersiami na jego piersi.

– Zazdrosna o sen? To ciekawe.

– Zaraz ci dam „ciekawe” – burczę.

Jego tors trzęsie się w tłumionym śmiechu, Naz wtula moją głowę w swoje ramię i kładzie na niej brodę.

– Dzień dobry, słoneczko – wita mnie.

Burczę pod nosem, udając, że jestem obrażona.

Gdy wbija palce w moje boki, zaczynam pisać i zeskakuję z niego jak oparzona.

– Nie, tylko nie łaskotanie! Aaa!

Nie pozwala mi uciec, łapie mnie, porywa w ramiona i mówi:

– Aha! Znalazłem twój kryptonit! Łaskotki to twoja słabość! – krzyczy zadowolony.

– Łaskotki mnie rozjuszają. Jeszcze raz, a stracisz oko – ostrzegam, wciąż się śmiejąc.

Daje mi soczystego buziaka, po czym odsuwa się nieco z bananem na ustach, żeby przyjrzeć się mojej minie.

– Zgaduję, że nie jesteś rannym ptaszkiem.

– Nie zwalaj tego na porę dnia – odpowiadam, piorunując go wzrokiem. – Poranek nie jest problemem, kolego, problemem są twoje wredne paluszki i zdrady we śnie.

– Zdrady we śnie? Nie ma czegoś takiego.

– Jak najbardziej jest. Zrób to jeszcze raz, a pożałujesz.

Naz głaska kciukiem moją kość policzkową i uśmiecha się pobłaźliwie.

– Niech będzie. Skoro grozisz mi poważnym uszczerbkiem na zdrowiu, to obiecuję, że już nie będę cię zdradzał we śnie. – Gdy mrużę groźnie oczy, dodaje pośpiesznie: – Ani w żadnych innych okolicznościach.

– A żebyś wiedział – burczę, udając złość, bo to świetna zabawa. – Koniec ze zgrabnymi blondynkami, bo będziesz pan gryzł piach, superbohaterze.

Naz rozplywa się w nieopanowanym śmiechu i obejmuje mnie jeszcze mocniej.

– Tak naprawdę nie była blondynką – mówi, gdy już uspokoił się na tyle, by złapać oddech.

– O nie, stary, nie próbuj ratować tyłka nową wersją wydarzeń. Za późno na zmianę zeznań.

– Aha, czyli nie chcesz wiedzieć, jak naprawdę wyglądała kobieta ze snu?

Przechylałam głowę w bok i bacznie mu się przyglądam.

– Stąpasz po bardzo kruchym lodzie.

– Bo nie mogłaby z nią konkurować żadna blondynka na świecie... – kontynuuje, całkowicie mnie ignorując.

– Mhm. Mów dalej, kowboju. Tymczasem ja dokończę polerowanie rewolwerów.

Wzdycha z emfazą godną Oscara.

– Okej, dobra. Widzę, że nie chcesz usłyszeć o jej wdzięku, pięknie i innych powabach. Zachowam więc ten ideał dla siebie.

– Ideał? – pytam zaintrygowana.

– Nie chcę cię tym zanudzać, ale tak – przytakuję.

– W jakim sensie ideał?

Wbijają wzrok w sufit i udaje, że zastanawia się nad odpowiedzią, równocześnie z najwyższym trudem zachowując kamienną twarz.

– Cóż... wyłapuje moje wszystkie przypadkowe nawiązania do cytatów filmowych.

– Trudno to uznać za cechę uzasadniającą miano ideału – stwierdzam, krzywiąc się.

– Zdziwiłabyś się.

– I to wszystko?! Tylko tyle masz?!

– Gdybyś tylko przestała krzyczeć i pozwoliła mi... – Ponownie patrzę na niego z udawaną złością. – Jak napomknąłem, zanim nietaktownie mi przerwano, cytaty z filmów to tylko początek. Mamy też jamniczy fetysz... jak wiadomo świetna sprawa... skłonność do paplania, co jej ślina na język przyniesie, absolutną nieumiejętność formułowania kłamstw, dziwaczne poczucie humoru...

– Dziwaczne?! Jak dziwaczne?! Jestem zabawna!

– ...zamiłowanie do sukienek w stylu wóra na ziemniaki. Och, byłbym zapomniiał, jest też dość bystra. I urocza. I ma zabójcze cyce. – Porusza sugestywnie brwiami.

– Cyce – powtarzam oziębło. – Nazywasz moje piersi cycami? Aleś ty rycerski.

Patrzy na nie, a leżą akurat rozpląszczone na jego torsie, i szczerzy zęby.

– Kochana, te słodziaczki są najwspanialsze na świecie, dosłownie.

– Tak? Czyli widziałeś wszystkie inne, co?

Mruga i patrzy z miną niewiniątka.

– Naturalnie. Jakbyś miała rentgenowski wzrok, to też zagłądałabyś wszystkim pod ciuchy.

– No tak, kolejna nadludzka zdolność superbohatera, hmm?

– Tak jest. Tak ogromny talent to ciężkie brzemie, wierz mi. Nawet nie pytaj o moją superbohaterską siłę. Nie masz pojęcia, ile słoików z kiszonymi ogórkami strzaskałem przy otwieraniu.

Patrzemy sobie w oczy, po czym wybuchamy śmiechem, dokładnie w tym samym momencie.

– I to niby ja mam dziwaczne poczucie humoru? Sam jesteś popieprzony. – Przystaję się śmiać, gdy tylko te słowa opuszczają moje usta.

Killian tak mnie określał: *popieprzona*. Nie używałam wcześniej tego przymiotnika w tym kontekście i niepokoi mnie, że go powtórzyłam. Zwłaszcza tutaj, teraz.

W łóżku z Nazem.

– Oho – rzuca i bacznie mi się przygląda. – Myśli. Czuję ten swąd.

Przełykam ślinę, moje tętno przyśpiesza.

– Ja... o, rany. Nie spodoba ci się to.

Naz zamiera, jego wielka sylwetka nieruchomieje.

– Już mi się nie podoba. Wyrzuć to z siebie.

– Myślałam właśnie... o Killianie.

– I tyle? – pyta po dłuższej chwili wyczekiwania, czy coś dodam.

Przechyliłam głowę, spoglądałam w jego twarz.

– Nie jesteś zły? – Wygina brew, zachęcając, bym kontynuowała. – Leżymy w łóżku, a ja pomyślałam o Killianie. Gdy w podobnej sytuacji wspomniałam o Dmitriju, nie byłeś zachwycony.

– Oczywiście, że nie byłem – odpowiada pośpiesznie. – Kiedy jesteśmy razem w łóżku, chciałabym, żebyś myślała tylko o mnie. Ale przecież ty i Killian nie... – ucina i patrzy na mnie z przerażeniem, nagle blednie.

Podpieram się na łokciu, kładę dłoń na jego torsie i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie. Mówiłam ci, że nawet mnie nie dotknął w taki sposób. Ale...

– Ale co?! – Zrywa się do pozycji siedzącej zdumiewająco gwałtownie. Ja też siadam prosto, zasłanianiem piersi kołdrą.

– Pocałował mnie. Nie, to nie do końca prawda. Ja go pocałowałam.

– Pocałowałaś go... – powtarza powoli, jego wargi są tak spięte, że ledwie się poruszają. –

Dobrowolnie?

– Tak.

– Faceta, który cię porwał, pobił, zabił załogę i obciął ci włosy?

– Sama je sobie obciąłam – wyjaśniam, ale sądząc po minie Naza nie jest to w tej chwili najistotniejszy wątek. – Tak, pocałowałam go, ale pod przymusem. Zagroził, że jeśli go nie pocałuję, to zabije Raphaela.

Naz siedzi nieruchomo i po prostu na mnie patrzy.

– Okej – wzdycha po chwili.

– Eee, jak to „okej”?

– Skręca mnie na myśl o jego mordzie na twoich ustach, skręca mnie na myśl, że musiałaś to wszystko przejść, z całowaniem tego skurwiela włącznie, no ale nie chciałaś tego. Pocałowałaś go, bo myślałaś, że komuś tym pomożesz. Dziękuję, że mi powiedziałaś. Czuję się lepiej, gdy już wiem. I przepraszam, że się tak zjeżyłem i cię wystraszyłem. Nie chciałem, następnym razem bardziej się postaram.

– Następnym razem?

Naz rechocze, nisko i groźnie.

– Jestem pewien, że jeszcze nie raz będę o ciebie zazdrosny. W przyszłości napatoczy się pewnie tabun facetów, którzy będą chcieli cię całować. To nie twoja wina. Natomiast dziś ostatni raz cię przesłuchiwałem. Ufam ci, a ty musisz ufać mnie. W każdej sprawie. Wiem, że jeśli będę się zachowywał jak nastoletni przygłup, to mi nie zaufasz. – Nabiera powietrza przez rozdęte nozdrza. – A poza tym, rozerwę tego sukinsyna kończyna po kończynie, ułożę stos z jego kości i spalę...

Nachylam się i całuję go, by zatrzymać ten potok gróźb, bo widzę, że dopiero się rozkręca.

Obejmuje mnie i przyciąga bliżej, ciągnie nas do tyłu na materac i zarzuca na mnie ramię. Przez chwilę leżymy w ciszy, czuję, że jego puls spowalnia do mniej zabójczego poziomu.

– W pewnym sensie mam u niego dług – stwierdza Naz ściśniętym głosem.

To tak zaskakujące, że na moment odbiera mi mowę.

– Jak to?

– Gdyby nie on, byłabyś teraz z Dimitrijem i Bóg jeden wie, jak bardzo byś cierpiała.

– Och, skarbie... – Zamykam oczy, przykładam twarz do jego torsu. Wiedzie palcami wzdłuż mojego kręgosłupa, muskając każdy mijany krąg, jego dotyk jest tak delikatny, że przechodzą mnie ciarki.

– Chcesz powiedzieć mi coś jeszcze? – pyta łagodnie.

– Oprócz tego, że cię kocham? – Zastanawiam się. – Zadzwoiłam do Dimitrija ze szpitala.

– Wiem.

– Tabby?

- No.
- A zamieszanie na kontach bankowych Raphaela?
- Też – potwierdza.

Pozwalam sobie na chwilę zadumy nad imponującą inteligencją i zdolnościami mojej nowej przyjaciółki, kobiety absolutnie jedynej w swoim rodzaju.

- Czy ona czegoś nie potrafi?
- Nawet jeśli, to ja nie mam o tym pojęcia.

– Wychodzi na to, że Raphael współpracował z Dmitrijem – mówię po chwili, zebrawszy myśli. – Killian wspomniał coś o młodych dziewczynach. Dziewczynach Dmitrija. Powiedział, że zna niewielu ludzi, którzy odpowiadali za tyle cierpienia co Raphael. Z tego, co zrozumiałam, był kimś w rodzaju kuriera.

- Handlarza. Obracał bronią, narkotykami i ludźmi – wyznaje.

Gdy wzdycham z niedowierzaniem, Naz pyta:

- Co?
- To że... był dla mnie taki miły. Wyrafinowany, elegancki i po prostu... życzliwy.
- Nawet najapetyczniejsze jabłka bywają pełne robaków – komentuje to mrocznie.

Przypominam sobie słodką, anielską twarz Dmitrija i przechodzą mnie ciarki. *Coś o tym wiem.*

- Czy Dmitrij w ogóle się z tobą kontaktował?
- Nie. Ostatni kontakt nawiązał, gdy zadzwonił do Metrixa, żeby zrezygnować z naszych usług.
- Gdy nadal udawał, że nie ma pojęcia, co się między nami dzieje, równocześnie organizując na

nas zamach.

- Właśnie.
- Kiedy ja z nim rozmawiałam, powiedział, że jeśli do niego wrócę, zostawi cię w spokoju...
- Nie wracaj do tego, błagam. Nie jestem jeszcze mentalnie gotowy na tę rozmowę – prosi, a jego

ton przyprawia mnie o ciarki.

- Tylko myślę na głos.

Naz oddycha nieco lżej, a ja całuję go w pierś.

– Zmierzam do tego, że dogadałam się z nim, a potem pojawił się Killian. Jesteśmy zgodni, że Killian chce czegoś od Dmitrija, ale czy wiemy, kim on w ogóle jest? Skąd się wziął? Nigdy wcześniej go nie widziałam, czyli nie należał do otoczenia Dmitrija.

- Uważamy, że jest szpiegiem.
- Szpiegiem?! Jak James Bond?

– Boże, nienawidzę tego gnojka do szpiku kości – odpowiada Naz oschle.

Wiem, że nie chodzi mu o Jamesa Bonda i że w moim tonie było nieco zbyt wiele podziwu.

– Nie chciałam zabrzmieć, jakby to było coś fajnego. Po prostu jestem zaskoczona. Wyglądał bardziej na ulicznego oprycha. Nie wyobrażam sobie, że przyjmuje od kogoś rozkazy.

Naz wypuszcza głośno powietrze z płuc.

- Jeśli mamy co do niego rację, to nie przyjmuje.

– Aż boję się zapytać – mówię po chwili.

Naz obraca się przodem do mnie, całuje mnie, po czym delikatnie muska kosmyk moich włosów.

- Więc, opowiedz o tej zabawie w fryzjera.

– Nie wyjaśnisz, o co chodzi z Killianem? – pytam, bo naprawdę mnie to ciekawi.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę to imię z twoich ust, wybuchnie mi głowa.

– Czaję. Włosy. No więc Kil... Ten, Którego Imię Będzie Przemilczane złapał mnie za nie... – urywam, bo oczy Naza zachodzą czernią. – Wiesz co, po prostu nabrałam ochoty na nową fryzurę.

Naz zaczyna się śmiać, tyle że raczej wisielczo niż radośnie.

- Jesteśmy zjebani.

– Wszyscy są, wielkie mi halo.

– Nie przeszkadza ci to? – pyta z nieco łagodniejszym spojrzeniem.

– Żartujesz? Według mnie jesteśmy uroczy. Choroby umysłowe, urazy psychiczne, rany emocjonalne, głębokie dysfunkcje i tak dalej...

– Z całym szacunkiem, ale ja nie mam żadnych chorób umysłowych – stwierdza z udawaną urazą.

– Naprawdę? Bez dłuższego namysłu wymieniałabym ci pięć.

– Pewnie – prycha. – Wymień choć jedną.

Zaczynam odliczać, prostując kolejne palce.

– Narcystyczne zaburzenie osobowości. Przeciwiństwo dysmorfofobii, jakkolwiek je nazywają.

Zespół uporczywego pobudzenia genitaliów...

– Rzeczywiście, masz się na co skarżyć...

– ...i, na koniec najgorsze, zespół nadmiernego przywiązania do krótkich bojówek, który, co godne pożałowania, występuje dość często wśród samców w twoim wieku, którzy mają wojskową przeszłość i nikt ich nie nauczył, że można ubierać się w coś bez wzorów maskujących i nadliczbowych kieszeni.

Patrzy na mnie, jakby wokół mojej głowy zgraja cherubinków z harfami hasała na tęczycy ze stadkiem jednorożców.

– To tylko cztery, kochana – mruczy głosem przepelnionym miłością.

– Daj mi chwilkę, dopiero się rozgrzewam. – Rozglądam się po pokoju, marszcząc czoło. – Gdzie się podziała moja encyklopedia zdrowia psychicznego?

Przyciąga mnie do siebie, całuje, a następnie kładzie się na mnie, obdarzając mnie swoim cudownym ciężarem.

– Myślę, że możemy zająć się czymś ciekawszym.

Jego erekcja już mnie nie dziwi, ale w kontekście ostatniej rozmowy, jest bardzo zabawna.

– Nie wątpię – odpowiadam.

Zajmujemy się czymś ciekawszym bez dalszej zwłoki.

ROZDZIAŁ 21

Naz

Następnych sześć dni spędzamy w naszej uroczej, prywatnej bańce, w której zapominamy o całym świecie. Nie oglądamy wiadomości, nie czytamy gazet, nie korzystamy z internetu. Być może w stronę Ziemi leci już asteroida, który zniszczy wszelkie życie, mamy to gdzieś. Myślimy wyłącznie o sobie nawzajem.

Moje dłonie poznają wszystkie krągłości jej ciała. Uczę się cichych dźwięków, które wydaje we śnie. Obliczam, jak długo doprowadzam ją do orgazmu ustami, a jak długo fiutem, a w toku tych doświadczeń ona zawsze cała drży albo krzyczy. Poznaję różne sposoby, w jakie wypowiada „kocham cię” z zamkniętymi oczyma.

Wykopałem spod ziemi cząstkę siebie, która była pogrzebana tak długo, że uznałem ją za straconą na zawsze. Eva przywraca mnie do życia, na bardzo wielu płaszczyznach. Jestem jak Łazarz wskrzeszony siłą miłości.

Moją wdzięczność przyćmiewa jedynie poczucie szczęścia. Mam dojmujące wrażenie, że los obdarzył mnie dobrami, na jakie nie zasłużyłem.

Lecz z każdą mijającą minutą czuję w trzewiach coraz gęstszych mrok. Czarne ziarno wypuściło korzenie i wyrósł z niego naprawdę wstrętny kwiat.

Wisi nad nami obecność Dmitrija, choć teraz jest gdzieś daleko.

Przenika wszystko, od sporadycznych, nagłych chwil ciszy, po sposób, w jaki Eva zerka na zegar, jakby chciała zatrzymać upływający czas. Oboje mamy bolesną świadomość, że to tylko przelotna chwila oddechu wyrwana z zawieruchy, do której wkrótce będziemy musieli wrócić i nieważne, jak usilnie staramy się okiełznać burzowe chmury, nasz piękny horyzont staje się coraz mroczniejszy.

Siódmego dnia pobytu w naszym skradzionym rajku dostaję od Connora telefon, który ostatecznie przekłująca naszą cudną bańkę.

– Jak się masz, brachu?

– Dobrze – odpowiadam, uśmiechając się do Evy, która leży na podłodze w salonie, zajęta wyglądającymi na cholernie bolesne ćwiczeniami rozciągającymi. – Pojawiło się coś nowego od naszej rozmowy sprzed kilku dni?

Kontaktowaliśmy się dwukrotnie. Raz, gdy wrócił do Nowego Jorku i chciał mi dać znać, że w firmie wszystko na medal, tyle że federalni i gliny nadal chcą mnie przesłuchać, i ponownie dwa dni temu, gdy chciał się dowiedzieć jak zdrowie Evy. Poprawia się z dnia na dzień. Wczoraj odwiedził nas lekarz i był zadowolony z postępów.

– W gruncie rzeczy tak. Mamy coś nowego.

Jego ton sprawiał, że na chwilę zamarłem.

– Kiepsko to brzmi.

Eva gwałtownie siada i patrzy na mnie, blednąc.

– Szczerze mówiąc, jeszcze tego nie rozgryzłem. Wiem tyle, że wygląda to pojebanie.

Siadam na sofie, Eva przysiadła się obok po turecku i nie odkleja wzroku od mojej twarzy.

– Ale co jest? – pytam.

– Przyszedł tu list, do ciebie.

– List? – dziwię się. – W sensie, że pocztą?

– No.

– Od kogo?

– Od Killiana.

Tracę dech, jakby ktoś kopnął mnie z półobrotu w klatkę. Eva sztywnieje.

– Skarbie? O co chodzi?

Unoszę palec. W mojej głowie szaleje zawierucha pytań, na przykład skąd znał adres, na który wysłać list?

– Przeczytaj.

Słyszę szelest papieru, a potem baryton Connora.

– Cytuję: „Naz, musimy pogadać. Zadzwoń zaraz, jak to dostaniesz”. I podpis jego imieniem.

Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale zamierzam się dowiedzieć jak naj-kurwa-szybciej.

– Podaj numer.

– Nie ma.

– To jak mam do niego zadzwonić?

– Nie podał numeru Evie?

– Czy Killian podał ci numer kontaktowy? – pytam, obracając ku niej głowę.

– Nie – odpowiada zaskoczona.

– Na pewno?

– Tak, na pewno – odpowiada z groźnym wzrokiem.

– Nie podał – zwracam się ponownie do Connora. – O chuj chodzi?

– Nie wiem, brachu. Mówiłem, że to pojebane.

– Niech pomyślę... – Mój umysł w kilka sekund przegląda i odrzuca różne opcje. Za jedyne logiczne wyjaśnienie uznaję to, że Killian zostawił numer kontaktowy w kryjówce na Azorach. Ale gdzie dokładnie? Nie zdążyliśmy przeszukać całego lokalu.

Cholera. Mam tam wrócić? Czy tego właśnie chce?

Zasadzka?

– Co się dzieje? – pyta Eva, pukając mnie palcem w ramię.

– Killian przysłał mi do firmy wiadomość – wyjaśniam rozkojarzony, bo nadal intensywnie myślę. – Chce, żebym zadzwonił. Staram się wykminić, jak mam to, kurwa, zrobić, nie mając numeru.

– Jak szpieg przekazałby drugiemu szpiegowi informację, żeby normalny człowiek jej nie zauważył? – rzuca bez chwili namysłu. Patrzę na nią, unosząc pytająco brew. – No wiesz, jakiś szyfr albo skrzynka kontaktowa, coś w ten deseń.

– Wolę nie pytać, skąd wiesz o szyfrach i skrzynkach kontaktowych – burczę, lecz w tym momencie zapala mi się lampka nad głową.

Szyfr.

Zeskakuję z sofy i biegnę do sypialni, Eva podąża tuż za mną. Connor mówi coś w słuchawce, ale chwilowo go ignoruję, bo jestem zajęty przetrząsaniem ubrań, które miałem na sobie tamtego dnia w kryjówce Killiana.

W jednej z kieszeni kamizelki taktycznej wyczuwam kartkę papieru. Wyciągam notatkę, którą zostawił nam Killian i bacznie się jej przyglądam. Podnoszę ją do światła.

– Kochana, podaj ołówek.

Eva podbiega do szafki nocnej, otwiera pośpiesznie szufladę i szuka w środku. Nie znajduje, czego szukała, więc pędzi sprintem do salonu. Wraca, zanim zdążyłbym policzyć do dziesięciu i wyciąga do mnie rękę.

– Connor, zaczekaj sekundkę.

– Zrozumiałem.

Biorę od Evy ołówek, podaję jej telefon, rozkładam na szafce nocnej wymiętoloną kartkę i delikatnie zacieniam obrzeża płaską stroną wkładu, wypatrując jakichkolwiek znaków lub symboli, odbić słów napisanych na innej kartce z silnym naciskiem ołówka lub długopisu.

Nic nie ma.

Okej, dalej.

Ruszam do kuchni i uruchamiam palnik kuchenki, Eva cały czas jest tuż za mną. Unoszę list nad płomieniem na tyle blisko, żeby złapał trochę temperatury, ale na tyle daleko, żeby się nie zajął.

– Boże, ale ja jestem mądra – stwierdza Eva, zerkając mi przez ramię. Gdy kręcę głową, patrząc na cyfry, które pojawiły się przy dolnej krawędzi kartki, dodaje: – Na serio. Jestem mądra, co nie? Mówimy tu o geniuszu w skali Einsteina. O inteligencji na pozaziemskim poziomie.

- Widzę, że zapoznałeś się z moim elementarzem skromności.
- Chciałeś powiedzieć elementarzem galaktycznego ego.
- Właśnie. Podaj mi telefon, proszę – oznajmiam, wyciągając dłoń w jej kierunku.

Gdy spełnia moją prośbę, rzucam do Connora.

- Jesteś tam jeszcze?
- Jestem, co masz?

– Killian zostawił mi numer zapisany czymś niewidocznym gołym okiem. Zgaduję, że sokiem cytrusowym nałożonym szmatką.

- Odrobinę staroświecko, ale muszę przyznać, że z klasą – odpowiada po chwili.

Naprawdę, ale to naprawdę nienawidzę tego tajemniczego faceta.

– Zaraz do ciebie oddzwonię. – Rozłączam się i wybieram nowy numer, zanim zdążył odpowiedzieć.

Killian odbiera po pierwszym sygnale, wita mnie niskim, opryskliwym tonem.

- Nie śpieszyłeś się.
- Spierdalaj, dupku. Czego chcesz? – warczę.
- Co u niej?

Ciepło rozlewa mi się po szyi.

– Nie twój zaszary interes. Czego ode mnie chcesz? I skąd wiedziałeś, jak się ze mną skontaktować? I kiedy możemy się spotkać, żebym mógł ci przemodelować mordę za to, w jakim zostawiłeś ją stanie?

Słyszę głęboki wdech i wydech, a potem ciche pytanie:

- Antybiotyki działają?

Muszę zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu, żeby nie wypuścić na wolność krzyku, który próbuje wyrwać mi się z gardła.

– Dobrze, widzę, że nie ruszymy z tematem przed raportem medycznym. Więc słuchaj, bo nigdy więcej nie będę z tobą o niej rozmawiał. Tak, antybiotyki działają. Gratuluję, kurwa, raz udało ci się postąpić słusznie – rzucam zirytowany, mając nadzieję, że to mu wystarczy.

- Jakieś skutki uboczne? Je? Pytała o mnie?

Żar rozlewa się z szyi na policzki i uszy. Eva patrzy na mnie, przygryzając kciuk, nie mruga, chłonie każde słowo. Siniak na jej lewym policzku już zbladł, jest ledwie widoczny.

- Nie. Tak. Nie – warczę. – A teraz mów, czego chcesz.

- Chcę, żebyś dał Evę do telefonu.

Wybucham śmiechem, ale nie jest to wyraz rozbawienia.

- Prawdopodobieństwo zaistnienia tego wydarzenia wynosi niemal zero – rzucam bez wahania.

- Muszę przeprosić – wyznaje błagalnie.

- Przekażę.

- Gównu przekażesz.

- Przyłapałeś mnie. Fajnie się gawędziło, palancie, ale muszę spadać.

– Kiedy się dowie, że chciałem z nią porozmawiać, a ty mi nie pozwoliłeś, nie będzie zachwycona – syczy, będąc pewnym swoich racji.

– A ty nie będziesz zachwycony, gdy wywiercę ci dziurę w brzuchu i uduszę cię własnymi jelitami.

Po chwili ciszy parska śmiechem.

– Ach, no tak. Miłość – rzuca ironicznie, po czym dalej szydzi: – Uczucie, które przekształca człowieka w bredzącego kretyna z zamiłowaniem do dramatyzowania i brakiem instynktu samozachowawczego. Muszę przyznać, że mnie to fascynuje. – Śmieje się. – Zanim was poznałem, nie miałem okazji obserwować tego zjawiska z bliska. Czy to uczucie jest równie niedorzeczne, jak się wydaje?

Odpowiadam mu szczerze, prosto z serca, patrząc na piękną twarz Evy.

– Jest jak gwiazdka, letnie wakacje i spełnienie wszystkich życzeń wypowiedzianych nad urodzinowymi tortami. Jakbyś znalazł coś, z czego zgubienia nigdy nie zdawałeś sobie sprawy, ale teraz

nie rozumiesz, jak mogłeś bez tego funkcjonować. – Wzdycham z nadmiaru emocji. – Jest jak piorun. Jak ogień. Ale też jak najwygodniejsze łóżko na świecie. Jak wszystko, czego mógłbyś zapragnąć, ale na co nie zasłużyłeś i czego nigdy nie będziesz godny. Jak magia, fajfusie.

Podaję telefon Evie i mówię:

– Jeżeli powie choć słowo, które ci się nie spodoba, wywalę telefon przez okno.

Eva patrzy, jak krzyżuję ręce na piersi i opieram się o kuchenkę. Potem przykłada komórkę do ucha.

– Nigdy więcej go nie denerwuj – warczy, a potem słucha. – Nie, bo mnie też to denerwuje. – Znowu słucha, a potem wzdycha. – Tak, mam świadomość, że dużo przeklina.

Rozglądam się za czymś do rozwalenia, ale Eva kładzie mi dłoń na ręce i kręci głową, czym zapobiega eksplozji.

– Skąd wiedziałeś, że Naz pracuje w Metrix? – pyta, po czym na jej twarzy rysuje się poczucie winy. – Och, nie przypominam sobie tego. – Słucha i odpowiada: – Tego też nie. Często wyciągasz informacje z na wpółmartwych osób? – Patrzy w sufit, jakby prosiła o pomoc jakiejś siły wyższej. – Killian. Przerabialiśmy to. Wcale mi się nie podobało.

Pokazuję jej niecierpliwie, by oddała mi telefon, ale unosi palec, jak ja wcześniej, dzięki czemu przekonuję się na własnej skórze, jakie to irytujące.

Następnie odpowiada na błyskawiczną serię pytań, bo mówi bardzo szybko.

– Nie. Tak. Nie jestem pewna. Może. Nie... nie! Och, proszę, ogarnij się. Nie jesteś nawet w połowie tak interesujący, jak ci się wydaje.

– Dość tego. – Wyciągam ręce po telefon. – Oddaj.

– Chwileczkę, skarbie – szepcze, po czym wraca do rozmowy z moim arcywrogiem, jakbym wcale właśnie nie stał na skraju wylewu. – Miałeś coś ważnego do powiedzenia, czy naprawdę chciałeś porozmawiać tylko o pocałunku? – Patrzy na mnie, obserwuje moją minę z błogim wyrazem twarzy. – Oczywiście, że mu powiedziałam. Nie mam przed nim tajemnic. – Jakkolwiek odpowiedział, Eva znowu wbija błagalny wzrok w sufit. – Żałuję, że ci o tym wspomniałam. – Słucha, odpychając moje próbujące wyrwać jej telefon ręce, po czym mówi cierpko: – Wiesz co, Killian, jak na kogoś, kto szczyci się, jaki to jest zimny, jakim to jest samowystarczalnym mordercą, jak to nie potrzebuje nikogo ani niczego, jesteś bardzo zainteresowany związkami.

– Zaraz mu pokażę związki! – krzyczę. – Związki między moimi nabojami a jego łbem.

W odpowiedzi na kolejną odpowiedź Killiana, Eva przewraca oczami.

– Tak, znowu grozi ci śmiercią, ale winisz go? Jesteś ogromnie irytującym człowiekiem. – Podaje mi telefon, ma rozdrażnioną minę. – Masz. Nie mam siły się z nim użerać.

Eva kładzie się na podłodze w salonie i wraca do rozciągania.

Przez moment podziwiam elastyczność nie tylko jej ciała, ale także umysłu. Jej zagadkowy, zaskakujący, czasami niezgłębiony umysł, który nigdy nie pęka pod koszmarnym ciężarem wspomnień i lęków, które musi w sobie nosić, ale zawsze wygina się z gracją.

– Jesteś tam? – rzucam, przykładając komórkę do ucha.

– Jestem.

Uśmiecham się, bo wyłapałem w jego tonie przygnębienie.

– Coś żeś markotny – rzucam ze śmiechem.

– Nie napawaj się tak, nie pasuje ci to.

– Skoro już rozmawiamy, co powiedziałaś Dmitrijowi o Evie?

– Że się w sobie zakochaliśmy i że Eva nosi moje dziecko.

Następne uderzenie mojego serca jest osobliwie chybotliwe, jak przewracający się o własne nogi pijaczyna.

– Na serio...

– Nie... – wzdycha, znowu brzmi na przygnębionego – ...po prostu chciałem cię wkurzyć.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem.

– Ano, słyszę, jak strasznie ci przykro – mówi cierpko.

– Dobra, może to niegrzeczne, ale muszę zauważyć, że nie dostrzegam sensu tej rozmowy.

Zechcesz mnie oświecić?

Słyszę, że się porusza i wyobrażam sobie, jak maszeruje po jakimś opuszczonym magazynie, a w tle, w cieniu, siedzi przywiązany do krzesła, zakrwawiony człowiek.

– Myślałem o czymś, co usłyszałem od Evy.

Od razu skacze mi ciśnienie. Spodziewam się jakiejś cwaniackiej uszczypliwości o ich pocałunku, a jednak Killian zaskakuje mnie odpowiedzią.

– Ona chce zabić Dmitrija. Zakładam, że o tym wiesz.

– Kontynuuj... – mówię ostrożnie.

– No więc, ja też chcę go zabić. Ty na pewno tak samo.

Niedowierzenie, z jakim przychodzi mi się mierzyć, przerasta pojemność mojego mózgu. Jeżeli on sugeruje to, co mi się wydaje, to gość *oszalał*.

– Chyba sobie żarty stroisz.

– Ale że co?

– Sugerujesz, kurwa, żebyśmy połączyli siły? O to ci, kurwa, chodzi? Ja pierdołę, proponujesz odstawienie jakiejś pojebanej wersji *Trzech muszkieterów*, ratujących świat przed złoczyńcą?

– Wiesz co, musisz coś zrobić z tą swoją zapiekłą wrogością do ludzi. I z językiem. Przekleństwa to nie przecinki.

– Powiedział facet, który uważa, że lanie kobiet i wymordowywanie całej załogi jachtu dla zabawy to szczyt ogłady – odpowiadam oschle. – Dziękuję za wykład z dobrych manier, kutafonie, ale twoje poglądy są naprawdę poryte.

– Dziewczynę oszczędziłem – odpowiada urażony.

– Najmocniej, kurwa, przepraszam, dzwonię do Watykanu, żeby rozpoczynali proces kanonizacyjny.

– Nie zapytasz, dlaczego to zrobiłem? Miałem powody.

Już rozumiem, dlaczego Eva wbijała wzrok w sufit, błagając Boga o pomoc. Jeszcze kilka minut rozmowy z tym palantem i puszczę gaz w kuchence.

– Mam przeczucie, że i tak mi powiesz.

– Była nowa. To był jej pierwszy rejs na tym jachcie.

Nie dodaje nic więcej, ale wiem, do czego zmierza. Dziewczyna z załogi nie maczała palców w brudnych interesach państwa Bergé. Nie mam pojęcia, jak ustalił jej niewinność, ale ewidentnie chce mi pokazać, że ma skrupuły, nawet jeśli mocno wykolejone.

Gdyby nie jedno „ale”.

– Czyli to nie miało nic wspólnego z tym, że ktoś musiał przekazać straży wybrzeża informacje na temat waszego celu?

Krótką pauza.

– Nie zrozum mnie źle, ale odniosłem wrażenie, że przyda ci się pomoc – wyznaje stanowczym tonem.

– Super. Dzięki za info. Killian, fajnie się gadało. Miłego życia.

– Czekaj, to nie koniec, nie rozłączaj się.

– Och, zamieniam się w słuch... – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– W przyszłym tygodniu spotykam się z Dmitrijem w Pradze, mamy dokonać wymiany. – Nie komentuję, więc kontynuuję: – No przestań, przecież wiem, że umierasz z ciekawości.

– Czy rodzice cię kiedyś prosili, żebyś uciekł z domu?

– Oczywiście, że nie.

– Ach, no tak. Ty nie masz rodziców. Jesteś z próbówki – syczę, zmęczony tą rozmową.

– Dobra, jak nie chcesz wiedzieć, czym się wymieniamy, to ci nie powiem. Przecież wcale nie porwałem dla tej sprawy twojej dziewczyny...

– Chryste panie, ale z ciebie kutas... – burczę.

– Prawdę mówiąc, jestem bardzo fajny, tylko trzeba mnie lepiej poznać.

– Skarbie, z twojej szyi zerka na mnie dość straszna żyła – mówi Eva z podłogi. – Może porozmawiasz sobie z Killianem później?

– Usłyszałem moje imię! – mówi głośno. – Co powiedziała? Chce jeszcze ze mną pogadać? Daj ją do telefonu.

Kręcę głową, słysząc tę desperację w jego głosie.

– Wiesz, że fakt, że zabujałeś się w mojej kobiecie, będzie stanowił problem – mówię szczerze, nadal mając ochotę zobaczyć jego martwe ciało.

– A nie powinien, no chyba że nie jesteś pewien jej uczuć... – odpowiada przemądrzale. – Jesteś niepewny siebie, Naz?

Odpowiadam dopiero po kilku sekundach fantazjowania na temat rozmaitych metod, którymi mógłbym zakończyć jego życie.

– Opowiadaj o spotkaniu w Pradze.

– Uznam tę zmianę tematu za potwierdzenie.

– To nie było potwierdzenie. Kurwa. Po prostu staram się przywrócić tę rozmowę na właściwy tor, bo zboczyła na głębokie manowce.

– Spotkajmy się przy Madonnie z Pócs w katedrze świętego Stefana w Wiedniu, jutro w południe – proponuje. – Wszystko ci opowiem.

– Nigdzie się z tobą nie spotykam, a już na pewno nie w miejscu, które sam wybrałeś – odpowiadam z niesmakiem.

– Myślałem, że chcesz mi przerobić gębę – odpowiada swobodnie.

– Możliwe, że jesteś najbardziej upierdliwą osobą, z jaką miałem do czynienia.

– I weź ze sobą Evę. Jest elementem tej sprawy, czy ci się to podoba, czy nie.

– Eva się do ciebie nie zbliży! – ryczę, czując, że naprawdę zaraz oszaleję.

– Zobaczymy. I nie próbuj oddzwaniać, bo ta komórka zaraz leci do spalarki.

Linia milknie.

Stoję i gapię się ponuro w niemy telefon na tyle długo, że Eva przerywa ciszę łagodnym pytaniem.

– To gdzie mamy się z nim spotkać, skarbie?

Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że Killian wiedział, że odmówię spotkania i że obecna tuż obok Eva to usłyszy i zareaguje na moją odmowę tak, a nie inaczej.

Naprawdę z przyjemnością popieściłbym jego plecy skrobaczką do sera.

ROZDZIAŁ 22

Eva

Naz się nie odzywa, choć od rozmowy z Killianem mija już pół godziny. Stoi przy oknie w salonie i patrzy na morze, jakby było jego śmiertelnym wrogiem, a pięści zaciska równie mocno jak szczęki.

Kiedy w końcu ochłonał, przychodzi do sypialni, gdzie siedząc na fotelu czytam książkę. Klęka obok i zakopuje twarz w moich udach. Bawię się jego włosami i cierpliwie czekam, aż się odezwie.

– Nie chcę cię brać – mówi wprost w moje nogi, więc jego głos jest stłumiony.

To oczywiste, że nie chodzi mu o seks.

– Wiem, skarbie.

– Tam będzie niebezpiecznie. Wolałbym umrzeć, niż narazić cię na niebezpieczeństwo.

– To też wiem.

– Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem. Próbowałam uspokoić się na tyle, żeby nic nie zniszczyć – mówi, a ja czuję, że wciąż jest spięty.

– Widziałam. Nic się nie stało. We mnie też budzi niszczycielskie zapędy.

Podnosi głowę i patrzy na mnie z niepokojem.

– To może być zasadzka. Może uznał, że jednak chce cię porwać, tym razem dla siebie. Albo wypracował z Dmitrijem nowy układ, lepszy, i teraz mu cię odda. Możliwe są tysiące scenariuszy i żaden z nich nie jest dobry.

Odgarniam mu z czoła kosmyk ciemnych włosów i uśmiecham się.

– A może chce ci zdradzić wszystko, co wie, żebyśmy mogli ułożyć plan i rozprawić się z Dmitrijem.

Wstaje i zaczyna miotać się po pokoju, a potem nagle siada na krawędzi łóżka, naprzeciwko mnie i przyszpila mnie wzrokiem.

– Nie mów, że mu ufasz – rzuca oskarżycielsko.

Rozumiem, że chce, bym zaprzeczyła. Wiem też, że woli bolesną prawdę niż kłamstwo, staram się więc odpowiedzieć jak najsubtelniej.

– Nie w sposób, w jaki ufam tobie – zapewniam. – Ale ocalił mi życie, a nie musiał. Chyba oboje wiemy, że jest na tyle inteligentny, że gdyby chciał, to zdołałby wymienić się z Dmitrijem na moje zwłoki.

Naz przymyka oczy i ciężko oddycha.

– Jeszcze jedno... – Otwiera oczy, widać w nich coś pomiędzy złością i cierpieniem. – Ewidentnie coś do ciebie czuje. Im więcej czasu z tobą spędzi, tym te uczucia będą silniejsze.

– Niezależnie od uczuć, nie zrobi niczego wbrew mnie. Nigdy mi się nie narzucał.

Na te słowa Naz napełnia pierś powietrzem i rozdyma nozdrza.

– Zmusił cię do pocałunku.

– Technicznie rzecz biorąc dał mi wybór, ale rozumiem twoje racje. Uważam jednak, choć może zabrzmie to głupio wzięwszy pod uwagę jego mordercze skłonności, że kieruje się jakimś kodeksem honorowym. Są granice, których nie przekroczy. Jedną z nich to wzięcie kobiety siłą.

– Muszę przyznać, że nie mogę słuchać pewności, z jaką to mówisz. Brzmisz, jakbyś go podziwiała.

– Nie podziwiam go. Nie twierdzę, że jest dżentelmenem, a jedynie, że nie wykorzystał mnie na jachcie, choć miał masę okazji. Jest po prostu zaintrygowany. Nawiasem mówiąc głównie z twojego, a nie z mojego powodu.

– Nie oszukuj się – rzuca z błyskiem w oku. – Chodzi mu wyłącznie o ciebie. Jesteś piękna. Pragnie cię. Jak mógłby nie pragnąć?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Nie jestem pewna, czy pragnie mnie, czy tego, co mam. Co mamy razem. Chyba nigdy nie zaznał miłości.

– Biedaczek – cedzi Naz mrocznie.

– Znasz inną parę, która miałyby coś takiego? – pytam szeptem.

– Jedną czy dwie – wydusza przez zaciśnięte zęby.

– No to o jedną czy dwie więcej niż ja. Wyobraź sobie, jak to musi wyglądać z zewnątrz.

Naz rozchyła usta. Przez kilka uderzeń serca patrzy na mnie bez słowa, po czym rzuca ostro:

– Tylko mi nie mów, że go żałujesz!

– Ani trochę. Zmierzam do tego, że komuś, kto nigdy tego nie zaznał, to co mamy, musi wydawać się jeszcze wspanialsze niż nam.

Naz przymyka oczy, oddycha w kontrolowany sposób, stuka palcami w udo. Gdy unosi powieki, jego oczy płoną.

– Masz dobre serce. Jesteś dobrą osobą. Ogromnie w tobie kocham to, że pomimo wszystkich swoich przeżyć, nie stałaś się zgorzkniała, nie skamieniałaś. Nie pozwoliłaś, żeby życie cię zniszczyło, choć zgotowało ci piekło. Dla człowieka pokroju Killiana to musi być nieodparcie pociągająca cecha. – Prycha. – Ale niezależnie od tego, co o nim myślisz, wiedz jedno: jest zdolny do wszystkiego. Do wszystkiego – podkreśla. – Nawet do zniszczenia czegoś, co go zachwyca, ale nigdy nie będzie mógł tego dostać.

Siedzę ze świadomością, że już sama rozmowa na ten temat rani Naza bardziej, niż chciałaby przyznać. Wstaję, podchodzę do niego i siadam mu na kolanach.

Obejmuje mnie silnymi ramionami i mocno przytula.

– Nie zdoła nas zniszczyć, skarbie. Nic nie zdoła nas zniszczyć – mówię wprost w jego szyję.

– Ale może spróbować.

– Czy wspominałam ostatnio, jak bardzo cię ubóstwiam?

Przez jego tors przetacza się niski pomruk.

– Bo ubóstwiam – mówię, wtulając się w niego. – Bardzo. I uwielbiam to, jak się o mnie martwisz, jaki jesteś opiekuńczy, jak bezpiecznie się przy tobie czuję.

Jego silny wydech rozrzuca mi włosy.

– Teraz już włożysz mi w tyłek.

– Prawię ci szczerze komplementy. Nawet nie dotarłam do tego, jak hojnie zostałeś obdarzony, ale jeśli zechcesz się przymknąć, zaraz się za to wezmę.

Jego jabłkiem Adama porusza coś w rodzaju szczerego śmiechu.

– Jesteś bezwstydną.

– Bezwstydnie zakochana – mówię, całując go w szyję.

– Potrzebujesz nowych tekstów – stęka. – Te są koszarne.

– Ale działają, prawda?

– Niestety prawda. Boże, jestem żalony.

– Wcale nie. Jesteś superbohaterem i kocham cię. A teraz pomówmy o tym spotkaniu w Pradze.

Tym razem Naz wzdycha z rezygnacją.

– W Wiedniu. Ale nie podniecaj się, bo ty będziesz schowana.

Nie komentuję, bo wiem, że będzie jeszcze sporo czasu na kłótnie. Po prostu daję mu następnego buziaka w szyję i uśmiecham się.

Myślę, że ostatecznie zgodził się mnie zabrać tylko dlatego, że nie mógł znieść myśli, że zostanę sama w kryjówce w Cascais. Naz ma zdrowy, choć bardzo niechętny szacunek dla zdolności manipulacyjnych Killiana i uznał, że prawdziwym celem rozmowy telefonicznej wcale nie było ustawienie spotkania w Wiedniu, ale odciążenie Iwa z kryjówki, żeby rywal mógł niepostrzeżenie wślizgnąć się na jego miejsce.

Gdy mi o tym powiedział, nawet nie próbowałam tłumaczyć, że Killian wcale nie jest jego

rywalem, bo i tak by mnie nie słuchał. Kiedy mężczyźni zaczynają walić pięściami w klaty, zamieniają się w pierwotnych samców i przestają logicznie myśleć. Wcale się nie zdziwię, jeżeli w Wiedniu obaj ściągają portki i wyjmą linijki.

Ostatnie godziny upłynęły na rozmowach telefonicznych z Connorem i Tabby. Pracują nad planami katedry świętego Stefana, sprawdzają wszystkie wejścia i wyjścia, organizują logistykę, rozpisują plany awaryjne, knują jak na wojnę. Przez cały ten czas schodzę Nazowi z drogi, bo intuicyjnie wyczuwam, że drzemiące w jego umyśle troski są znacznie mroczniejsze niż zwykła nadopiekuńczość.

W grę wchodzi przesady, poczucie *déjà vu*.

Oboje mamy pełną świadomość, że gdy ostatnio planowaliśmy wizytę w kościele, nasze założenia dosłownie wyleciały w powietrze.

Z samego rana jedziemy pociągiem do Lizbony. Na dworcu spotykamy się z ponurym młodzieńcem w czarnej skórzanej kurtce zarzuconej na bluzę z kapturem, który ma trądzik na podbródku i małe, rozbiegane oczka. Czekał na nas na peronie, przepycha się przez tłum i mijając nas, niby mimochodem, przekazuje Nazowi kopertę, a potem bez słowa odchodzi w swoją stronę.

– Kolega? – pytam, patrząc jak mężczyzna znika w ciżbie dojeżdżających do pracy pasażerów.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– To skąd wiedział, kogo szukać?

Naz puszcza mi konspiracyjne oczko, bierze mnie za rękę i prowadzi przez tłum w stronę ruchomych schodów.

– Właśnie to nazywamy naszym rzemiosłem, kochana.

– Aha. Innymi słowy, Tabby to ogarnęła.

Uśmiecha się, ale jego oczy są zajęte monitorowaniem otoczenia. Gdy pytam, co jest w kopercie, odpowiada po prostu:

– Dokumenty.

Jedziemy taksówką na lotnisko, a tam Naz pokazuje paszporty państwa Kentów obficie pocącemu się mężczyźnie, który czeka przy samolocie na prywatnym terminalu. Ten facet też się do nas nie odzywa. Rzuca okiem na dokumenty, oddaje je Nazowi i kiwa głową obserwującemu nas z kokpitu pilotowi.

– Nie ma celników? – szepczę, gdy mężczyzna się oddala.

– Metrix korzysta z pożytkiem z pieniędzy przelanych z kont Raphaela – mruczy w odpowiedzi, pomagając mi wejść po schodkach do maszyny.

Samolot jest ciasny, ale luksusowy, są w nim ustawione naprzeciw siebie, szerokie skórzane fotele, między nimi stoliczek, a na nim wiaderko z butelką szampana, którego żadne z nas nawet nie dotyka. Gdy się wznosimy, a miasto znika daleko pod nami, rozpieram się w fotelu i patrzę na Naza.

– Więc, panie Kent.

– Tak, pani Kent?

– Nie miałam okazji zajrzeć do twojego paszportu, ale tak się zastanawiam, czy przypadkiem nie masz na imię Clark.

– Szanowna małżonko – odpowiada z amerykańskim akcentem, otwierając paczkę orzeszków, którą wyjął z koszyczka przy wiaderku. – Jakżeby inaczej, czyżbyś już zapomniała?

Kręcę głową rozbawiona i obserwuję, jak wrzuca do ust kilka orzeszków.

– Zgaduję więc, że ja jestem w tym scenariuszu Lois.

– Minerva.

– Minerva!? Jaja sobie robisz.

– To przez tę twarz – odpowiada, przeżuując. – Kobieta cierpiąca na tak ciężki przypadek zespołu superowościinteligencjonalnej mogła być tylko Hortensją albo Minervą. Pomyślałem, że będę miły i oszczędzę ci imienia, które brzmi jak obelga.

– Cóż, przynajmniej nie Eunice.

– A co jest złego w Eunice?

– Wszystko? Brzmi jak imię ulubionej, domowej krowy. – Krzywię się.

– Po pierwsze, nikt nie trzyma krów w domu. Po drugie, znałem kiedyś mega seksowną Eunice.

Prycham.

– Po pierwsze, miałam w dzieciństwie domową krowę. Po drugie, bzdurzysz.

Naz patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Opowiedz o tej krowce.

– Mieszkaliśmy w gospodarstwie.

– Hodowaliście bydło? – dziwi się.

– Nie, to był po prostu spłachetek ziemi na biednej wsi. Trzymaliśmy krowę dla mleka. Mieliśmy też kozę. No i kilka kur, ale im nie nadawałam imion, bo było mi przykro, jak kończyły w zupie. Teraz ty opowiedz o seksownej Eunice. Którą od tej pory będę nazywała Ściemą, no, chyba że jesteś nieśmiertelny i rzeczywiście wyrywałeś panienki w czasach, gdy nosiły imiona typu Eunice, Berta i tak dalej.

Naz zastanawia się przez chwilę, dorzuca do ust jeszcze kilka orzeszków i żuje dalej.

– Jak miała na imię twoja krowa? – pyta, przełknąwszy.

– Panie Kenty, odniosłam wrażenie, że zeszedliśmy już z tego tematu.

– Ależ pani Kent, jestem żywo zainteresowany jego podtrzymaniem.

Zerkam na szampana, może jednak powinnam pozwolić sobie na kieliszek. Albo cztery.

– No dobra, niech ci będzie – ustępuje Naz. – Eunice. To było tradycyjne imię w jej rodzinie. Jej matka i babka też je nosiły. I była niezmiernie seksowna. Tańczyła w barze, w którym pracowałam wieki temu.

– Tancerka – stwierdzam oziębło, krzyżując ręce na piersi.

– Z tych nieco roznegliżowanych. No wiesz, wirują wokół takiej śliskiej rury...

– Zaczynam sobie myśleć, że to twój konik – mówię.

– Konik? Jaki zaś konik? – pyta, siląc się na zabawny akcent.

– No wiesz, lubisz tancerki. A powiedz mi, czy twoja koleżaneczka Eunice potańczyła na twojej śliskiej rurze? – Poruszam sugestywnie brwiami.

Nieoczekiwanie wybucha śmiechem.

– Ach, już rozumiem. Myślisz, że się z nią spotykałem?

– Powiedziałaś, że była seksowna! Nieziemsko! Co cię tak bawi?

– Zazdrość dodaje ci uroku.

Zadzieram nos i prychem.

– Nie jestem zazdrosna.

– Och, najmocniej przepraszam, mój błąd. – Unosi ręce w geście kapitulacji, ale nadal się śmieje. – Wcale nie jesteś zazdrosna o striptizerkę, wcale nie byłaś zazdrosna o wydarzenia w moich snach. Których, jak już ustaliliśmy, wcale nie byłem winien, bo tylko się z tobą drażniłem i coś takiego jak zdrada we śnie nie istnieje.

– Istnieje. Podświadomość daje niezbyt subtelne sygnały, że fajnie, jakbyś skoczył sobie w bok. I żeby nie było niedomówień, nie patrzę na striptizerki z góry, ludzie muszą zarabiać na chleb. Nie uważam ich za zdziry. Życie. – Wzruszam ramionami. – Jeżeli śpiąją z klientami, ich sprawa. Kim ja jestem, żeby oceniać pracę innych kobiet? Przynajmniej nikt ich do niczego nie zmusza, za darmo.

– Oj! – woła Naz, nagle poważniejąc. – Mroczny zwrot akcji.

– Przepraszam.

– Nie masz za co. Zawsze możesz mi mówić, o czym myślisz.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, po czym wyznaję:

– Okej. To powiem ci, o czym ja myślę, ale nie szalej.

– Nie szaleję, po prostu słucham. Dawaj – oznajmia Naz.

– Na pewno? Bo wychodzi na to, że gdy jesteś zasłuchany wyglądasz, jakbyś jednak szalał.

– Na pewno.

Przyglądam mu się bacznie jeszcze przez chwilę albo dwie, po czym kontynuuję:

– Zacznijmy od tego. Myślę, że byłoby dobrze, gdybym poznała plan.

– Jedziemy do Wiednia.

– A potem?

– Zameldujemy się w hotelu niedaleko katedry, gdzie ma odbyć się spotkanie. Connor nie zdąży przylecieć, ale przekierował do tego zadania kilku naszych ludzi z Europy.

– Do zadania?

– Do pomagania mi we wszystkim, mówiąc krótko.

Wyglądam przez okno na rozciągający się pod nami krajobraz białych, puszystych chmur. Ciemnieją na horyzoncie, chyba tam pada. Próbuję pozbyć się złych przeczuć, które skradają się wzdłuż mojego kręgosłupa, i skupić.

– Czemu lecimy do Wiednia samolotem, a nie helikopterem jak podczas ewakuacji z Cozumel?

– Bo Killian już wie, że jestem związany z Metrix, a to oznacza, że najpewniej wie też wszystko o firmie, włącznie z tym, że operacje na krótkich odległościach niemal zawsze realizujemy za pomocą śmigłowców.

– Czyli mógłby monitorować przyloty helikopterów do Wiednia – mówię ostrożnie. Ciekawe, co jeszcze może monitorować taki szpieg.

– Właśnie – przytakuje Naz. – A ten lot jest czysty, jeśli chodzi o listę pasażerów, i opłacony gotówką.

– To po co nam paszporty?

– Żeby pilot jakoś nas rozpoznał i żeby osoby, którym uda się przeniknąć przez pierwsze dwa poziomy zabezpieczeń zobaczyli zwykłych państwa Kent w podróży do Londynu.

– Ale my wcale nie lecimy do Londynu – stwierdzam, unosząc brew.

– Właśnie – uśmiecha się.

– Jeejku.

– Co?

– Wyczerpująca ta szpiegowska robota.

– Szampana? – pyta, wskazując na wiaderko.

– Pewnie, czemu nie. W końcu nie każdego dnia jestem panią Minervą Kent, która wcale nie leci do Londynu.

Maszyną wstrząsają turbulencje, przez które zachłystuję się powietrzem i łapię podłokietników. Naz kompletnie je ignoruje, spokojnie odwija złotko z szyjki butelki i ściąga z korka te małe druciki, zawsze zapominam, jak się nazywają. Na koniec wyciąga korek i nalewa mi kieliszek.

– Ty się nie napijesz? – pytam, gdy mi go wręcza.

– Po tej całej robocie... – mówi, odkładając butelkę do wiaderka. – Kupimy sobie wielką, półtoralitrową butlę.

– We Francji?

– Czemu we Francji? – Zerka na mnie podejrzliwie.

Upijam łyka, cieszę się przyjemnym chłodem i musowaniem płynu, tym jak bąbelki skaczą mi na języku.

– Nigdy tam nie byłam. Gdy już będzie po wszystkim, chcę, żebyśmy wypili wielką butlę szampana we Francji. Na wieży Eiffla, o zachodzie słońca, może uda się to załatwić. I jeszcze róże, i świece.

– Dla ciebie wszystko, Minervo. A gdy już tam będziemy, umówimy się z jakimś dobrym chirurgiem plastycznym, żeby ocenił, czy da się coś zrobić z tą twoją paskudną twarzą.

Uśmiecha się łobuzersko, ale jego oczy są ponure. Nie pokazuje, jak bardzo się martwi.

Wypijam szampana łapczywie, a potem siedzę, ściskając w dłoni kieliszek, jakby mógł uratować mi życie. Próbuję powstrzymać beknięcie, ale bez powodzenia.

Naz rozpiiera się na skórzanym fotelu i ciężko wzdycha.

– Dama.

– Prawda? Matka byłaby dumna. Jesteś gotowy na dalszą część moich przemyśleń? – Naz wygląda, jakby szykował się na najgorsze, kwitując to krótkim śmiechem. – Nie są zbyt niepokojące. Chyba.

– Dajesz.

– No dobrze, mmm. – Obracam w palcach nóżkę kryształowego kieliszka, szukam właściwych

słów. W końcu podnoszę głowę i patrzę mu w oczy. – Możliwe, że zgodziłam się pocałować Killiana jeszcze raz.

Odpowiada mi cisza, potem jedno mrugnięcie jego powiek.

Jedno.

Bardzo powolne.

– Wiem, jak to brzmi, ale wcale nie jest tak źle – dodaję.

– To chyba niemożliwe – odpowiada sucho.

– Chodzi mi oto, że gdy już zabrał mnie do tej kryjówki, zaczął ci grozić... ogólnie, nic konkretnego... ale nie zgodziłam się, powiedziałam, że nie pocałuję go ponownie... ale on wtedy strzelił mowę o tym, jak to jesteśmy, ja i on, ludźmi bez zasad, groźnymi zwierzętami... czy coś w tym stylu, szczegóły trochę mi się rozmywają... no i nie pamiętam, czy ostatecznie się zgodziłam, czy nie...

Naz zamyka na chwilę oczy, a ja kontynuuję:

– I mówię ci o tym, bo właśnie to sobie przypomniałam, no i pasowałoby do niego, gdyby wywlekł to w paskudny, wredny sposób w samym środku waszej rozmowy o... o czymkolwiek będziecie rozmawiali, żeby zdobyć przewagę. A przynajmniej tak mu się będzie wydawało, bo w rzeczywistości on nie ma żadnej przewagi, po prostu lubi wsadzać kij w szprychy, żeby wytrącać innych z równowagi. No i... także tego...

Naz spogląda na stojące między nami wiaderko z szampanem. Wyciąga z małego, srebrnego stojaka drugi kieliszek, nalewa sobie szampana, wypija, odstawia kieliszek i oświadcza z pełnym spokojem:

– Naprawdę, naprawdę, naprawdę go nienawidzę.

– Uznałam, że musisz wiedzieć.

– Muszę. Dziękuję, że mi powiedziałaś – wyznaje spokojnie.

– Nie jesteś zły?

– Na ciebie nie, kochana.

Jego głos jest spokojny, uśmiech łagodny, ale wzrok twardy jak kamień. Mam przeczucie, że Killian pożałuje, że opowiedziałam o tym Nazowi.

– Więc docieramy do hotelu i co potem? – pytam.

– Potem egzekucja.

– Kogo, Killiana? – pytam zaskoczona.

– Nie, operacji. Choć jeśli ten śmieć przypadkiem skończy martwy w rynsztoku, nie będę się zadreślał po nocach.

– A co ze mną?

– Co z tobą? – pyta spokojnie.

– Co będę robiła w czasie spotkania?

– Będziesz siedziała bezpiecznie w hotelu, pilnowana przez uzbrojonych ludzi.

Jego groźne oczy wysyłają sygnał: „nawet nie zaczynaj”, trudno.

– Skarbie, ja...

– Nie.

To najbardziej stanowcze „nie”, jak człowiek może wyartykułować, ale Naz chyba jeszcze mnie nie zna.

– Skarbie – powtarzam z większym naciskiem.

Patrzemy sobie w oczy. Zaczyna bębnić palcami w stolik, wybijać miarowy, spokojny rytm: NAWET. NIE. ZACZYNAJ.

– Pamiętasz, jak mówiłam, że musisz szanować moje zdanie?

– Owszem. – Kiwa głową. – A ty pamiętasz, jak mówiłem, że musisz być bezpieczna?

Okej, ewidentnie utknęliśmy w impasie. Czas na odrobinę kreatywności.

– A co jeśli Killian już wie, w którym hotelu się zatrzymamy? Co jeśli wyjdiesz na spotkanie... a on pojawi się w naszym pokoju?

Mięśnie jego szczęki zaczynają pracować.

– Nie wie, w którym hotelu się zatrzymamy.

Wypowiada to z lodowatą ostatecznością, ale widzę, że zasiałam ziarno niepokoju. Niech spokojnie zapuści korzenie i rozkwitnie, tymczasem ja wykonam lekki zwrot tematyczny.

– W południe w katedrze świętego Stefana będzie rojło się od turystów, prawda? – Odpowiada milczącym skinieniem głowy. – Więc chyba bezpieczniejsza będę między ludźmi niż sama w hotelu...

– Nie sama – wchodzi mi w słowo. – Z uzbrojonymi ludźmi.

– Mhm. Z tego, co pamiętam, gdy wracaliśmy z tego kościoła na Manhattanie, też towarzyszyli nam uzbrojeni ludzie.

Widzę, że próbuje nie zareagować wybuchem. Jego palce na chwilę zamierają, zaciska wargi, ale szybko się opanowuje.

– Zaboląło. Przestań mnie namawiać. Nie uda ci się. Wystarczy, że w ogóle lecisz do Wiednia.

Natrafiałam na mur sprzeciwu, jego ton i zacięta mina nie pozostawiają wątpliwości. Ma pecha, bo zabrałam dynamit, którym mogę go wysadzić.

– Jeżeli zostawisz mnie w hotelu wbrew moim życzeniom – zaczynam łagodnie, patrząc mu prosto w oczy – nie uznaję tego za ochronę. Uznaję, że traktujesz mnie protekcyjnie. I bez szacunku. A co najgorsze, uznaję, że mnie tyranizujesz. Przez siedem lat żyłam pod butem Dmitrija i zasługuję, żeby usłyszeć na żywo, co Killian ma o nim do powiedzenia. Wiem, że mnie kochasz, ale nie jestem bezradnym, głupim dzieckiem.

– Wiem o tym! – odcina się ostro.

– No to nie traktuj mnie jak dziecko, zabierz mnie ze sobą!

Przymyka oczy i pozwala głowie opaść na zagłówek.

– Dobijasz mnie, kobieto. Padnę przez ciebie.

Nachyliłam się nad stolikiem i łapię go za rękę.

– Założę się, że jeśli się nie pojawię, Killian nie będzie chciał rozmawiać. I całe plany twoje i Connora, wasze wysiłki, pójdą na marne.

Naz, nie otwierając oczu, wydaje z gardła cichy pisk.

– Kochanie, proszę, spójrz na mnie.

Oddycha głęboko, otwiera oczy i podnosi głowę.

– Mówiłeś, że jesteśmy drużyną – kontynuuję, ściskając go za rękę. – Drużyny współpracują.

Patrzy na mnie bez słowa, ale czuję, że pęka.

– Prawda? – dokręcam śrubę.

Długo się nie odzywa. Po prostu patrzy ze zmarszczonym czołem na nasze złączone nad stolikiem dłonie, co rusz zaciskając szczękę.

– Prawda – przyznaje w końcu tak cicho, że ledwie go słyszę.

Czuję taką ulgę, że prawie zakrzyknęłam z radości. Ale zamiast triumfować, nachyliłam się i kładę policzek na naszych dłoniach.

– Dziękuję – szepczę.

– Jeszcze nie dziękuj, mam pewne warunki – mówi groźnie.

Podnoszę głowę i uśmiecham się promiennie, bo wiem, co ma na myśli.

ROZDZIAŁ 23

Naz

Okej, gdy mówiłem, że przez nią padnę, nie wiedziałem, że nastąpi to tak szybko. Miałem dziś już ze dwa wylewy i zawał, a nie ma jeszcze pory lunchu.

Jestem uparty, ale Eva potrafi nafaszerować pojęcie upartości takimi sterydami, że zaczyna wyglądać jak wściekły Hulk. Widywałem mniej zdeterminowane pitbulle.

Gdy zameldowujemy się w hotelu, trzyma się bardzo blisko mnie, przynajmniej tyle. Gdyby jeszcze zażądała przechadzki krajoznawczej po mieście, po prostu wbiłbym sobie nóż w serce i zakończył tę udrękę.

– Ładny widok – ocenia, patrząc przez okno naszego apartamentu.

– Mniejsza z widokiem, ważne co znajduje się poniżej.

– Kanał? – pyta, zerkając w dół.

– Jeżeli wybucha pożar, jeżeli ulice stają się nieprzejezdne, jeżeli pojawiają się inne nieprzewidziane przeszkody, tory wodne stanowią dogodną drogę ucieczki. Gdyby coś poszło nie tak, będzie czekała na nas łódź – wyjaśniam spokojnie.

Eva odwraca się i patrzy na mnie, jej podświetlone przez wlewające się zza zasłon światło włosy tworzą aureolę wokół głowy.

– Jakie to przygnębiające, że zawsze musisz myśleć o takich sprawach.

Wzruszam ramionami i obchodzę nasze torby podróżne, które boy hotelowy położył na marmurowej posadzce foyer, gdy już upewniłem się, że pokoje są bezpieczne. Gdy sprawdzałem apartament, chłopak nawet się nie zdziwił, po prostu czekał cierpliwie na napiwek, z rękoma złączonymi za plecami i wzrokiem wbitym w sufit. Może myśli, że wszyscy Amerykanie to jakieś wersje Clinta Eastwooda albo Bruce'a Willisa.

– Weszło mi w krew. Chcesz coś zjeść? Wody? Ta mała lodóweczka w szafce przy barku będzie dobrze zaopatrzona.

Eva kręci głową, obejmuje się rękoma i rozgląda po apartamencie, jakby bała się, że zaraz ktoś wyskoczy zza zasłony.

– Minerva, ej!

Patrzy na mnie.

– Sprawdziłem już lokal. Wszystko gra.

– Wiem, po prostu...

– Co? – pytam i skręca mnie w żołądku.

– Kolejny obcy pokój, kolejne obce miasto.

– Chodź tu.

Wyciągam rękę, a ona od razu do mnie przychodzi, z westchnięciem chowa się w moich ramionach. Tulę ją, całuję w czubek głowy, zaciągam się aromatem jej włosów. *Jaśmin. Jakim cudem zawsze pachnie tak, jakby pod jej skórą kwitły kwiaty?*

– Za niedługo będziemy mieli własne cztery kąty, obiecuję – mówię.

Gdy bezgłośnie kiwa głową, rozumiem, że tęskni za czymś, czego razem nigdy nie mieliśmy, czego nie mieliśmy okazji zaznać, nie licząc krótkiego pobytu w Cascais.

Kurwa, szkoda, że nie jestem bogaty. Wybudowałbym nam jebitny zamek na prywatnej wyspie na samym środku Morza Karaibskiego i całymi dniami byśmy tylko jedli, spali i uprawiali miłość.

– Będziemy mieli psa? – pyta, nie odsuwając głowy od mojej piersi.

– Oczywiście, myślałaś, że zapomniałem o zboczeniu na punkcie jamników? Możesz mieć tyle psów, ile zechcesz.

Zasłużyłem tą odpowiedzią na drobny uśmiech.

– Uważaj, co obiecujesz, kowboju – mówi. – Bo wybrałam już imiona dla wszystkich dwunastu psiaków.

Odsuwam się i patrzę na nią ze zgrozą.

– Dwunastu? Przecież to jak stado hodowlane. Zapewne nielegalne.

– Okej, to ile mogę mieć?

– Cztery, po jednym na każde dziecko.

Mruga zaskoczona i rozchyła usta.

– O, nie... – Wzdycha i mruga jeszcze szybciej. – Chyba nie zamierzasz powiedzieć czegoś, przez co będę musiała się rozbeczeć, prawda? Nie zrzucisz mi na głowę jednej z tych swoich przeuroczych, uczuciowych bomb?

Odgarniam włosy z jej policzków, ujmuję w dłonie jej twarz i mruczę:

– Same dziewczynki, jeśli się uda. Byłbym zachwycony, gdyby w naszym domu roiło się od mikrowersji ciebie. Goniłoby dookoła i zanosiłoby się twoim cudownym śmiechem, i uśmiechałyby się do mnie twoimi pięknymi oczami, i owijały wokół mnie swoje śliczniutki, różowe paluszki, dokładnie jak mamusia.

Jej dolna warga zaczyna drżeć, oczy zachodzą łzami.

– Jesteś bezlitosny!

Opuszcza głowę na moją pierś i wybucha płaczem. A ja śmieję się, tuląc ją do siebie i choć wiem, co nas czeka, to szczęście rozsądza mi pierś.

– A ty jesteś beksą. – Śmieję się. – Nie znam równie twardego negocjatora i twardziela, który równocześnie byłby takim mięczakiem. Uderzający kontrast.

Gdy nawiedza mnie myśl, że Killian zapewne myśli o niej to samo, śmiech grzęźnie mi w gardle.

Eva unosi zaczerwienioną, pobrużdżoną łzami twarz i patrzy na mnie.

– Nie wpuszczaj go do głowy – mówi, pociągając nosem. – Jesteś superbohaterem. Z naciskiem na super.

Wycieram jej policzki kciukami i kręcę głową, zdumiony siłą jej intuicji.

– Umiesz czytać w myślach wszystkich, czy tylko mnie spotkało takie szczęście?

– Nauczyłam się czytać z ruchów mięśni męskich twarzy, dzięki temu przewiduję ich myśli z niemal idealną skutecznością – odpowiada, stając prosto. – Niestety na kobiety to nie działa. Niemal wszystkie nosimy kunsztowne maski. Udajemy głupie albo bierne. Są jak maskująca sierść pantery. Dopasowujemy się do otoczenia, żeby przetrwać.

Kiedy to robi, zawsze mnie oszałamia. Kiedy, jakby od niechcienia, rzuca tymi enigmatycznymi stwierdzeniami, które świadczą o horrorze jej dawnego życia i głębi jej inteligencji. Jest tak boleśnie świadoma wszystkiego, co ją otacza, a jednak ślepa na własną tragedię.

To niesłychane, że nigdy się nad sobą nie użala.

Przyciągam ją do piersi, jedną ręką trzymam za plecy, drugą za potylicę, i nie puszczam, dopóki moje serce nieco się nie uspokaja.

– I kto tu jest beksą – szepcze.

– Minerva, cicho już. Po prostu myślę, ile kasy będę musiał skombinować na chirurgów plastycznych. Może będzie trzeba wziąć kredyt.

Jej ramiona drżą w niemym śmiechu.

Unoszę jej głowę i całuję ją namiętnie, wkładam w ten pocałunek wszystkie uczucia, daję jej całą miłość, jaką w sobie noszę. Eva odwzajemnia ten gest, z nie mniejszą pasją.

Na moment strach, że wkroczymy razem, za ręce do piekła, cichnie.

A potem dzwoni mój telefon i ten moment mija.

Gdy zbliżamy się z Evą do północnego wejścia katedry świętego Stefana, idzie za nami dwóch wielkich blondynów. Jak na mój gust za bardzo rzucają się w oczy, ale z drugiej strony Niemcy to w Wiedniu chleb powszedni. Nawet nie wyróżniają się tak bardzo wzrostem ani odbijającymi słońce platynowymi włosami, ale za to uwagę przyciągają identycznymi, czarnymi płaszczami z nienaturalnymi

wybrzuszeniami w różnych dziwnych miejscach.

Równie dobrze mogliby nieść transparent z hasłem: „Jesteśmy uzbrojeni, niebezpieczni i zaraz narobimy tu syfu! Juuupi!

– Nie są szczególnie subtelni. Co to, bliźniaki z jakiegoś germańskiego plemienia? – dziwi się Eva. Idzie obok, trzyma mnie za rękę i wygląda na znacznie spokojniejszą ode mnie.

– Chryste, stąd słyszę, jak im stukają giwery – dodaję, krzywiąc się.

Kiedy Connor zadzwonił z informacją, że wszystko gotowe i że będziemy mieli eskortę do katedry, nie sądziłem, że miał na myśli obwieszonych żelastwem statystów z kina klasy B. Mam tylko nadzieję, że w pobliżu nie ma jakiegoś patrolu policji, bo inaczej ta para klaunów na bank zostanie zatrzymana w celu rewizji osobistej.

Zasrany Killian i jego organizowane w ostatniej chwili spotkanie w obcym kraju.

Oczywiście wiedział, że będzie to dla nas logistyczny koszmar.

– Kto? – pyta Eva.

– Co kto?

– Właśnie wyburczałeś „kutas” pod nosem.

– Nikt, nieważne. – Ściskam ją za rękę, patrzę w stronę drzwi katedry i znajduję to, czego szukałem. Dwaj następni „uzbrojeni i groźni” w długich płaszczach. Czają się przy wejściu, paląc papierosy i rozglądając się ukradkiem, łażą przygarbieni i posyłają przechodniom podejrzliwe spojrzenia.

Nie rzucają się w oczy. W ogóle, *ani trochę*.

– Fajnie, mamy tu przegląd amatorskich ochroniarzy – mówię, kręcąc głową. Killian bez wątpienia już wszystkich wypatrzył.

Przemykam w chmarze turystów, trzymając Evę mocno za rękę, pilnując by była ciągle blisko. Dzień jest słoneczny, ale dość chłodny, wieje kąśliwy wietrzyk, który miota brązowymi liśćmi po zabytkowym placu. Przed nami wznoszą się wielkie, otwarte drzwi z rzeźbionego drewna. Nie ma kolejki, bo można wejść bez biletu, więc wkraczamy do środka bez zbędnej zwłoki.

Przy ołtarzu, daleko po lewej, odprawiana jest msza. Chór śpiewa psalmy. Masywne organy wygrywają bogate tony, które fruną wysoko pod sklepienie, a ten kamienny baldachim rozprasza je na fale, przypominające zmarszczki na tafli wody. Pachnie kadzidłem i woskiem, starym kamieniem i papierem, a także tysiącem ściśniętych ciał.

Gdy prowadzę Evę w głąb nawy, czuję za plecami obecność czterech uzbrojonych ludzi; mój wzrok szybko przyzwyczaja się do półmroku. Turyści wypełniają główne i boczne przejścia, dyskutują w zebranych pod kunsztownymi posągami grupkach, nieustannie fotografują bezcenne, drewniane płaskorzeźby, obrazy w pozłacanych ramach, barokowe ołtarze i gotyckie żebrowania. Ignorując ich wszystkich, kieruję wzrok za ambonę i las kolumn, świec, ku przeciwległej ścianie niedaleko romańskich wież, gdzie trzymana jest bizantyjska ikona Marii z dzieciątkiem.

Nazywana jest Marią z Pócs, od węgierskiego sanktuarium Máriapócs, skąd ją tu przeniesiono. Oto nasz cel.

Stawiam krok naprzód, ale Eva puszcza moją dłoń.

Obracam się gwałtownie, pewny, że coś się stało, lecz ona po prostu klęka na jedno kolano przed ołtarzem i robi znak krzyża na piersi.

Mruczy coś po rosyjsku, wykonuje drugi znak krzyża, po czym wstaje i ponownie podaje mi dłoń.

– Przepraszam – mruczy. – Nawyk.

Opieram się chęci, by ją pocałować, i wracam do lustrowania tłumu. Idziemy powoli od północy głównym przejściem nawy, i wtedy zauważam kapliczkę – misterny, średniowieczny baldachim z kamienia, który wystaje ze ściany. Otacza ją niska drewniana barierka ozdobiona pozłacanymi drzwiczkami z kutej stali. Sama ikona jest wyniesiona nad ołtarz, na którym palą się białe świece w srebrnych lichtarzach. Z ramy rozchodzą się złote promienie, mające symbolizować święty blask.

Wczoraj nauczyłem się o tym cholerstwie więcej, niż chciałem wiedzieć.

Na niskich drewnianych ławkach przed kapliczką siedzi kilka osób, ale na pewno nie ma wśród

nich Killiana. Serce łomocze mi w piersi, przyglądam się ludziom w pobliżu, ale nigdzie go nie widzę.

– Jest – mówi Eva i wskazuje palcem.

Opiera się swobodnie o wapienną kolumnę na prawo od kapliczki. Wygląda tak, że go nie poznałem. Ma na sobie garnitur, *ja pierdolę*, bardzo elegancki czarny garnitur, białą, rozpiętą pod szyją koszulę i czarne buty, tak wyglancowane, że odbijają promienie światła niczym lustro.

– Obciął się – zauważam, patrząc na niego z niesmakiem.

– I ogolił – dodaje Eva. – Wygląda, jakby szedł na randkę.

Dostanie po jednej kulce w każde oko.

Wiem, że gdzieś jest jeszcze dwóch ludzi Connora, ale nie wypatruję ich, bo jestem zajęty mordowaniem wzrokiem Killiana, który z kolei mnie kompletnie ignoruje. Kiedy się zbliżamy, patrzy tylko na Evę.

Jego oczy spijają ją jak wysuszona ziemia deszcz.

Zatrzymujemy się metr przed nim.

– Masz pistolet w kieszeni, czy po prostu cieszysz się na mój widok? – warczę.

– *Bhrèagha* – mamrocze, ciągle nie spuszczać jej z oczu. – Przyszłaś.

To brzmi jak seksualna zaczepka, która jeży mi wszystkie włoski na ciele i jestem pewien, że właśnie na taki efekt liczył.

– Nie odzywaj się do niej – rzucam na tyle głośno, że mój głos odbija się echem od murów i kilku turystów obraca się w naszą stronę.

Zerka na mnie obojętnie, po czym taksuje wzrokiem od stóp do głów.

– Jesteś wyższy, niż sądziłem – stwierdza z lekkim rozczarowaniem.

Gdybym był pawiem, właśnie rozwinąłbym ogon i oślepił całą katedrę barwą jego upierzenia.

– Mam dokładnie tyle samo wzrostu, co ty.

– Wiem. Przez telefon brzmiałeś na niższego.

Oceniamy wzrokiem nawzajem swój wzrost, a Eva cicho wzdycha.

– Długo to jeszcze potrwa, chłopcy? Nie mamy aby jakichś ważnych spraw do omówienia?

Killian przenosi na nią spojrzenie, mam już po dziurki w nosie obserwowania, jak jego oczy rozptywiają się niczym ciepłe masełko.

– Ano, *bhrèagha*, mamy. Ale wiesz, jacy są faceci. Zanim zabierzemy się za interesy, musimy chwilę pohuścić się na gałęziach.

– Nie wiem, co oznacza to pieszczotliwe słówko, którym ją nazywasz – cedzę przez zęby. – Ale jeśli użyjesz go jeszcze raz, wyrwę ci jelita przez nos.

– To znaczy „wiedźma”, skarbie – wyjaśnia Eva, ściskając moją dłoń. – Nazywa mnie pyskatą wiedźmą.

Killian posyła mi uśmiezek, od którego nastraszam się jak jeżozwierz, a z mojego gardła wydobywa się niski warkot.

Obaj wiemy, że to wcale nie znaczy „wiedźma”.

– Ej. – Eva ciągnie mnie za rękę, więc zerkam na nią. Patrzy na mnie z lekką irytacją. – Kocham cię. Daj już spokój.

– Ano, Naz – dorzuca Killian z irlandzkim zaśpiewem. – Daj już spokój.

Przesuwam na niego spojrzenie, gotowy skoczyć i wyrwać mu język, ale Eva warczy:

– Ty też, kretynie! Dość tego! Jeżeli jeszcze raz czymś go sprowokujesz, wychodzę!

Przysięgam na Boga, próbuję nie parsknąć śmiechem, ale moje usta wyginają się mimowolnie. Rzę więc półgębkiem i patrzę, jak ten dupek stoi w swojej nowej fryzurze i durnych, wypolerowanych butach, i wygląda jak wystrojona małpka, która właśnie dostała od treserki zwiniętą gazetę w tyłek.

– A teraz rozmawiajcie! – rzuca Eva stanowczo, patrząc to na mnie, to na niego. – Jak dorośli, poproszę. Killian, ty pierwszy. I od razu do sedna: co takiego ma Dmitrij, że mnie porwałeś?

Odpycha się od kolumny, poprawia spinki do mankietów, po czym patrzy mi prosto w oczy.

– Atomówkę – mówi. – Jeszcze jakieś pytania?

Żołądek spada mi do pięt.

Dmitrij posiada broń jądrową.

No przecież, jakżeby inaczej.
Ja pierdolę.

ROZDZIAŁ 24

Eva

Z ust Killiana pada słowo „atomówka” i nagle wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować.

– Zaraz zwymiotuję. – Szok pozbawia mnie tchu, puszczam dłoń Naza i siadam na skraju najbliższej ławki. Dłonie mi drżą, żołądek związał się w supeł.

Jak mogłam tego nie przewidzieć? Jak mogłam się nie domyślić?

– Oddychaj, kochana.

Naz doskakuje do mnie od razu, klęka obok i łapie mnie za rękę. Jestem zbyt wstrząśnięta, żeby zareagować. Gdy Killian do nas podchodzi, dostrzegam kątem oka jego lśniące mokasy, Naz wstaje gwałtownie i Killian nagle się zatrzymuje.

– Nie podchodź, kurwa – ostrzega Naz niskim, opanowanym, lecz pełnym wściekłości głosem.

– Zabieraj te ręce, stary, bo je stracisz. – Głos Killiana także jest niski i opanowany, w nim również da się wyłapać nutę złości.

– Wenezuela – mówię, wpatrując się tępo w posadzkę.

Ucisza ich to, po chwili ciszy Killian wzdycha:

– Ano.

– Czy ktoś mi wyjaśni, co to ma wspólnego z Wenezuelą? – pyta Naz.

Spoglądam w jego piękną twarz, zaciska zęby w napięciu, jego mina to mieszanka złości i dezorientacji.

– W ciągu ostatnich dwóch lat Dmitrij trzykrotnie przyjmował wysłanników prezydenta Wenezueli. Nie znam hiszpańskiego, więc nie wiem, o czym dokładnie rozmawiali, ale wydawali się mocno zainteresowani brudną bombą, którą Dmitrij załatwił Syryjczykom. Nazwisko syryjskiego prezydenta padło kilkakrotnie. Amerykańskiego też.

– Stany groziły Wenezueli interwencją militarną ze względu na łamanie praw człowieka i sprawy gospodarcze – stwierdza Naz, marszcząc czoło. – Jeżeli dobrze pamiętam, objęły Wenezuelę jakimiś sankcjami.

– I obie strony powymachiwały trochę szabelkami – wtrąca Killian. – Mniej więcej w tym samym czasie wenezuelski prezydent zwietrzył, że waśniaki z USA chcą mu zorganizować tajny zamach stanu. No wiecie... – dodaje ciszej, z osobliwą nutą w głosie – ...jak to Stany.

Naz i Killian patrzą na siebie, tym razem chyba nieco mniej wrogo. W ich szczerych spojrzeniach jest coś w rodzaju wzajemnego zrozumienia, ale nie mam pojęcia, o co dokładnie chodzi.

– Widzę, że dokładnie mnie sprawdziłeś – mówi Naz.

– Wiodłeś pan cholernie ciekawe życie – odpowiada Killian.

Naz mruży oczy, ewidentnie czeka na jakąś dodatkową uszczypliwość, ale ta nie nadchodzi. Chyba lekko zbiło go to z tropu.

– Z przykrością psuję wam tę chwilę braterstwa, chłopcy – wtrącam. – Ale pogubiłam się.

W oczach Killiana pojawia się wyrachowanie, z szybkością błyskawicy.

– Nie mów, że nie opowiedziałeś Evie o ojcu, Nasir. Przecież to legenda naszej branży. – Naz milczy, na jego szyi pojawia się czerwony rumieniec. Killian parska. – Myślałem, że nie macie przed sobą tajemnic?

Naz stawia ku niemu pełen napięcia krok, ale ja zrywam się z ławki i wpadam między nich. Kładę Nazowi dłoń na piersi, po czym obracam się gwałtownie i zadzieram głowę na Killiana.

– Bo nie mamy.

– Nie licząc tego, jak cię okłamał w sprawie powodów swojej obecności na Cozumel – odpowiada Killian głosem niewiniątka.

Jeżeli ciało może naprawdę zamienić się w kamień, to Naz właśnie skamieniał. Stęzał pod moim dotykiem, jego ciało jest nieruchome niczym skała, lecz energia wprost strzela przemocą.

– Zachowujesz się po prostu gównianie, Killian – mówię spokojnie. – Jak smarkacz. Dorośnij. I daruj sobie te groźne spojrzenia, bo wiesz, że się ciebie nie boję. A teraz idź sobie, stań obok tej miłej staruszki w czerwonym szalu i daj nam chwilę.

Nie reaguje, więc dodaję ostrzej:

– No ruszaj, nie każ mi powtarzać.

Prycha, bo wie, że właśnie odpłacam mu tą samą monetą za to, jak traktował mnie na jachcie. Ale spełnia moje polecenie. Chowa ręce do kieszeni swoich drogich spodni, jakby nie chciał, by przypadkiem zacisnęły się na szyi Naza, a potem odchodzi swobodnym krokiem na drugą stronę rzędu ławek, gdzie zagaduje staruszkę w czerwonym szalu, która wydaje się kompletnie zdezorientowana zainteresowaniem ze strony obcego mężczyzny.

– Skarbie. Ej, ty tam – zwracam się do Naza. – Masz chwilkę?

Jego oczy śledzą ruchy Killiana, jak laserowy celownik nowoczesnych karabinów.

– Mam – rzuca krótko.

– A mógłbyś się na mnie skupić? Na sekundkę. – Gdy w końcu spuszcza na mnie spojrzenie swoich czarnych, płonących źrenic, mówię: – No cześć, przystojniaku. – Oddycha powoli i głęboko. – Dobrze, oddychaj, właśnie tak. Skoro już skupiłeś się na oddechu, to możesz posłuchać. Słuchasz?

Wydaje pomruk niedźwiedzia wybudzonego z zimowego snu.

– Mówiłam ci, że tak będzie. Mówiłam też, żebyś mu nie dał zaleźć sobie pod skórę. Wszystko, co mówi i robi, ma wytrącić cię z równowagi. Prowadzi z tobą partię szachów, ale ty już masz królową! I, uwaga, spoiler! Jesteś królem! Nie daj się rozjuszyć pionkowi. Superbohater nie wdaje się w takie przepychanki. Skarbie, zakładaj maskę wytrawnego gracza i do roboty.

Przez dłuższy czas po prostu na mnie patrzy, a jego mina przechodzi od wściekłości do zdumienia. Potem ujmuje moją twarz w dłonie.

– W poprzednim życiu musiałem zrobić coś naprawdę niesamowitego, że na ciebie zasłużyłem. – Delikatnie przykładając usta do moich warg, jego pocałunek jest tak czuły, że zapiera dech.

– Och... wierzysz w reinkarnację? – pytam tuż przy jego wargach. – Zabawne. W mojej wierze mamy tylko niebo, które wydaje się nudnawe, skoro trafiają tam tylko dobrzy ludzie. Kto chciałby spędzić wieczność na dzierganiu serwetek z zakonnicami?

Przez uderzenie serca patrzymy sobie w oczy, a potem uśmiechamy się równocześnie i jeszcze raz stykamy wargami.

Słyszę za plecami pełne niesmaku stęknienie.

– Jezus, Maria, Józefie Święty, dajcie sobie siana!

– Chyba właśnie rozgryzłem, jak jemu zajść za skórę – mówi Naz, po czym zaczyna rechotać.

Całuje mnie ponownie, tym razem głębiej, gdy odklejamy się od siebie, by zaczerpnąć tchu, ktoś burczy zrzędliwie tuż obok:

– I to niby ja jestem smarkaczem.

To Killian, stoi niecałe pół metra dalej i mierzy nas wzrokiem spod spuszczonej nisko brwi.

Naz się odprężył, pierwszy raz od początku spotkania. Zarzuca rękę na moje ramiona, przyciąga mnie do siebie i uśmiecha się szeroko.

– Och, zazwyczaj nazywa cię znacznie bardziej obraźliwie – stwierdzam, śmiejąc się.

Killian posyła mu wrogie spojrzenie, a potem patrzy na mnie badawczo. W końcu obraca się na pięcie i oddala o kilka metrów, przeczesując włosy palcami. Kiedy kilka chwil później wraca, na jego twarzy nie widać już żadnych emocji. Powraca całkowicie biznesowa postawa.

– Odkryliśmy, że prezydent Wenezueli zawarł z Dmitrijem umowę na przekazanie głowicy UR-100, która zostanie mu dostarczona statkiem handlowym...

– My? – wtrąca Naz. – Dla kogo dokładnie pracujesz?

– Przecież wiesz, że nie mogę powiedzieć – odpowiada Killian, machając niecierpliwie ręką. – Więc, tak jak mówiłem...

– Rosja wycofała pociski UR-100 pod koniec lat dziewięćdziesiątych – wtrąca Naz ponownie.

Killian zaciska zęby i na moment przerywa, jakby musiał się opanować.

– Rzekomo – odpowiada z przesadną łagodnością. – Czy mógłbym kontynuować?

– Pewnie – stwierdza radośnie Naz.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Killian potrzebuje jeszcze chwili, żeby wziąć się w garść, a uśmiech Naza jest coraz szerszy.

Faceci.

– Dmitrij ma głębokie powiązania z Federalną Służbą Bezpieczeństwa i rosyjską armią. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. On zatrzymał głowicę. Zaaranzował jej transport do Wenezueli. Jednak zanim udało się go zrealizować, przechwycono rozmowę pomiędzy nim a naszym przyjacielem Raphaellem Bergé, którego moi ludzie od dawna obserwowali.

– Kimkolwiek są – wcina się Naz, ale tym razem Killian go ignoruje i mówi dalej:

– Raphael nie był równie skrupulatny jak Dmitrij, jeśli chodzi o zabezpieczanie swojej łączności.

W przechwyconej rozmowie Dmitrij polecił, żeby zboczył z planowanego kursu na Halifax i wziął jakiegoś pasażera z Nowego Jorku. – Zerka na mnie. – Zapewne domyślacie się, o kim mowa.

– Więc w tym momencie wkroczyłeś. – Przypominam sobie tę noc, gdy poznaliśmy się na pokładzie *Silver Shadow* i robi mi się zimno, jak wtedy.

– Tak jest. – Przerywa, by na mnie spojrzeć, a gdy odzywa się ponownie, w jego głosie słychać nową, chrapliwą nutę i echo przeprosin. – Myślałem, że jesteś jego żoną.

– Więc wszystkim to wmawiał – mówi z irytacją Naz.

– Nie, Evo... – Killian kręci głową. – Chodzi mi o to, że myślałem, że jesteś jego żoną i współniczką.

– Wiem, o co ci chodzi. – Wzdycham ciężko, a Killian przełyka głośno ślinę, jego oczy zaczynają płonąć.

Ciszę rozprasza spokojny głos Naza.

– Przyjacielu, jeżeli wyciągniesz tę rękę i jej dotkniesz, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz.

Odgłosy w katedrze wydają się nagle bardzo donośne. Głosy i muzyka odbijają się od wapiennych murów. Każdy krok brzmi jak armatni wystrzał.

– Robimy, co uznajemy za słuszne, na podstawie wiedzy posiadanej w danym momencie – mówię cicho. – Naprawdę, Killian, gdybym była na twoim miejscu i mogła powstrzymać Dimitrija przed sprzedażą broni jądrowej opętanemu żądzą władzy tyranowi, to...

– Nie przebaczaaj mu – wchodzi mi w słowo Naz.

– Proszę, przebacz mi – mruczy Killian.

Stoimy w napiętej ciszy. Naz patrzy groźnie na Killiana, Killian na mnie, a ja... stoję między nimi i czuję się coraz bardziej niezręcznie.

– Zawrzyjmy układ – mówię w końcu, patrząc na Killiana.

– Co tylko zechcesz! – odpowiada natychmiast.

– Żadnych układów! – warczy równocześnie Naz.

– Wybaczę ci, jeżeli będziesz się zachowywał – mówię i spoglądam wymownie na Naza. – Wiesz, co przez to rozumiem.

– Nie wybaczaaj temu gnojkwowi ze względu na mnie! – woła oburzony Naz.

– Skarbie. – Zerkam w oczy ukochanego.

– Mówię poważnie! Uderzył cię! – przypomina wybranek mojego serca.

– Kochanie.

– Byłaś cała w siniakach! Mogłaś umrzeć!

Spoglądam na Killiana, który tylko stoi i nie broni się nawet jednym słowem.

– Więc? Obiecujesz? – pytam rzeczowo.

– Ano – odpowiada z trudem. – Obiecuję.

– Więc ci wybaczam. Ale jeśli nawalisz, cofnę przebaczenie i drugiej szansy nie dostaniesz – oznajmiam stanowczo.

Naz stęka z niezadowoleniem, Killian się uśmiecha, a wysoko w romańskich wieżach

rozśpiewują się dzwony.

Podnoszę głowę i widzę stadko gołębi przemykających w zamglonych promieniach słońca, ich blade skrzydła wzbijają małe tumany kurzu.

– O, świetnie, Bóg zatwierdza ten plan. Możemy zabrać się do pracy.

– Czy to oznacza, że odwołasz swoją bandę drabów? – pyta Killian Naza. – Jest ich sześciu, prawda? Ciekawi goście. Odrobinę rzucają się w oczy, ale wyglądają na kompetentnych. Jak to Niemcy.

– To nie jest moja podstawowa ekipa – burczy Naz.

– Rozumiem. Dałem ci mało czasu na przygotowania.

Naz mruży oczy i patrzy nań podejrzliwie, ale Killian zachowuje się bardzo uprzejmie. Na razie, więc trzeba to wykorzystać.

– Co powiedziałeś Dmitrijowi? O mnie? Gdzie według jego wiedzy teraz jestem?

– Gram z nim na czas. Myśli, że gdzieś cię ukryłem, dopóki nie wydobrzejesz na tyle, żebym mógł mu cię oddać.

– Powiedziałeś mu, że jestem chora? – pytam niepewnie.

Killian, co jest dla niego nietypowe, waha się nad odpowiedzią i przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

– Wysłałem mu... nagranie.

– Nagranie? – powtarzam wstrząśnięta i szybko mrugam powiekami.

– Nagranie? – duka Naz ze śmiertelnie spokojem.

– Wtedy jak zemdląłeś, gdy wyciągnąłem cię z oceanu...

– Co, do cholery?! – wtrąca się Naz, zaciskając zęby. Muszę mu to wyjaśnić, bo zaraz zaczną się bić.

– Wyskoczyłam za burtę. Killian ocalił mnie przed utonięciem. Potem straciłam przytomność, przez zmęczenie i infekcję – mówię Nazowi, po czym zwracam się do drugiego z mężczyzn: – Killian, jakie nagranie mu wysłałeś?

– No nagranie z tobą, eee, nieprzytomną... – odpowiada, zerkając czujnie na Naza.

Wykazuje się sporą inteligencją, bo nie dodaje „i naga”.

Tak, pamiętam jak ocknęłam się z gorączkowego snu i zauważyłam, że jestem nie tylko posiniaczona, ale także naga, ze zwiniętą szmatką przy stopach. Killian mógł przemywać nią moje rozpalone ciało.

Moje *nagie*, rozpalone ciało.

Fatalnie.

Staram się zachować spokojny głos, ale czuję już ciepło na policzkach, a żołądek zaczyna fikać salta.

– Rozumiem. I jak zareagował?

– Powiedziałbym, że nuklearnie. Gra słów nie jest zamierzona.

Naz obejmuje mnie mocniej, aż robi się nieco niekomfortowo. Daję mu kuksańca w zębra. Wypuszcza z nozdrzy niewidzialne kłęby dymu, ale nieco rozluźnia ramię.

– Przepraszam, kochana. Po prostu próbuję uniknąć trzeciego zawału w ciągu jednego dnia – mówi bardzo cicho.

– Rozumiem, wiem, że to wszystko jest bardzo dziwne. – Wzdycham. – W porządku?

Kieruje na mnie ciepłe spojrzenie.

– O mnie się nie martw, wszystko gra. A u ciebie w porządku?

– Jeżeli u ciebie w porządku, to u mnie też.

– Dotrzymanie tej obietnicy będzie znacznie trudniejsze niż sądziłem – mruczy pod nosem

Killian.

Naz uśmiecha się, patrząc mi w oczy.

– Wróćmy do Dmitrija – mówię.

– Dmitrij oczekuje, że w przyszłym tygodniu spotkamy się w Pradze, gdzie mam wymienić cię za głowicę – wyjaśnia Killian.

– Dlaczego w Pradze? – pyta Naz.

– Bo to moje ulubione miasto. – Patrzymy na niego z Nazem jak na głupka, więc dodaje: – Ma naprawdę wspaniałą architekturę. I, jak na mój gust, jedno z najpiękniejszych kościołów na świecie. Byłaś tam? – pyta mnie z uśmiechem.

– Nie.

– Powinieneś ją zabrać do katedry świętego Wita na Hradczanach – zwraca się do Naza. – To arcydzieło gotyku.

– Pewnie – odpowiada oschle Naz. – Dopiszemy to sobie do planu podróży, tylko najpierw raz-dwa podwędzimy Dmitrijowi atomówkę i oderżniemy mu łeb.

– Ratowanie świata nie powinno pociągać za sobą rezygnowania ze zwiedzania. Musiałem kiedyś przeniknąć do osobistych apartamentów papieskich w Stolicy Apostolskiej, ale zaraz po robocie zapisałem się na zwiedzanie Watykanu z przewodnikiem.

Zaintrygował mnie tym.

– Czyli, gdy akurat nie szpiegujesz, nie porywasz i nie mordujesz ludzi, lubisz zwiedzać kościoły? Dziwne, jak na człowieka, który nie wierzy w Boga.

– Romańska i gotycka architektura to jedna z moich pasji – odpowiada ze wzruszeniem ramion.

– Kim ty jesteś? – pyta Naz, robiąc krzywą minę.

– Nikim ważnym.

– Och, i do tego jeszcze skromny – kwituje Naz, przewracając oczami. – Ideal.

– Po prostu wykonuję swoją pracę.

– Która na czym polega, skoro o tym mowa? – pytam.

– Jeżeli jeszcze raz powiesz, że na „ratowaniu świata”, dostaniesz w gębę – ostrzega najeżony

Naz.

– Na tym, co akurat jest potrzebne – odpowiada Killian po chwili namysłu. – A w tej chwili musimy ustalić, jak zajmiemy się Dmitrijem. – Spogląda poważnie na Naza. – Eva jest kluczem całej operacji. Bez niej Wenezuela dostanie swoją atomówkę i zetrze Florydę z powierzchni Ziemi... – Zawiesza głos. – Wiem, że nikt nie przepada za Florydą, ale amerykański rząd tak czy siak się wkurzy.

– Odpowiedź Waszyngtonu z całą pewnością będzie szybka i bezlitosna – mówię, patrząc na

Naza.

– Jeżeli Wenezuelczycy wezmą na cel Miami, to w jednej chwili zginą dwa miliony ludzi, nie wspominając o kolejnych milionach, które umrą na chorobę popromienną i z powodu innych urazów – dodaje Killian.

– Nie możemy na to pozwolić! – rzucam z rozbudzoną tymi liczbami grozą.

Naz patrzy to na mnie, to na niego. W końcu zatrzymuje spojrzenie zmrużonych oczu na

Killianie.

– Powiedziałeś, że Eva jest kluczem do tej operacji.

– Zgadza się.

– Więc jak wyglądało twoje rozumowanie, gdy podrzuciłeś ją do kryjówki w Angra do Heroísmo?

– Moje rozumowanie?

– No do chuja pana, musiałeś mieć jakiś plan B? Najpierw ją porwałeś, ale później uznałeś, że to jednak kiepski pomysł, a potem zostawiłeś ją w swojej kryjówce, żeby ją mógł ją znaleźć. Jak zamierzałeś namówić Dmitrija do wymiany, skoro nie miałeś jej w rękach?

Przez chwilę Killian po prostu stoi i patrzy na Naza.

– Ja pierdolę – jęczy Naz.

– Co? – pytam, bo nie nadążam.

– Ten palant nie zamierzał kontynuować operacji bez ciebie – wyznaje mój ukochany.

– Czemu nie?

– Bo wiedział, że nie będzie musiał! – krzyczy Naz.

– Chłopaki, pogubiłam się. Byłby któryś łaskaw mnie oświecić? – Mrugam zdezorientowana.

Oświeca mnie Killian, bardzo spokojnym głosem.

– Eva, wy dwoje zrobicie dla siebie wszystko. Dzięki miłości jesteście silniejsi, ale też piekielnie

przewidywalni.

Oświecenie nadchodzi powoli, jak nieśpieszny wschód słońca nad oceanem.

– Wiedziałeś, że go namówię, żeby pozwolił mi w tym wszystkim uczestniczyć – stwierdzam.

Killian rozkłada ręce w przeproszającym geście.

– Podczas operacji lepiej mieć ochotnika niż niewolnika – wyjaśnia, po czym spogląda na Naza. – Albo dwóch ochotników. Gdy odkryłem, kim jesteś i dla kogo pracowałeś, nie mogłem ryzykować, że wyskoczysz mi gdzieś nagle, jak spod ziemi. Od mojego sukcesu zbyt wiele zależy... a żeby go osiągnąć, musiałem się z tobą dogadać.

– Ale przecież mnie porwałeś – mówię. – Mogłeś przeprowadzić transakcję i nie podzucać mnie do kryjówki, nie załatwiać mi opieki medycznej i w ogóle. Nie musiałeś opóźniać operacji przez moją chorobę!

Gdy Killian tylko patrzy na mnie bez słowa, Naz cedzi przez zaciśnięte zęby:

– Owszem, musiał.

– Dlaczego?! – pytam, wyrzucając do góry ręce.

– Bo jest najgorszy, oto dlaczego – burczy Naz, a potem zwraca się do Killiana: – I chcę mieć to nagranie z Evą, łącznie ze wszystkimi kopiami. Dzisiaj.

– Wszystko już zniszczyłem – odpowiada Killian z idealnie kamienną twarzą.

Jego kłamstwo jest dla wszystkich oczywiste.

Gdy obaj mierzą się wzrokiem tak bardzo naładowanym niechęcią, że cała katedra lada moment wybuchnie w kuli ognia, stwierdzam:

– No, ale będzie zabawa.

ROZDZIAŁ 25

Naz

O, ironio. Mężczyzna, którego mam ochotę zabić gołymi rękoma, bo skrzywdził moją ukochaną, uratował jej też życie – dwukrotnie, jak się okazuje – i na jej prośbę obiecał, że będzie dla mnie miły.

I bez wątpienia sam również się w niej zakochał.

Mam więcej powodów, by go nienawidzić, niż palców u obu rąk.

– Zanim posuniemy się dalej, musimy sobie jedno wyjaśnić – zwracam się do niego, pragnąc zachować spokój. – Nie ufam ci. Nic mi się w tobie nie podoba i fakt, że zapewniłeś Evie niezbędną opiekę medyczną to jedyny powód, jedyny, dla którego nie leżysz właśnie w kałuży własnej krwi.

Mój zjadliwy ton nie robi na nim wrażenia.

– A co z drugim faktem, że nie dostarczyłem jej Dmitrijowi, jak zamierzałem? Za to też należą mi się jakieś punkty, nie? – Killian patrzy na mnie z miną niewiniątka.

– Tak i dziękuję – wtrąca Eva, ściskając mnie za rękę i posyłając mi kątem oka spojrzenie mówiące: „okiełznaj konia, kowboju”. – Teraz pomówmy o dalszych krokach.

– Zawsze przechodzisz do sedna i myślisz z wyprzedzeniem – mówi, patrząc na nią ciepło. – Byłabyś dobrym strategiem wojskowym.

– Życie w nieprzemijającym cieniu przemocy sprawia, że odechciewa się owijać w bawełnę – odpowiada pośepnie Eva.

To stwierdzenie zostało wypowiedziane z tak kamiennym tragizmem, że obaj z Killianem stanęliśmy jak wryci, bo nie wiemy, jak zareagować.

Przepycha się obok nas grupa trajkoczących po chińsku turystów, zmierzających w stronę Madonny z Pócs. Nie mają pojęcia, że tuż pod ich nosem rozgrywa się znacznie ciekawsze przedstawienie. Pozwalamy im przejść w milczeniu, po czym Eva mówi:

– Skoro mowa o myśleniu z wyprzedzeniem, możliwe, że Dmitrij już wie, co kombinujesz.

– Wyglądam ci na nowicjusza w tej branży? – pyta Killian, unosząc brew.

Eva patrzy na niego dziwnie, nigdy nie widziałem tego spojrzenia, w jej oczach widać zmęczenie światem.

– Nigdy nie lekceważ diabła.

Killian zerka na mnie, ściągając brwi.

– Ma rację – mówię. – Ma szerokie koneksje, ale to jego przebiegłość jest prawdziwie niezmiernona. Lubi pogrywać ze swoimi wrogami. Wije sieć i wpadasz w nią, zanim się zorientujesz. Nie wiem, jakie środki podjąłeś, żeby zakamuflować, gdzie jesteś i co planujesz, ale potrój je.

– Nikt nie wie, gdzie jestem i co planuję – odpowiada pewnie.

– Nawet twoi ludzie? – dopytuje.

– Wiedzą tylko, jaki chcę osiągnąć cel, nic ponadto.

– Tak czy owak – mówi Eva – posłuchaj rady Naza. Gdyby Dmitrij dawał się zaskakiwać, to nie byłby dziś w tym miejscu. Jeżeli uważasz, że ja mam umysł stratega, to on ma umysł Stradivariusa. – Przymyka oczy, bierze głęboki wdech i mruczy: – Jest instrumentem zła, idealnie nastrojonym.

To straszne, tak stać i gapić się, jak Killian ze sobą walczy, żeby nie wziąć Evy w ramiona. Równocześnie ja walczę, żeby nie popchnąć go z całej siły. Nie mam bladego pojęcia, jak niby mamy współpracować.

– To się nie uda – rzucam nagle.

– Co takiego, skarbie? – pyta Eva, wybałuszając na mnie oczy.

– Ta współpraca. Nie ręczę, czy przez przypadek nie wepchnę tego chuja pod samochód.

– A już myślałem, że się dogadujemy... – wtrąca niewinnie Killian.

– Nie mielibyśmy tego problemu, gdybyś przestał się na nią gapić, jak ktoś, kto latami błąkał się

po dziczy bez jedzenia i natrafił na soczysty, gorący stek skwierczący na masełku.

– Cóż za wyrazista wyobraźnia – mówi z uśmiechem. – Ładną wizję odmalowałeś. Aż mi ślinka pociekła. – Spogląda na Evę spod na wółprzymkniętych powiek. – Prawie czuję smak tych soków...

– Killian... – ostrzega go Eva.

– Wiem. Obiecałem. – Unosi obronnie ręce. – Już jestem grzeczny. – Patrzy w moją stronę. –

Przepraszam.

– Nie przyjmuję.

– Oj, no teraz to już zraniłeś moje uczucia.

– Na uczuciach się nie skończy – rzucam, krzywiąc się.

– Uważaj, Nasir. Kiepsko znoszę groźby.

– A postrzały? Bo będziesz podziurawiony jak sito. – Puszczam mu oczko.

Po kilku chwilach, które spędzamy na kolejnej wymianie zabójczych spojrzeń, Eva wzdycha ciężko i mówi:

– Masz rację – oznajmia, zerkając na mnie. – To kiepski pomysł. Zajmę się Dmitrijem sama.

Zaskoczyła nas obu, bo obracamy się w jej stronę z tym samym niedowierzaniem na gębach.

– No i coście tacy zdziwieni? – pyta rozdrażniona. – Gdzieś tam jest broń jądrowa, a was interesuje tylko wewnętrzny konkurs o to, który ma większy zasięg strumienia moczu.

Co do jednego Killian miał rację. Eva potrafi przechodzić do sedna.

Kurwa mać. Będę musiał się pokajać i to nie będzie przyjemne.

– Masz rację, kochana. Dobra, Killian. Przepraszam. – Wyciągam do niego rękę. – Rozejm.

Patrzy na moją dłoń z lekkim niesmakiem. Po chwili wahania podaje mi swoją i wymieniamy uścisk dłoni.

– Dobrze – mówi Eva. – Czy moglibyśmy pójść dokończyć tę rozmowę w jakieś ustronne miejsce? Muszę usiąść.

Patrzę na nią wystraszony. Na jej policzkach pojawia się niezdrowy rumieniec, a na linii włosów krople potu.

– Wszystko dobrze? Jak się czujesz?

Patrzy na mnie i uśmiecha się.

– Silna jak byk.

W tym momencie oczy uciekają jej w głąb głowy i kolana się pod nią uginają.

Łapię ją w ostatniej chwili, zanim uderza z łoskotem o posadzkę.

– Wszystko gra. Na serio, chłopaki. Nie wiście tak nade mną, denerwujecie mnie.

– Ciebie? A my to co, jak niby się czujemy?

Próbuję się nie irytować, że Killian uwzględnił w tym pytaniu nas obu, ale uznaję, że ważne jest to, jak reaguję, a nie to, co czuję. Dwóch samców skaczących sobie do gardeł to ostatnie, czego Eva teraz potrzebuje, więc ignoruję go i skupiam się na niej.

– Kochana, chcesz więcej wody?

Eva uśmiecha się do mnie. Siedzi między nami na drewnianej ławie, obaj się nad nią pochylamy.

– Nie. Jeszcze nie dopiłam pierwszego kubka – zawiesza głos, zastanawia się. – Nie napełniłeś go w kamiennej kropielnicy przy wejściu, prawda?

– Obiecuję, że to nie woda święcona.

– Miewałaś już przypadki omdlenia? – pyta Killian.

– Nie zemdlałam. – Eva brzmi na porządnie rozdrażnioną. – Po prostu lekko zakręciło mi się w głowie.

– Odczuwasz jakieś inne problemy? Z równowagą, głębokością oddechu, coś takiego?

– Nie, a co? – pyta go zaniepokojona.

– Zapalenie wsierdzia ma czasami paskudne powikłania – odpowiada, patrząc na mnie poważnie.

– Krew ma w porządku – odpowiadam. – Poziom białych krwinek wrócił do normy, nie ma śladu

po infekcji.

– Zapewne ten cały krążący w powietrzu testosteron zakłóca normalne funkcjonowanie mojego mózgu – oświadcza cierpko Eva. – Wyjdźmy na zewnątrz, odetchnę świeżym powietrzem.

– Możemy też wrócić do waszego apartamentu w Hiltonie – mówi Killian.

Eva patrzy na mnie wymownie, a ja na Killiana, tyle że zabójczo.

– Skąd wiesz, gdzie się zatrzymaliśmy? – pytam ostro.

– Mogę ci powiedzieć, ale później musiałbym cię zlikwidować – odpowiada po chwili namysłu.

– I znowu się zaczyna... – wzdycha Eva, przewracając oczami.

– Przepraszam, to był kiepski żart – przyznaje Killian. – Zainstalowałem w systemach bezpieczeństwa wszystkich większych hoteli w okolicy odpowiednio dostrojony program rozpoznawania twarzy.

Patrzemy na niego z Evą. Przyznaję to z trudem, ale jestem pod wrażeniem.

– Ha... – wzdycham.

– Wiem, jestem wspaniały – mówi.

– O, popatrz, skarbenku – *dorzuca* Eva z kwaśnym uśmiechem. – Killianek zaczyna po tobie powtarzać.

Gnojek zerka na mnie i przygryza dolną wargę, zapewne próbuje okiełznać gówniany wyszczerz zadowolenia.

Boże, naprawdę go, kurwa, nienawidzę.

– Tak z ciekawości, po co ci wiedzieć, gdzie się zatrzymaliśmy?

– Na wypadek, gdyby coś ci się stało.

Eva jest chyba zdezorientowana tym enigmatycznym stwierdzeniem, bo marszczy czoło, ale ja doskonale wiem, co chciał powiedzieć. Usłyszałem niewypowiedziany ciąg dalszy głośno i wyraźnie, wyłapałem lekki nacisk położony na „ci”. To nie była zawołana groźba pod moim adresem, tylko... oferta wsparcia dla Evy.

Gdyby coś mi się stało, on wkroczy i ją ochroni.

Czekam, że furia ściśnie mnie za gardło, lecz zamiast furii pojawia się nowa, ukierunkowana na Killiana emocja. Emocja, która jeszcze kilka chwil temu nie mieściłaby mi się w głowie.

Wdzięczność.

Nie znoszę go i absolutnie nie ufam jego pobudkom, ale być może jest jedynym człowiekiem na świecie, przy którym, nie licząc mnie, byłaby bezpieczna.

Muszę naprężyć całą siłę woli, ale udaje mi się wycedzić przez zaciśnięte zęby:

– Dziękuję.

Przygląda mi się bez słowa, a w końcu po prostu kiwa głową.

Eva patrzy to na mnie, to na niego, marszczy nos i stwierdza:

– Boże, ale z was dziwacy.

A wtedy objawia się prawdziwy cud. Uśmiechamy się do siebie, ja i Killian.

Może jednak mogę sobie zaufać i nie wepchnę go pod samochód.

Może.

Nie wracamy do hotelu. Udajemy się do cichej kawiarenki w bocznej uliczce, kilka kwartałów od katedry, i siadamy przy stoliku w kącie sali, obok wychodzącego na ulicę okna.

Killian zamawia espresso. Ja zamawiam Evie jedzenie. Milczymy, dopóki kelnerka nie wraca z zupą jarzynową i czarną jak atrament kawą, podaną w maleńkiej porcelanowej filiżance, która jakimś cudem wcale nie wygląda w jego wielkich łapach komicznie, lecz elegancko.

Patrzemy z Killianem, jak Eva je.

– Gdybyście w najbliższym czasie zechcieli przestać się gapić i zacząć rozmawiać, byłoby super – rzuca, przestając na chwilę jeść.

– I jak ta zupa? – pytam, bo nie chcę po raz setny pytać, jak się czuje.

Podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się pobłaźliwie.

– Pyszna, skarbie. I do tego czuję się idealnie. Przestań się martwić.

– Gdybyś się zastanawiał, moje espresso też jest pyszne – wtrąca Killian. – Zamówimy kolejkę twojej bandzie oprychów?

Żałuję, że jego rodzice mieli okazję się poznać.

Podążam za jego wzrokiem i wyglądam przez okno. Oczywiście, że tam są, ukryci tak świetnie, że widoczni jak na dłoni, sześciu gniewnych Niemców w długich czarnych płaszczach. Czają się za węglem, jak nieudolni statyści wywaleni z planu filmu dokumentalnego o SS.

– Obawiam się, że jeżeli każemy kelnerce wyjść na zewnątrz, otworzą ogień – burczą.

– No, wyglądają coś nerwowo... – zauważa Killian.

– Wyjść im powiedzieć, że mogą już sobie pójść? – pyta Eva.

– Nie, dlaczego? – pytam.

– Bo tylko ja znam tutaj niemiecki – odpowiada.

Patrzę ostro na Killiana, zastanawiając się, skąd Eva wie, jakie zna języki, ale on nagle jest ogromnie zainteresowany stanem własnych paznokci.

Znowu pragnę go zabić.

– Pomówmy o logistyce – zagajam, żeby stłumić chęć wbicia mu widelca w oko. – Opowiedz o spotkaniu z Dmitrijem. Jak je ustawiłeś?

– Mamy się spotkać na Moście Karola, w następny wtorek o północy. To most na Wełtawie, z wyłącznie pieszym ruchem. Ja mam zająć miejsce na wschodnim krańcu, on na zachodnim. Gdy zobaczy, że Eva jest cała i zdrowa, prześle mi koordynaty lokalizacji broni.

– Prześle? Jak? Komu? – pytam.

– Przekaze informacje pośrednikowi, którego ze sobą zabiorę.

– A kimże jest ten pośrednik?

Killian patrzy na mnie spokojnie, czeka, *aż załapię*.

Gdy pod moją grubą kopułą zapala się lampka, mówię:

– Wiedz, że nigdy wcześniej nie byłem taki przewidywalny.

Uśmiecha się, ale nie wrogo ani szyderczo. Ze zrozumieniem.

– Wierzę.

– Naprawdę, nie chcę się chwalić i tak dalej, ale jestem znakomity w tym, co robię.

– Wiem. To nie twoja wina. Ona nie ma pojęcia, jak bardzo potrafi facetowi namieszać w głowie.

– Czekaście, o czym wy mówicie? – pyta Eva.

– O niczym – odpowiadamy z Killianem *równocześnie*.

Patrzy na nas zdziwiona, po czym burczy do miski zupy:

– Faceci.

– Jak zweryfikujesz te koordynaty i przejmiesz broń? – pytam.

Killian dopija espresso, odstawia maleńką porcelanową filiżaneczkę na stolik i rozpira się wygodnie na krześle.

– Zadzwoisz pod numer, który ci podam i przekazesz osobie, która odbierze informacje otrzymane od Dmitrija. Ten człowiek wyśle swój zespół, który odzyska broń.

Oczywiście nie odpowie na pytania dotyczące tożsamości tego człowieka, ale nie jest ona szczególnie ważna. Liczy się co innego.

– Dmitrij obstawi teren snajperami. Zastrzelili nas obu, gdy tylko zobaczy Evę. Wjedziemy prosto w jego sidła – stwierdzam, drapiąc się po brodzie.

– Rozmieściłem już własnych snajperów i rozpocząłem obserwację terenu. Jeśli będzie coś kombinował, zauważę to i zajmę się tym.

– Z tygodniowym wyprzedzeniem? Rozmieściłeś ludzi z tygodniowym wyprzedzeniem?

– Ostrożności nigdy za wiele – odpowiada z pokorną miną.

– Powiedziałeś, że nikt nie zna twoich planów, a co najwyżej ostateczny cel. Jeśli już wysłałeś ludzi...

– Freelancerów – wtrąca, kiwając głową. – Nie znają się nawzajem, nie wiedzą, dla kogo pracują, nie wiedzą, kto jest celem. Otrzymają zdjęcie Dmitrija tuż przed spotkaniem.

Bębnię palcami w stolik, zastanawiam się.

– Weryfikacja miejsca położenia broni może zająć twoim ludziom godziny, a nawet dni. Co, jeśli głowica jest w kontenerze na statku handlowym w, dajmy na to, Trypolisie?

– Moi ludzie mogą dotrzeć na każdy punkt na kuli ziemskiej w trzydzieści minut – *odpowiada z niezachwianą pewnością siebie.*

Prycham z niedowierzaniem.

– Na serio? Macie środki na Antarktydzie? Jakie? Pingwiny i jebane wieloryby?

– Nie wiem, co gorsze. Twoja wrogość, wulgarność czy sarkazm – mówi kwaśno.

– Nie unikaj pytania.

– Ano – odpowiada oziębło. – Mamy na liście płac wytresowane pingwiny. Są znacznie bystrzejsze, niż myślisz.

– Chłopcy, bawcie się grzecznie – mówi Eva, wzdychając jak zmęczona matka.

Odchyłam się na krześle i krzyżuję ramiona na piersi, po czym oświadczam uroczyście:

– Nie podoba mi się ten plan.

Killian łapie się za nasadę nosa i wzdycha.

– Dmitrij powinien przekazać namiary na broń, zanim pokażesz mu Evę. Nawet te wysnione trzydzieści minut to zdecydowanie za długo, bo przecież będziemy stali na tym moście całkowicie odkryci. Zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak.

– A co się stanie, jak już przejmiesz broń? – pyta Eva. – Na pewno będzie miał ludzi, którzy mu zgłoszą, że twój ją zlokalizowali. Nie będziesz mógł wodzić go za nos i grać na czas.

– Och, od dawna będzie martwy.

Oboje z Evą patrzymy na niego i mrugamy powoli.

– Że jak? – rzucam.

– Dostanie kulę w łeb, gdy tylko poda ci koordynaty.

Gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Przecież musicie zweryfikować, że podał właściwe! – krzyczę, irytując się. – Może was wyprowadzić na manowce, a w międzyczasie zalać most swoimi ludźmi!

Killian zerka na Evę, potem na mnie.

– Podjąłbyś takie ryzyko na jego miejscu? Bo ja nie – mówi niskim głosem.

Pyta, czy podałbym fałszywe dane, gdyby na szali leżało zdrowie Ewy.

– Ale ja i ty to nie Dmitrij – wyduszam przez ściśniętą szczękę. – Nie możemy zakładać, jak się zachowa.

– Wy może i nie, ale ja mogę. – Eva kończy jeść zupę i wyciera usta serwetką.

– I? – pyta Killian.

Patrzy na niego, potem na mnie.

– Możecie wyrzucić do śmieci wszystkie przewidywania odnośnie do Dmitrija.

– Rozmawiałem z nim. – Killian nie daje za wygraną. – Pewnych nut w głosie nie mógł zamaskować. Jesteś dla niego ważniejsza niż ta broń.

Ewa uśmiecha się delikatnie, z lekkim pobłażaniem.

– Jest coś, co ceni znacznie wyżej niż mnie, tę całą głowicę czy cokolwiek innego.

– Czyli? – popędzam ją.

Przenosi na mnie wzrok i na jego widok przechodzą mnie ciarki.

– Kontrola – stwierdza. – W tym jest najlepszy. To jego największy talent. Pozwoli wam myśleć, że wygrywacie, pozwoli wam myśleć, że macie przewagę... ale tylko dlatego, że w ostatecznym rozrachunku to dla niego korzystne. Jeżeli chcecie z nim wygrać, musicie przestać zakładać, że go przechrzycie. Na pewno już wyprzedza was o trzy kroki.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczymy.

– Więc... co proponujesz? – pytam w końcu.

– Proponuję, żebyśmy się przygotowali na to, co naprawdę wydarzy się w Pradze.

– Mianowicie? – pyta Killian, nachylając się nad stolikiem.

Jej odpowiedź jest prosta i przerażająca.

– Na wojnę.

ROZDZIAŁ 26

Eva

Widzę po ich minach, że nie chcą mi wierzyć, ale ostatecznie to robią.

To krok w dobrym kierunku, ale wierci mnie w żołądku i czuję się gorzej, niż przyznaję, więc proszę, żebyśmy dokończyli rozmowę nieco później. Powinnam była się domyślić, że to pytanie rozjuszy oba tygrysy.

– Dlaczego? – rzuca Naz, prostując się jak porażony prądem. – Co się stało?

– Źle się czujesz? – pyta Killian, cały się napinając.

– Jestem zmęczona – odpowiadam, unikając ich przenikliwych spojrzeń. – Nie szalejcie.

– Eva...

– Skarbie, po prostu muszę na chwilę przymknąć oczy – mówię, kładąc swoją dłoń na dłoni Naza. – W nocy kiepsko spałam, nie zjadłam śniadania, a nowiny od Killiana trochę mną wstrząsnęły. Możecie wrócić do rozmowy w hotelu.

– Nie wracamy do tego hotelu – stwierdza Naz zapiekle.

– Daj spokój – mówi Killian, rozkładając ręce. – Nadal mi nie ufasz? Podaliśmy sobie ręce!

– Proszę cię, nie zmuszaj mnie, żebym przebił cię widelcem.

– Pragnę zauważyć, że ja się staram – mówi Killian, patrząc na mnie.

– Dostaniesz pochwałę na świadectwie.

Wstaję z krzesła. Obaj zrywają się na równe nogi i wytrzeszczają oczy na kelnerkę, która właśnie przyniosła rachunek.

– Mógłby ktoś zapłacić tej biednej kobiecie? – pytam, machając w jej stronę. – I przykręćcie wasze machismo o kilka tysięcy poziomów, skoro już o tym mowa. Ludzie patrzą, jakby spodziewali się bójki.

Nie czekam na ich odpowiedź, odwracam się i idę do drzwi. Słyszę za plecami jakieś poruszenie, szuranie stóp i przesuwanie krzeseł na drewnianej podłodze, ale idę niezrażona przed siebie, wychodzę na chodnik i nabieram w płuca świeże powietrze.

Naz i Killian cicho materializują się obok, po obu moich stronach, jak napakowane podpórki do książek.

– Jak się z tobą skontaktuję? – pyta Naz, spoglądając z niesmakiem na jednego z Niemców w płaszczu, który kręci się po drugiej stronie ulicy.

Killian wyciąga zza poły marynarki śnieżnobiałą wizytówkę. Wsuwa ją pomiędzy dwa palce i podaje Nazowi. Mój ukochany przygląda się jej, coraz wyżej unosząc brew.

– Numer bezpłatny?

Killian kiwa głową.

– Międzynarodowy. Zostaw wiadomość głosową, a zostanie mi natychmiast przekazana, gdzie bym nie był. – Zawiesza na chwilę głos. – Nawet na Antarktydzie.

Naz patrzy na wizytówkę, jakby miał ochotę wepchnąć ją sobie do ust, przeżuć i wypluć na chodnik. Wyrывam mu ją więc i chowam do kieszeni dzinsów.

– Dziękujemy – mówię. – Zadzwońmy za kilka godzin i się umówimy. Tym razem Naz wybierze miejsce, żeby te nieudolne kameleony się za nami nie wlekły.

Wskazuję głową Niemców, którzy zbili się w grupkę, jak ławica piranii, pod pralnią kawałek dalej i obserwują nas zmrużonymi oczyma, podczas gdy wystraszeni przechodnie omijają ich szerokim łukiem, przyspieszając kroku.

– Oczekuję, że w międzyczasie będziecie przesyłali sobie miłe myśli.

– Być może tego nie widać, ale mam bardzo wysokie mniemanie o twoim mężczyźnie – odpowiada Killian niewinnie.

- Ja pierdolę, kurwa... – odpowiada Naz, naśladowując odruch wymiotny.
- Myślisz, że dałbym swój numer byle komu?
- No przestań, bo się zarumienię – ironizuje Naz.
- Sarkazm jest zbędny. Mówię szczerze, jak na spowiedzi.
- Pewnie, a ja jestem Dolly Parton.
- Hmm, w takim razie na żywo jest pani mniej cycata.

Gdy wymieniają kolejne spojrzenia świadczące o wzajemnej niechęci, przyglądam im się baczniej i dochodzę do wniosku, że pod powierzchnią tych docinków i wypinania torsów, obaj dobrze się bawią.

Oczywiście żaden by się do tego nie przyznał.

- Do widzenia, Killian – żegnam go.

Obraca się do mnie i uśmiecha serdecznie.

– Do widzenia. Pocałowałbym cię w dłoń, ale lubię swoją głowę. Wolę, żeby nie toczyła się samodzielnie po bruku.

– Bądź poważny – parska Naz. – Z odcinaniem głowy byłoby za dużo roboty. Po prostu wpakowałbym ci kulkę. Kulki, z dziesięć albo dwanaście. Potem zmieniłbym magazynek...

Kręcę głową z udawanym niesmakiem. Nie chcę się śmiać, żeby ich nie zachęcać.

Killian zerka na Naza. Wykonują to takie krótkie kiwnięcio-zadarcie brody, którym pozdrawiają się faceci, po czym Killian odwraca się na pięcie i odchodzi ulicą.

Naz patrzy za nim i przyciąga mnie do siebie.

- Znajdźmy jakąś kafejkę internetową.

– Po co?

- Mówiłem poważnie, nie zostaniemy w tym hotelu – wyjaśnia, mrużąc powieki.

Jedziemy taksówką do Hiltona po bagaże, a potem idziemy do pobliskiej kafejki internetowej. Naz, używając pokrytej z góry, anonimowej karty debetowej i bezpiecznego połączenia wi-fi, bukuje nam mieszkanie przez Airbnb w drugiej dzielnicy, kawaleczek od stacji metra. Jest nowoczesne, urocze i znajduje się nad innym apartamentem, który ma mały ogródek, a w nim psisko niestrudzenie obszczekujące każdego przechodnia.

– System ochrony w pakiecie – stwierdza Naz, obserwując psa z balkonu. Chwilę później zwierzę straszy niemal na śmierć młodą mamę, która spaceruje z wózkiem wzdłuż płotu z kutego żelaza, bo ujada, obnażając kły i rzuca się na ogrodzenie całym ciężarem ciała. Najwyraźniej przekąsiłby potomka tej pani.

- Czym oni karmią tego nieboraka? – zastanawiam się na głos. – Kociętami i żyłkami?

- Ludzie pisali w opiniach, że mieszkanko jest świetne, ale pies na dole to prawdziwy koszmar.

I mieli rację.

Naz wchodzi do środka, ściąga płaszcz, wyciąga z różnych kieszeni i pochw tony uzbrojenia i układa je na szafce przy telewizorze. Zdążyłam naliczyć trzy pistolety i pół tuzina noży.

- Nieźle, jesteś jak chodzący arsenał.

Odwraca się do mnie z uśmiechem, gdy też wchodzi do mieszkania i zamykam balkon.

- A nie zdjąłem jeszcze butów.

Spoglądam zaniepokojona na jego masywne buciory bojowe.

- Czyli to w nich trzymasz karabiny maszynowe?

– Sugerujesz, że mam przerośnięte stopy, kochana? – pyta zadziornie. – Bo wiesz, jak mówią, faceci z wielkimi stopami zazwyczaj mają równie wielkie...

- Ego – wypełniam jego pełną dramatyzmu pauzę. – Jestem w pełni świadoma.

Podchodzi i bierze mnie w ramiona. Obejmuję jego duże, twarde ciało i oddycham z ulgą.

- Muszę przyznać, że spotkanie z Killianem poszło lepiej, niż się spodziewałam.

- Pomimo że ciągle na siebie pyskowaliście?

- Obyło się bez krwi i siniaków – odpowiadam, wtulając się w niego jeszcze bardziej. –

Poczytuję to za sukces.

– Co myślisz o jego planie?

Przyjemnie zaskoczona, że Naz pyta mnie o zdanie w tak delikatnej sprawie, odsuwam się lekko i patrzę mu w twarz.

– Szczerze? Myślę, że jest dziurawy jak szwajcarski ser.

Odsuwa włosy z mojej twarzy i delikatnie całuje mnie w usta.

– Ja też.

– Panie Kent, proszę postarać się troszkę ukryć satysfakcję. – Chichoczę.

– To trudne. Wiem, że mam masę wad. Ale odkrycie, że zalicza się do nich także zazdrość, sprawia mi sporą przykrość.

– Skarbie – mówię czule, zaskoczona tym wyznaniem – nie musisz być o nic zazdrosny. On nie gra w twojej lidze. Nie gra nawet w tym samym układzie planetarnym.

Naz udaje skromnego, patrzy spod rzęs, wydyma usta.

– Oj no, przestań. Takie rzeczy opowiadasz...

Zarzucam mu rękę na szyję, wspinam się na palce i całuję go w usta.

– Czyżby liczył pan na więcej komplementów, panie Kent?

– Tak, Minervo – odpowiada chrapliwie, ściskając mnie mocniej. Jego oczy zamieniają się w płynne ciepło. – Musisz mi przypomnieć, czego paskudna czarownica twojego pokroju szuka u kogoś takiego jak ja.

– A może po prostu ci pokażę... – odpowiadam, ocierając się o niego piersiami.

– Myślałem, że jesteś zmęczona.

– Dla ciebie zawsze znajdę siły – szepczę i całuję go ponownie, tym razem namiętniej.

Bierze w garść moje włosy, tuż nad karkiem, i wydaje niski pomruk zadowolenia. Trzyma mnie przy sobie w ten swój sposób, dzięki któremu zawsze czuję się pożądana, ale też całkowicie bezpieczna. Gdy otacza mnie ramionami, mam wrażenie, że już nigdy nie przytrafi mi się nic złego.

Jego pocałunek jest jak dom. Jak niebo. Jak najmiększa poduszka, na którą mogę swobodnie upaść.

Odkleja się od moich ust z zalotnym rechotem i muska nosem wrażliwy punkt tuż pod moim uchem.

– To chyba mam szczęście – szepcze – bo ja też zawsze mam dla ciebie dość sił.

Zsuwa moją kurtkę i rzuca ją na podłogę. Ostrożnie wsuwa ciepłą dłoń pod moją koszulkę i zdejmuje mi ją przez głowę. Rzucona niecierpliwie bluzka też kończy na podłodze, a jego dłonie lądują na moich piersiach, jego usta na moich ustach i oboje jęczymy w żądzy, która zapłonęła między nami jak nagły pożar.

Moje nogi uderzają o krawędź materaca. Na chwilę się od siebie odrywamy, żeby pozbyć się jego marynarki i koszuli, a potem padamy na łóżko, nasze ręce i nogi się przeplatają, całujemy się, jakby trawiła nas gorączka, z wręcz paniczną namiętnością. Czuję na sobie jego ciepło i ciężar. Naz przygważdża mnie do materaca, unoszę lekko nogi, żeby wpuścić go między uda.

Już mu stoi. Gdy zanoszę się śmiechem na wdechu, patrzy na mnie z góry, z bananem na ustach, i napina miednicę.

– Człowiek Erekcja kontratakuje.

– Dobry Boże, jesteś najlepszym superbohaterem w historii. Pośpiesz się i ściągnij majtki.

Tym razem on wybuchu śmiechem, z trudem łapiąc oddech, tak samo jak ja. To śmiech radości i dzikości, które odbijają się w jego oczach. Podrywa się błyskawicznie, prawie rozrywa zamek moich dżinsów i pośpiesznie je zsuwa. Pozbywa się moich butów i skarpetek, dżinsy zrywa razem z majtkami, a na koniec wyrzywa pasek ze swoich spodni i rozpina rozporek.

Stojący drąg wyskakuje mu prosto do ręki, sterczy dumnie twardy jak skała. Nie potrafię mu się oprzeć.

Siadam, odpycham na bok jego rękę i biorę go do ust.

Jego zszokowane jęknięcie to najseksowniejszy odgłos, jaki słyszałam. Obejmuję dłońmi jego męskość i ssę końcówkę.

– Kurwa... – szepcze. – Och, słodki Jezu, ja pierdołę, błagam, nie przestawaj.

Ujmuję w dłoń jego jądra, a potem rozwieram gardło i przyjmuję go najgłębiej, jak potrafię, aż czuję na brodzie krótkie włoski, rosnące u nasady jego członka. Głębiej nie dam rady.

Naz zatapia roztrzęsione dłonie w moich włosach. Jego rwany oddech przechodzi w kolejny jęk, jeszcze niższy i bardziej przeciągły, bo zmieniam kierunek i wracam do ssania końcówki.

Gdy wchodzę w rytm – jeden wolny ruch dłońmi w dół, a potem zasysanie i lizanie końcówki, zatrzymanie obu dłoni u podstawy – Naz zaciska pięści. Delikatnie porusza biodrami, zgodnie z moim rytmem. Po chwili przy każdym pchnięciu cicho pomrukuje, a przy każdym pomruku napina mięśnie brzucha. Są takie jędrne.

– Kochana... – chrypi.

Omiotam językiem grubą żyłę na spodzie jego męskości, cały czas patrząc mu w oczy. Naza przechodzą dreszcze, powieki opadają na jego zaszklone oczy.

Nagle ląduję na plecach, patrząc w sufit, jego rozpalone, wspaniałe usta odnajdują środek mojego ciała, a język zanurza się głęboko.

Wyginam się w łuk, krzyczę. Słyszę, jak wydaje z siebie odgłos, stłumiony pomruk męskiej dumy z mojej zwierzęcej reakcji. Jego usta zamykają się wokół łechtaczki. Gdy zaczyna ssać, już nic nie słyszę, bo rozkosz jest tak intensywna, że skupiam się tylko na rozpalonym do białości punkcie między udami, który pulsuje jak tętno, podczas gdy Naz nieustannie mnie pieści, wsuwa we mnie swój gruby palec, aż wije się w ekstazie.

Dochodzę ostro, z krzykiem.

Nie jestem nawet w połowie orgazmu, gdy on zaczyna mnie rznąć, pieprzy mnie w dzikim zapomnieniu, z desperacją równą mojej. Widzę to zwierzę pierwszy raz, jak gdyby jakaś pradawna, bytująca w głębokiej jaskini bestia zerwała łańcuchy i wyrwała się na wolność, by w końcu zaatakować spokojne przestrzenie mojej duszy i rozerwać z nienasyconym, pierwotnym głodem wszystko, co napotka na swej drodze.

Wbijam paznokcie w jego plecy. Nakręca go to jeszcze bardziej. Łapie mnie za twarz i całuje, rznąć. Taranuje mnie biodrami bez końca, szeroki przestwór jego twardego torsu rozpląszcza mi piersi, sprężyny łóżka skrzypią gorączkowo pod nami, pies na dole głośno wyje, zagłówek dudni głucho o ścianę.

Zawsze było między nami wiele namiętności. Zawsze było dobrze. Ale nigdy aż tak. Seks pochłania nas tak bardzo, że to aż trochę straszne. Jest tak dziki, że niemal opętańczy. Tak mocny, że prawie niebezpieczny, jak nieokiełznany żywioł, który może roznieść i rozerwać nas na strzępy.

Kolejny orgazm uderza jak detonacja bomby. Gdy tężeje pod nim, z trudem łapiąc powietrze, Naz głośno jęczy.

– O, kurwa, tak, kochana, daj mi to, daj mi to, kurwa... ja też dochodzę...

Kończy zduszonym krzykiem, całe jego ciało podryguje. I wtem czuję głęboko w środku pulsowanie i rozlewające się ciepło, Naz spuszcza się, jęcząc moje imię.

Obmywa mnie fala emocji. Po części miłość, po części groza, obie tak silne, że z trudem oddycham. Łapię się Naza z całych sił, a on mnie całuje, jego ciało się rozluźnia, ręce mu drżą, a tors pokrywa warstwa słodkiego potu.

Przyciągam jego głowę i zaciekle szepczę mu na ucho:

– Kocham cię. Nigdy o tym nie zapominaj. Nigdy nie zapominaj, że należę do ciebie.

Przewraca się na plecy, ciągnąc mnie za sobą, ale uważa, żeby we mnie pozostać. Patrzy na mnie z dołu, bardziej boski niż kiedykolwiek. W jego oczach widać totalne uwielbienie, a uśmiech jest majestatycznie wspaniały jak wschód słońca.

– I pomyśleć, że skończę z najgorszą maszkarą na świecie – mówi lekko zaczepnym tonem, łapiąc oddech.

Gdy nagle napina biodra, biorę ostry wdech i wytrzeszczam na niego oczy.

– Ty chyba nie chcesz jeszcze...

Jego uśmiech zamienia się w cwaniacki wyszczerz zębów.

– Ależ tak, Minervo. Jak najbardziej.

Wbija się we mnie głęboko, by pokazać, że nie żartuje. A potem, śmiejąc się, przyciąga mnie do siebie i całuje, równocześnie pieprzy mnie i wkrótce nie jesteśmy już w stanie się śmiać.

Później drzemiemy nasyceni.

– Nie zdjąłeś butów... – mruczę, po obudzeniu się i sunę opuszkiem palca po jego ręce.

– Ani majtek – dodaje, ewidentnie dumny z siebie.

Leżymy na bokach przodem do siebie, popołudniowe słońce przeszło już od bladego złota do rozlewającego się po ścianie głębokiego bursztynu. Zbliża się wieczór. Zza balkonowych drzwi docierają do nas odgłosy miejskiego życia: dalekie wycie syren, szmer wracających z pracy do domu ludzi, jakaś para śmieje się na ulicy.

Normalni obywatele robią normalne rzeczy. Wiodą normalne życie w zimnym, niebezpiecznym świecie, który o nich nie dba i chce zmiażdżyć ich na proch.

– Hej – mówi, patrząc mi w oczy i ujmując za policzek. – O co chodzi?

– Żałuję... – Przełykam ślinę, szukam odpowiednich słów. – Żałuję, że nie spotkałam cię wcześniej. W młodości. Zanim odkryłam, jak brutalne bywa życie. Żałuję, że nie poznałam cię, gdy światło przeważało we mnie nad mrokiem. Mogłabym ci ofiarować znacznie więcej, bo miałam ogromne pokłady nadziei.

– Och, maleńka.

Przytula mnie mocno, przykładając usta do czubka mojej głowy. Czuję pod policzkiem bicie jego serca i muszę zamknąć oczy, bo ten odgłos jest tak cudowny, że aż nie mogę go znieść.

Naz odzywa się dopiero po dłuższym czasie. Cichym, lecz dość ostrym głosem.

– Bez naszych blizn bylibyśmy innymi ludźmi. Nie potrafilibyśmy tak dobrze się zrozumieć. Zakochać się, gdy jest się młodym, pełnym nadziei, to fraszka. Łatwizna. Człowiek nie ma jeszcze pojęcia, jaką cenę ostatecznie przyjdzie mu zapłacić, jakiej daniny zażąda życie, zanim z nim skończy.

Unosi mój podbródek i patrzy mi w oczy. Nieskończona miłość w jego spojrzeniu jest tak piękna, że odbiera mowę.

– Ale my już wiemy. Dokładnie wiemy, jak może być strasznie, jak bezwzględnie życie będzie cię drenowało, bez końca, nieustannie, aż nic ci nie zostanie. Wiemy, jaką rzadkością jest to, co mamy razem i jakie to cenne... i właśnie dlatego to takie wartościowe. Powitaliśmy miłość, choć oboje wiemy, że może nas zabić na wiele sposobów. Że zmusi nas do ogromnego wysiłku i wielu poświęceń.

Uśmiecha się do mnie łagodnie, a moje serce wypełnia wiele emocji.

– Najmocniejsza stal wykuwa się w ogniu, podobnie jest z duszą – kontynuuje. – Twoje światło jest tak piękne właśnie dzięki mrokowi. Twoje serce jest znacznie bardziej otwarte, bo wielokrotnie dziurawiły je noże. I choć z pewnością pokochałbym młodszą, bardziej niewinną wersję ciebie, to dzięki temu, że wszystkie połamane, rozbite cząstki twojej jaźni mnie wzywają, uwielbiam cię jeszcze bardziej.

Muszę ukryć twarz w jego piersi i uspokoić się, by nie zalać się łzami.

Obejmuje mnie i trzyma mocno, dopóki nie przestaję drżeć i nie oddycham nieco swobodniej.

– No, cóż, niech będzie, skoro tak to widzisz – rzucam w końcu, z całą nonszalancją, jaką potrafię z siebie wykrzesać.

– Wiem, wiem, świetnie sobie radzę ze słowami, powinienem zostać poetą.

Parskamy cichym śmiechem, potem chwilę milczymy i tylko oddychamy przytuleni. Kiedy cienie się wydłużają, a w pokoju zaczyna szarzeć, Naz wybudza się z bezruchu i całuje mnie w skroń.

– Dołączysz do mnie pod prysznicem?

– Mmm. Ustaw ciepłą wodę, zaraz przyjdę.

– Oczywiście, primabalerino – rzuca zaczepnie, szczypiąc mnie w goły tyłek. – Przygotuję też płatki róż i świece.

– No ja myślę – burczę i figlarnie walę go w pierś.

Całuje mnie raz jeszcze, po czym przewraca się w bok i schodzi z łóżka. Rozprostowuję ręce nad głową i mam przyjemność pogapić się na jego umięśnione plecy. Tatuaze w arabskim stylu, które wiją się wzdłuż jego kręgosłupa i skręcają na mięśniach, wyglądają, jakby żyły. Powiedział mi kiedyś, że

dziary na jego plecach i rękach to wiadomość, która przyda mu się po drugiej stronie... Kiedy to sobie przypominam, przesywa mnie lekki dreszcz.

Poproszę go później, żeby wyjaśnił mi to dokładniej. I żeby opowiedział mi o ojcu, co Killian miał na myśli, gdy powiedział, że był „legendą w tym fachu”. Chcę dowiedzieć się wszystkiego o moim mężczyźnie. Chcę zajrzeć do wszystkich jego sekretnych zakamarków, poznać jego najgorsze lęki i najcięższe żale.

Posyła mi całusa przez ramię i maszeruje do łazienki, pogwizdując pod nosem melodię, której nie rozpoznaję. Patrzę za nim z uśmiechem. Gdy rozlega się szum wody pod prysznicem, spuszczam nogi z materaca, wstaję... i od razu siadam.

– Aaaa!... – Krzywię się z bólu, a po chwili przykładam dłoń do palącego brzucha. Musiałam wczoraj coś zjeść. Nie kręci mi się w głowie, jak w katedrze, po prostu kiepsko się czuję. Mdli mnie, ale nie gorączkuję. Zmęczenie to zapewne przewlekły skutek infekcji. A to dziwne mrowienie w piersi to na pewno skutek uwagi, z jaką zajmował się nią Naz...

Pokój nagle całkowicie milknie, zamiera w bezruchu. W moim umyśle wszystko się wyłącza, nie licząc cząstki, która właśnie z prędkością światła oblicza pewną datę.

Datę ostatniego zastrzyku antykoncepcyjnego.

Osobisty lekarz Dmitrija przyjeżdżał do posiadłości co dwanaście tygodni, co do dnia, i robił mi zastrzyk. Dmitrij nie chciał mieć nic wspólnego z dziećmi. Cięża przeszkadzałaby w spełnianiu innych potrzeb... To jedyne, za co byłam mu wdzięczna, bo myśl, że mogłabym sprowadzić dziecko w koszmar mojego życia, była nie do zniesienia.

Ale skutki zastrzyku nie są wieczne. Po kilku miesiącach ochrona zanika. Należy go powtarzać, żeby hamować owulację.

Gapię się tępo w ścianę i szepczę:

– Cozumel to trzy miesiące... Lekarz przyjechał... sześć tygodni... dwa miesiące wcześniej?

W kryjówce w Cascais spędziliśmy tydzień. Jak długo byłam w Nowym Jorku? A na jachcie? Ile minęło, odkąd kochaliśmy się w szpitalu?

Jak szybko pojawiają się symptomy ciąży?

– O, Boże. Potrzebny mi kalendarz.

Wyskakuję z łóżka, ignorując skrety żołądka, biegnę nago do kuchni. Na ścianie nie wisi żaden kalendarz, więc gorączkowo przetrząsam szuflady. Nie ma.

Wracam biegiem do sypialni, szukam w szafce nocnej. Wtem rozlega się ciche pukanie do drzwi.

Prostuję się, serce mi wali. Naz fałszuje pod prysznicem. Znowu pukanie i radosny, tłumiony przez drzwi głos kobiety.

– Halo, dzień dobry! Jestem pani Anderson, właścicielka mieszkania. Mam dla państwa drobny upominek!

Nie potrafię trzeźwo myśleć, panicznie potrzebuję kalendarza. Wiem tylko tyle, że muszę jakoś splawić tę babę.

Znajduję ubrania na podłodze, ubieram się pośpiesznie, ręce mi się trzęsą. Idę bosą do salonu, bezszelestnie, przez dawne nawyki. Zerkam przez wizjer.

Na schodkach stoi uśmiechnięta kobieta w średnim wieku w kraciastej podomce, trzymając przewiązaną złotą kokardą butelkę wina.

– Juhuu! Jest ktoś w domu?!

Tymczasem w łazience Naz wchodzi w wyższe tony, a gdy jego głos się załamuje, wybucha śmiechem.

– Minerva! Woda już gorąca! Zbieraj tu swoje dupsko!

– Proszę położyć na progu, jesteście zajęci – mówię kobiecie przez drzwi.

– Och, tak mi przykro, moja droga. Nie chcę przeszkadzać. Po prostu lubię powitać każdego gościa – tłumaczy uśmiechając się szalenie i wymachując butelką. – Liczę na dobre oceny!

Robi mi się jej żal. Wygląda niegroźnie, nieco desperacko, to fakt, ale biorąc pod uwagę złą prasę, jaką robi jej psisko z dołu, nic dziwnego, że zabiega o pozytywne opinie. Rozglądam się przez wizjer, chyba jest sama.

– Minerva! – wrzeszczy Naz. – No pośpiesz się!

Odsuwam łańcuch i otwieram drzwi.

Świadomość, że coś nie gra, uderza mnie od razu.

Przez wizjer uśmiech kobiety wydawał się radosny. Teraz widzę, że jej usta nie są rozciągnięte wesołością, lecz grozą. Oczy ma wybałuszone, spanikowane, a trzymająca wino dłoń drży jak osika.

Wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie.

Z prawej strony, zza drzwi, wysuwa się ręka. Wyciągnięta ręka w czarnym garniturze i blada dłoń trzymająca broń.

Lufa wbija się w skroń kobiety.

Właściciel ręki i broni wyłania się z kryjówki na schodach, bezgłośnie materializuje się w progu. Jego twarz jest równie blada jak dłoń. Jest szczupły, blondwłosy, wygląda nieskazitelnie. Wiem, że jego szyty na miarę garnitur kosztował ponad trzydzieści pięć tysięcy rubli, a buty są zrobione z krokodylej skóry sprowadzanej z Afryki. Jego oczy mają barwę arktycznego nieba w środku zimy.

Dmitrij przykładła palec do ust i uśmiecha się.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie podziękowania dla mojej ekipy z Montlake Romance, włącznie z moją cudowną redaktorką Marią Gomez, zespołami zajmującymi się wstępną lekturą i edycją tekstu oraz wszystkimi osobami, które niestrudzenie pracują za kulisami, żeby przekształcić moje bazgroły w coś zrozumiałego.

Jak zwykle szczególnie dziękuję mojej redaktorce treści Melody Guy, która genialnie wyłapuje wszystkie problemy, te małe i wielkie. Uzupełniasz mnie!

Mam nieskończony dług u mojego męża Jaya. Bez ciebie nie napisałabym ani jednego słowa. Dziękuję, że tak mnie dopingujesz, gdy trzeba dajesz mi kopa w tyłek, że jesteś moim najlepszym przyjacielem i wspaniałym partnerem życiowym. Mam pełną świadomość, że wygrałam główną nagrodę na loterii mężów (pomimo że zawsze mnie odganasz, gdy rzekomo źle ładuję zmywarkę. Cholerne koziorożce, zawsze się rządzą).

Dziękuję projektantce moich okładek, utalentowanej Laetiti Hassler, która przy pracy nad tą serią naprawdę przeszła samą siebie.

Czytelniczki, Wam dziękuję po milionkroć razy dziesięć. Czyli chyba po dziesięćmilionkroć, ale nie wiem, kiepsko liczę. Jestem Wam ogromnie wdzięczna za wsparcie i entuzjazm względem mojej pracy, uwielbiam się z Wami kontaktować. Jeżeli chcielibyście dostawać niejawnie informacje na temat powstających projektów i porozmawiać o moich książkach z innymi fankami, dołączcie do grupy facebookowej Geissinger's Gang.

O AUTORCE

J.T. Geissinger to autorka bestselleru *Niebezpieczne piękno* oraz innych naładowanych emocjami romansów i książek z gatunku literatury kobiecej. Jej książki, począwszy od zabawnych, charakternych komedii romantycznych, po mroczniejsze romanse pełne napięcia, sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przełożone na kilka języków.

Jest laureatką Prism Award za najlepszy debiut książkowy i Golden Quill Award za najlepszą powieść urban fantasy, a także dwukrotną finalistką nagrody RITA, przyznawanej przez Romance Writers of America. Była też finalistką nagród Booksellers' Best, National Readers' Choice i Daphne du Maurier Award.

Mieszka w Los Angeles z mężem i głuchym kotkiem-znajdą, Ginger.

Więcej informacji na: www.jtgeissinger.com.

¹ Dzielnica w Manhattanie, Nowy Jork (przyp. red.).

² *Kill* (z ang.) – zabić (przyp. red.).

³ Nawiązanie do nazwy statku. Z angielskiego *shadow* oznacza cień (przyp. red.).